



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(52) 2020

Rok XIV

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Zamek w Wiśniczu
fot. Paweł Litwiński



Opactwo Benedyktynów w Tyńcu i Wisła



Ule i rzepak



Wisła z murów opactwa w Tyńcu



Zamek w Dębnie



Lanckorona



Zamek w Niepołomicach



Kościół pw. św. Urszuli w Gosprzadowej



Tatry z Łąpszanki

Małopolska

Małopolska, czyli Kraków; może Kraków i najbliższe okolice. Ten jakże częsty błąd popełniają osoby odwiedzające stolicę Małopolski - błąd lekceważenia okolic Krakowa. A tymczasem w odległości mniej więcej godziny jazdy samochodem można znaleźć prawdziwe cudownia.

Opactwo Benedyktynów w Tyńcu - niesamowicie położone na skale nad Wisłą, a dostępne z Krakowa na rowerze, spacerową trasą. O każdej porze roku prezentuje się wspaniale i ma do zaoferowania coś dla ducha i coś dla ciała (pyszne produkty benedyktyńskie). Lanckorona - już nieco dalej od Krakowa, pięknie położona drewniana wieś o urzekającej zabudowie i artystycznym klimacie. Warto się wybrać, będąc w Krakowie, czy nawet przejeżdżając w okolicy - a może uda się trafić na grudniowy Festiwal Aniołów?

Małopolska to kraina zamków. W bliskim sąsiedztwie Krakowa możemy odwiedzić zamki w Pieskowej Skale i w Niepołomicach. Pierwszy z nich to rezydencja magnacka, niedawno pięknie odnowiona. Drugi to rezydencja królewska, słynny „mały Wawel”, także w bardzo dobrym stanie. Z kolei będąc we wschodniej Małopolsce, warto odwiedzić Dębno i Wiśnicz. Zwłaszcza ten drugi robi ogromne wrażenie.

Małopolski Szlak Architektury Drewnianej to dziesiątki unikatowych budowli z drewna, z których część wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Z tego bogactwa wybrałem dwa kościoły pochodzące z XVII w. - w Gosprzydowej i w Iwkowej. Zwłaszcza ten drugi, przez swoje położenie przy starym cmentarzu, na długo zapada w pamięć.

I wreszcie Tatry - znów, Tatry to nie tylko Zakopane. Takiej panoramy Tatr, jak z Łapszanki o wschodzie słońca, nie zobaczymy nigdzie indziej.

Małopolska jest niezwykła, urzekająca. Czasem wystarczy zatrzymać się przy drodze i gdy spojrzymy na zwyczajne ule stojące w polu, dostrzeżemy całe piękno tej krainy.

dr Paweł Litwiński

Nostra culpa



Szanowni Państwo, wszyscy popełniamy błędy. Ostatni, 51. numer „Nestora” był tego najlepszym przykładem. Już na wstępie mylnie podane zostało imię Pana Burmistrza Krasnegostawu Roberta Kościuka, za co serdecznie przepraszam.

Kolejne przeprosiny w imieniu własnym oraz Jana Henryka Cichosza kierujemy do Pani Marzeny Marioli Podkościelnej za opublikowanie na stronie 91, bez Pani zgody niepodpisanego zdjęcia przedstawiającego wspomnianego J.H. Cichosza, Krzysztofa Konopę i Mariana Janusza Kawałkę. Zdjęcie zostało przysłane przez autora artykułu, który wspominał naszego zmarłego kolegę poetę Krzysztofa Konopę z Zamościa.

Pani Marzeno Mariolu, Panie Robercie, jeszcze raz serdecznie przepraszam za niezamierzone błędy i niedopatrzenia.

Andrzej David Misiura

§ Szanujmy prawa autorskie!

Szanowni Autorzy i Korespondenci, przypomnamy, aby zdjęcia nadsyłane do publikacji koniecznie podpisywać **imieniem i nazwiskiem ich autora**. W przypadku zdjęć rodzinnych, których autorstwo jest niemożliwe do ustalenia, należy zaznaczyć **z czyich zbiorów zostały zapożyczone**. Podobnie przy korzystaniu ze zdjęć historycznych prosimy wskazać **z jakich źródeł je zaczerpnęto**.

Prosimy **nie nadsyłać zdjęć współczesnych niewiadomego lub niesprawdzonego autorstwa i pochodzenia**, chociażby przedstawiały **nawet nas samych**. Bardzo mylące jest przeświadczenie, że mamy prawo dysponować takim zdjęciem, ponieważ musiał je wykonać ktoś z naszego otoczenia, członek rodziny, dobry znajomy lub osoba zaliczana do grona przyjaciół. Zawsze prosimy upewnić się kto jest autorem i uzgodnić z nim zamiar publikacji, chociażby zdjęcie nie przedstawiało wartości artystycznych.

Wdzięczni będziemy Państwu za współpracę w tym zakresie, ponieważ pozwoli to nam uniknąć słusznych roszczeń o autorstwo zdjęć, których niezliczona ilość znajduje się w Internecie. Musimy mieć świadomość, że problem poszanowania praw autorskich regulowany jest przepisami prawa i należy ich przestrzegać.

Zespół redakcyjny

Spis treści		Spis treści	
Małopolska	1	Zakusy urzędu carskiego na XIX-wieczny parafialny cmentarz, kościół Przemienienia Pańskiego i Szpital św. Łazarza	60
<i>Paweł Litwiński</i>		<i>ks. Henryk Kapica</i>	
Nostra culpa	1	Ulica Mokra	64
<i>Andrzej David Misiura</i>		<i>Janusz Wanot</i>	
Szanujmy prawa autorskie!	1	Startuje Wakacyjna Akademia Kultury 2020	70
<i>Zespół redakcyjny</i>		Start 1944 Krasnystaw Część VI	70
Jan Baranowski	3	<i>Karol Kwiatkowski, Henryk Sierko</i>	
<i>Wiesław Krajewski</i>		Poezja - Jan Orłowski	82
Michał Marecki - polski kondotier wolności i powstaniec styczniowy	8	Ksiądz Prałat Piotr Kimak	84
<i>Lech Dziedzic</i>		<i>ks. Henryk Kapica</i>	
Mieszkańcy XIX-wiecznego Krasnegostawu	10	Słowo pożegnalne	90
<i>Agnieszka Szykuła-Zygawska</i>		<i>Irena Iwańczyk</i>	
Sprawa chłopów pańszczyźnianego Tomasza Kaisza ...	12	Poezja - Irena Iwańczyk	91
<i>Józef Adam Dąbek</i>		Poezja - Maria Anna Bracha	91
Dwór Romanów	16	Bujny twórczo czas Longina Jana Okonia (1927-2020) ..	92
<i>Waldemar Seroka</i>		<i>Stanisław Nyczaj</i>	
Duszpasterstwo Armii Krajowej Okręgu Wołyń	20	Moje drzewo	96
<i>Lucjan Cimek</i>		<i>Elżbieta Petruk</i>	
Pamiętki mojej wojny	22	Fretka - tragifarsa	97
Powiat krasnostawski na łamach „Gazety Warszawskiej” w latach 1919-1925	37	<i>Saturnin Naliwajko</i>	
<i>Kazimierz Stolecki</i>		Konkurs walentynkowy	100
Ulica Poniatowskiego z przełomu lat 1950-60	45	Kamieńska zawsze w temacie	107
<i>Saturnin Naliwajko</i>		Poezja - Wanda Węgrzyn-Bodnar	108
„Katedry” ormiańskie Janusza Trzebiatowskiego w Lublinie	53	Miejsca zwykłe i niezwykłe w życiu Bolesława Leśmiana	110
<i>Stanisław Dziedzic</i>		<i>Anna Krystyna Miśkiewicz</i>	
Krasnystaw mnie zrodził	55	Poezja - Wojciech Bieluń (Targosz)	113
<i>Irena Kulik</i>		Zoopoliglotyzm	115
„Z każdym dniem... las mnie większym otacza urokiem”	57	<i>Wiesław Krajewski</i>	
<i>Monika Nagowska</i>		Słowo redaktora	116
		<i>Andrzej David Misiura</i>	

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę - Zespół redakcyjny.



NR 2 (52) 2020 - ROK XIV NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Artur Borzęcki (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chelm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Wiesław Krajewski



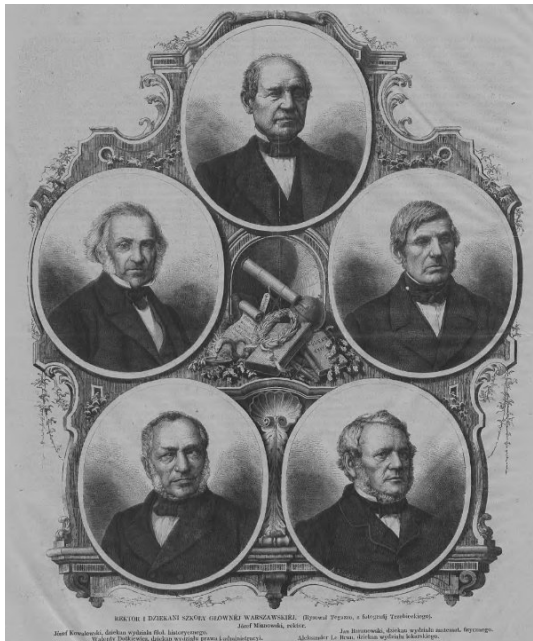
Jan Baranowski

Wiek XIX był trudnym dla nauki polskiej. Okres rozbiorów zasadniczo zmienił warunki, w jakich przyszło działać uczelniom, naukowcom, w tym również w dziedzinie astronomii. Z tego okresu najbardziej znany jest Jan Śniadecki, inni, jak Franciszek Armiński, Adam Prażmowski, Piotr Sławiński, Maksymilian Weisse nie są dziś powszechnie znani. Pewnemu zapomnieniu uległ również Jan Baranowski.



Jan Baranowski. (Źródło: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Baranowski_\(naukowiec\)#/media/Plik:Jan_Baranowski.jpg](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Baranowski_(naukowiec)#/media/Plik:Jan_Baranowski.jpg)).

Studia rozpoczął na UJ w Krakowie, a ukończył w 1825 roku na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskując stopień magistra filozofii. W tym też roku powstało Obserwatorium Astronomiczne w Warszawie. Jan Baranowski pracował w nim jako astronom od samego początku przez 44 lata. Najpierw na stanowisku adiunkta u Franciszka Armińskiego. W 1848 roku objął stanowisko dyrektora i pełnił je aż do przejścia na emeryturę w 1869 r. Baranowski był dobrym dyrektorem, dbał o utrzymanie placówki na odpowiednim poziomie. Mimo skromnych funduszy, doposażył je w nowe instrumenty astronomiczne i znacznie wzbogacił zbiór biblioteczny. W 1862 r., kiedy powstała w Warszawie Szkoła Główna, objął w niej katedrę astronomii. Jako profesor zwyczajny wykładał kosmografię, trygonometrię, astronomię sferyczną i teoretyczną. W latach 1864-1866 piastował stanowisko dziekana Wydziału Fizyko-Matematycznego.



Rektor i dziekani Szkoły Głównej Warszawskiej. Jan Baranowski w środkowym rzędzie z prawej strony. „Tygodnik Ilustrowany” 1866, nr 353, Warszawa, 30 czerwca 1866, s. 300. (Źródło: <https://bcu1.lib.uni.lodz.pl/dlibra/publication/1527/edition/1187/content?ref=desc>).

Baranowski odbywał podróże naukowe. W 1835 r. udał się do Królewca, gdzie pracował pod kierunkiem wybitnego astronoma, jakim był Friedrich Bessel, dyrektor tamtejszego obserwatorium. Zwiedził jeszcze inne obserwatoria niemieckie i w 1836 roku wrócił do Warszawy. W 1845 r. przebywał także w obserwatorium w Pułkowie, na południe od Petersburga. Wyjazdy służyły nie tylko doskonaleniu się w technice obserwacyjnej, ale także miały za cel wprawienie się w obliczeniach z zakresu mechaniki nieba.

Zapewne z inspiracji Bessela powstały prace obliczeniowe dotyczące orbity komety Bieli, które wykonał w 1835 roku. Było to jedno z największych jego osiągnięć naukowych. Sam Bessel cytował uzyskane przez Baranowskiego elementy orbity tej komety w czasopiśmie „Astronomische Nachrichten”. Kometa 3D/Biela była obserwowana w 1832 r., a na przełomie lat 1845/1846 na oczach obserwatorów podzieliła się na dwie części, a potem rozpadła się na rój meteorów. Podczas przewidywanych kolejnych powrotów nie udało się już jej odszukać.

W latach 1828-1835 Baranowski prowadził regularne obserwacje meteorologiczne. Zakres prowadzonych przez niego obserwacji astronomicznych był w zasadzie ograniczony do wyznaczania współrzędnych Obserwatorium. W latach 1829-1842 wykonał wspólnie z Armińskim i Prażmowskim kilkaset obserwacji, z których otrzymał szerokość geograficzną Warszawy $52^{\circ}13'5''$,06 i długość $1^{\text{h}}11^{\text{m}}47^{\text{s}}$,0 na wschód od Paryża. Szerokość była wyznaczana kołem południkowym i kołem repetycyjnym, długość określono z obserwacji 29 zakryć gwiazd przez Księżyc.

W roku 1845 wyznaczono powtórnie długość geograficzną Obserwatorium Warszawskiego, tym razem poprzez ekspedycje chronometryczne. Otto Struve z obserwatorium w Pułkowie odbył 4 podróże do Warszawy z chronometrami. Porównanie czasu obserwacji tego samego zjawiska - przejścia gwiazdy przez lokalny południk, ze wskazaniem chronometrów w Pułkowie i Warszawie (różnica w odczytach czasu dawała różnicę długości geograficznej) pozwoliło na dokładniejsze określenie długości geograficznej Obserwatorium na $1^{\text{h}}14^{\text{m}}45^{\text{s}}$,65 na wschód od Paryża. Doniesienie o tym ukazało się w „Gazecie Warszawskiej” Piśmie poświęconym naukom, sztukom i przemysłowi T. I, Warszawa 1847.

Obserwatorium zaśm. warszawskie (*) leży na zachód względem obserwatorium Pułkowskiego o 37 minut 11.32 sekund w czasie albo o $9^{\text{h}}17'49''$ 8 w łuku.

Ponieważ Pułkowiek względem Paryża leży na wschód o $1^{\text{h}}51^{\text{m}}56''$,97 w czasie, zatem długość geograficzna obserwatorium warszawskiego względem Paryża jest:

$1^{\text{h}}14^{\text{m}}45''$,65 na wschód w czasie, albo $18^{\circ}41'24''$,75 w łuku;

względem zaś południka Ferro $38^{\circ}41'24''$,75. Wypadek otrzymany na długość geograficzną Warszawy za pomocą chronometrów, jest mniejszy o 1,5 sekund w czasie, od długości znalezionej poprzednio z zakrycia gwiazd stałych przez księżyc (**).

Druża wyprawa chronometryczna do Warszawy, wykonaną w r. 1846 dla połączenia Pułkowa z niektórymi punktami południowej Rosji. W tym celu Otton Struve, wraz z oficerem z głównego sztabu, wziął z sobą 41 najlepszych chronometrów, w dniu 24

(*) Środek lunety południkowej.

(**) *Connaissance des Temps pour l'an 1846. Additions, pag. 30—31.*

Bardzo obszerny był dorobek pisarski i wydawniczy Baranowskiego. Ukazało się kilka jego pozycji podręcznikowych z astronomii sferycznej, kosmografii, trygonometrii. W 1858 r. opublikował przekład „Meteorologii” Pierre’a Foissaca, który poprzedził wstępem dotyczącym historii meteorologii w Polsce. W latach 1857-1861 redagował „Kalendarz astronomiczny Obserwatorium Warszawskiego”. W 1849 roku wydał wraz z geologiem

DŁUGOŚĆ GEOGRAFICZNA WARSZAWY. 533

Długość geograficzną zwykle odnosi się do południka pierwszego, przez wypę Ferro przechodzącego, albo do południka przez obserwatorium Paryskie prowadzonego, który jest o 20 stopni na wschód względem Ferro południka; można ją także odnosić do południka obserwatorium Greenwich, pułkowa i t. d.

Wyznaczenie różnicy długości geograficznej, polega na tym: stały czas, jaki w pewnym miejscu zegar astronomiczny dobrze idący wskazuje, przemielić na drugie miejsce, którego południe względem pierwszego poznać chcemy. Wyobraźmy sobie, że mamy tak dokładny zegar przenośny, że ten w ciągu podróży ledwie zmienia nie ułamek zapisanego czasu, jaki ten zegar wskazuje w chwili przejścia gwiazdy przez południk pierwszego miejsca; przemielić zegar ten na drugie miejsce, i uważając głównieście tę gwiazdę co poprzedzi, różnicę czasu w dwóch przejściach gwiazdy na tymże zegarze, pokazać wprost różnicę długości geograficznej dwóch miejsc. Zamiast liczenia czasu na zegar przenośny w chwili głoszenia gwiazdy, zwykłe czas ten liczy się na zegar astronomiczny w stałym miejscu, stąd przy narządzie zastępczym, a z tego dopiero przemielić czas do chronometru tak samo postępuje się i w drogim miejscu.

Spółność oznaczenia długości za pomocą chronometru, powołanie na morzu wylany, i dawniej na lądzie był znany; ale wypadki niemi otrzymywane, nie były tak dokładne jak tego wymagano, i sprzyjały iż wprzód nie miało tak dokładnych jak dziś chronometrów i nie zachowano wszystkich warunków i ostrożności potrzebnych. Zaczęto udośćkonić sięgów morskich popoziłości chronometrami zwykłymi, stało się zaś wiele błędów dla geografii i lądzi; przy oznaczeniu wglę-

Jan Baranowski.

Różnica długości geograficznej dwóch miejsc, jest łuk różnica zawarty między południkami przez te miejsca przechodzącymi, albo jest różnica w rachbie czasu w chwili tego samego zjawiska uwalniającego w dwóch miejscach, jakim jest np. zanieżenie słońca, lub przejście tej samej gwiazdy przez południk. Jeżeli miejsce położone jest o 15 stopni na wschód względem drugiego, gwiazda przechodzi przez jego południk o 1 godzinę wcześniej; w miejscu o 30 stopni oddalonym na wschód, widzieliśmy zjawisko tej gwiazdy o 2 godziny wcześniej i t. d. Długość geograficzną można dwójką wyrazić: w łuku, albo w czasie, na mocy tego związku, iż jedną godzinę odpowiada 15 stopni łuku; jedną minutę 15 minut łuku; jedną sekundę czasu 15 sekund łuku.

Jan Baranowski, Oznaczenie długości geograficznej Warszawy, „Biblioteka Warszawska” 1847, T. I, s. 532. (Źródło: <https://books.google.pl/books?id=scDAAAAYAJ&pg=PA532&hl=pl#v=onepage&q&f=false>).

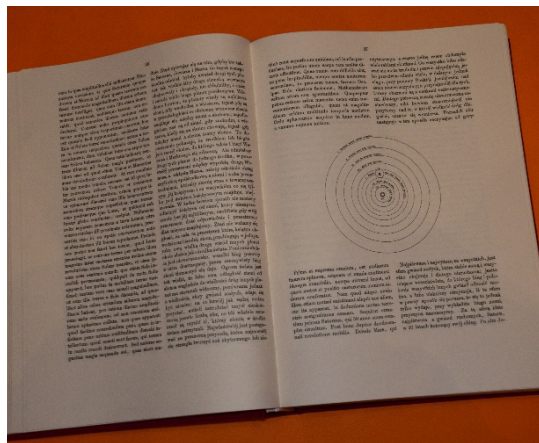


Artykuł popularny „O kometach w ogólności, a w szczególności o kometce mającej się zjawić w roku 1835”. Polski, Ruski, Astronomiczno-Gospodarski Nowy Kalendarz Powszechny na rok zwyczajny 1835, ss. 2-4. (Źródło: <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/435040/edition/399594/content>).

¹ Omawia w nim trzy znane wtedy komety okresowe: Enckego, Bieli i Halleya, która właśnie miała powrócić w roku 1835.

Ludwikiem Zejsznerem przekład pierwszego tomu dzieła Aleksandra Humboldta pt. „Kosmos czyli rys fizyczny świata”. Zajmował się też popularyzacją astronomii - ogłaszał artykuły oraz komunikaty dotyczące nowości astronomicznych.

Najcenniejszą jednak pozycją w dorobku Baranowskiego jest tłumaczenie i wydanie dzieł wszystkich Mikołaja Kopernika. Ukazały się w Warszawie w drukarni Stanisława Strąbskiego w 1854 roku. Samo „De revolutionibus”, pod polskim tytułem „Mikołaja Kopernika Toruńczyka O obrotach ciał niebieskich ksiąg sześć”, Baranowski poprzedził wstępem i obszernym streszczeniem każdej księgi wraz z licznymi przypisami, oraz rozbudowaną biografią Kopernika napisaną przez historyka Juliana Bartoszewicza. Po „De revolutionibus”, dalsze pozycje stanowiły: „Narratio prima” Joachima Retyka, trygonometria Kopernika („O bokach i kątach trójkątów”), zbiór przypisywanych Kopernikowi poematów religijnych „Septem sidera” z przedmową Jana Brożka, traktat „Sposób urządzenia monety”, list Kopernika „O ósmej sferze, przeciwko Wernerowi”, inne listy Kopernika oraz jego przekład z języka greckiego na łaciński „Listów” Teofilakta Symokatty. Całość zamyka jeszcze kilka innych listów nie tylko samego Kopernika, lecz także innych bliskich mu osób.



„Dziela Mikołaja Kopernika” - reprint.

Było to wydanie dwujęzyczne. Wszystkie teksty, włącznie z własnymi komentarzami i życiorysem, zamieszcza zarówno w języku łacińskim, jak i polskim, przy czym zawsze lewą szpalę każdej strony zajmuje tekst łaciński, prawą zaś - polski.

Szczególną zasługą Baranowskiego było umieszczenie po raz pierwszy przedmowy Kopernika adresowanej do czytelnika. Przedmowa ta została w pierwszym wydaniu zamieniona przez Osiandra na swoją, utrzymaną zresztą w zupełnie innym duchu. Baranowski zaczerpnął ją z rękopisu Kopernika znajdującego się wówczas w Pradze - w bibliotece hr. Erwina Nostitza - i dodał jeszcze jej faksymile.

Publikacja „De revolutionibus” była nie tylko czwartym wydaniem łacińskim dzieła Kopernika, ale także pierwszym jego przekładem na język nowożytny. Dodatkowo jest to pierwsze zbiorowe wydanie prac Mikołaja Kopernika².

W 1869 roku Baranowski przeszedł na emeryturę. Wyjechał do Lublina, gdzie zamieszkał u swego młodszego brata Walentego, biskupa lubelskiego. Nie zrezygnował ze swych zainteresowań. Założył tam małą stację meteorologiczną, wydał „Tablice do ułożenia kalendarzy” (na kilka miesięcy przed śmiercią). Umożliwiały one np. przeliczanie dat juliańskich i gregoriańskich od roku 1 do 3500. Wśród przykładowych zadań do rozwiązywania za pomocą tablic znalazło się i takie: „Kopernik umarł w Frauenburgu 1543 r. Nono ante calendas Junii: jaka data Juliańska odpowiada tej epoce?”.

Ciekawym i mało znanym wątkiem w działalności Jana Baranowskiego jest zainteresowanie gnomoniką i wykreślaniem podziałek horyzontalnych zegarów słonecznych. Jan Kowalczyk, docent astronomii w Szkole Głównej podaje, że skonstruował on tak zwany kompas walcowy, czyli typ cylindrycznego zegara słonecznego. *Bardzo prosty i przydatny do szybkiego przybliżonego wyznaczania poprawki zegarowej. Jest to przenośny, mały, prawdziwie kieszonkowy przyrząd, składający się z drewnianego walca o średnicy 3 centymetrów i wysokości 9,5 centymetra, oraz wskazówki metalicznej, wsuwanej w walec i wysuwanej z niego w czasie obserwacji*³.

² Reprint, pt. „Dziela Mikołaja Kopernika” został niedawno wydany przez Fundację Nicolaus Copernicus Robert Szaj, Truszczyń 2018.

³ J. Kowalczyk, *Krótki rys dziejów Obserwatorium Warszawskiego 1820-1900*, „Wiadomości Matematyczne”, T. XI, ss. 89-90.



Zegar słoneczny słupkowy, 1838, według pomysłu Jana Baranowskiego, ze zbiorów Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie. (Źródło <http://www.spotkania-z-zabytkami.pl/files/2018/04/cc3b.jpg>).

W województwie lubelskim znajdują się trzy horyzontalne zegary słoneczne o podobnej budowie i dacie wykonania: najstarszy z 1868 r. - obok katedry w Zamościu, oraz dwa z 1876 r. - jeden przy dawnym Pałacu Konsystorskim, dzisiaj w ogrodzie kurii metropolitalnej w Lublinie, a drugi na dziedzińcu przed pałacem Zamoyskich w Kozłowie⁴. Wszystkie mają okrągłe tarcze 50-60 cm średnicy, ustawione są na kanelowanych kolumnach wysokości 100-120 cm. Na tarczach wykute są cyfry rzymskie odpowiadające godzinom, data roczna oraz układająca się promieniście podziałka wyznaczająca godziny, półgodziny i kwadranse. W powstanie zegarów zaangażowany, również jako fundator, był też na pewno brat Jana biskup Walenty Baranowski. Od 1858 r. XX infułat w kolegiacie zamojskiej, a od roku 1871 biskup lubelski⁵. Znał on też dobrze Konstantego Zamoyskiego, I ordynata na Kozłowie.

Powstał jeszcze jeden zegar, dziś niekompletny, pierwotnie ustawiony przed gimnazjum żeńskim w Lublinie (byłym pałacem Tarłów). W dawnym przewodniku po Lublinie czytamy, że przed siedzibą gimnazjum żeńskiego w Lublinie



Zegar obok katedry w Zamościu.



Zegar w ogrodach kurii metropolitalnej w Lublinie.



Zegar sprzed pałacu Zamoyskich w Kozłowie.

rozciągał się *nowozałożony wirydarz z pięknym marmurowym kompasem [zegarem słonecznym] postawionym w r. 1875 na pamiątkę miastu przez profesora Jana Baranowskiego b. dyrektora obserwatorium astronomicznego Warszawskiego*⁶. Jego tarcza znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

⁴ O zegarach tych pisałem obszernie w „Nestorach”: 2(44) 2018, ss. 79-83 oraz 3(45) 2018, ss. 46-49.

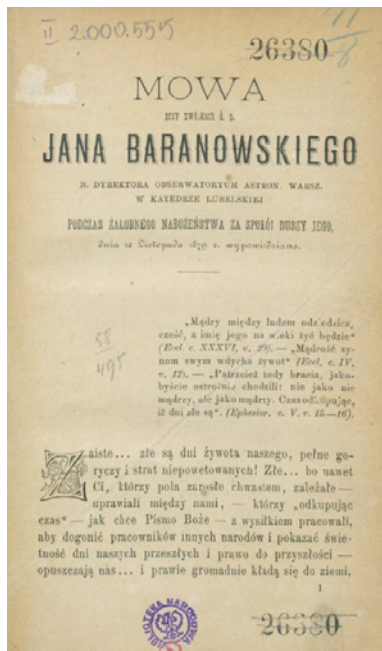
⁵ W 1836 r. został wikariuszem w Fajstawicach, a w 1840 objął stanowisko proboszcza w Bychawce.

⁶ W.K. Zieliński, *Opis Lublina jako przewodnik dla zwiedzających miasto i jego okolice*, Lublin 1876, s. 43.



Tarcza zegara przed byłym pałacem Tartłów w Lublinie.

Jan Baranowski urodził się 26 grudnia 1800 r. w Sławkowie, w woj. śląskim, niedaleko Olkusza. Zmarł 8 listopada 1879 r.⁷ w Lublinie i spoczywa we wspólnym grobowcu z bratem biskupem na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie, obok kaplicy cmentarnej.



Jan Ambroży Wadowski, „Mowa przy zwłokach ś.p. Jana Baranowskiego, b. dyrektora Obserwatorium Astron. Warsz. ...”, Kraków 1880. (Źródło: <https://polona.pl/item/mowa-przy-zwlokach-s-p-jana-baranowskiego-b-dyrektora-observatorium-astron-warsz-w.Njg0NTM1NjM/16#info:metadata>).



Epitafium Jana Baranowskiego przy schodach prowadzących do krypty grobowej w archikatedrze pw. św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty w Lublinie. (Źródło: <http://www.spotkania-z-zabytkami.pl/aktualnosci/16/655>).

⁷ Ksiądz Jan Ambroży Wadowski podaje: rażony apopleksją dnia 6 Listopada r.b., dnia 8 t.m. i r., po krótkiej lecz ciężkiej słabości oddał swego czystego ducha Bogu! (o godzinie w pół do 9 wieczorem). Pogrzeb odbył się 12 listopada.

Lech Dziedzic

Michał Marecki - polski kondotier wolności i powstaniec styczniowy



Już biłem się za Niemców, za Turków, za wolność Czerkiesów i Włochów, nawet za Murzynów walczyć będę, jeżeli tylko o wolność idzie - lecz w Ojczyźnie umrzeć sobie życzę.

(M. Marecki).

Michał Marecki urodził się 23 września 1833 roku w Zatorze w powiecie oświęcimskim jako syn Feliksa i Anny z Bronikowskich. Edukację rozpoczął w szkole realnej w Cieszyńcu, a następnie wstąpił na półtoraroczny kurs w szkole podchorążych w Wiedniu. Swoją wojskową karierę kontynuował, służąc w 8. Pułku Huzarów w stopniu wachmistrza. Kiedy wybuchło na Węgrzech powstanie, zdezerterował z armii austriackiej i przyłączył się do powstańców. Podczas powstania dostał się najprawdopodobniej do austriackiej niewoli, bo w 1849 roku widzimy go znów w armii austriackiej, z której dezertuje ponownie w 1854, by wziąć udział w wojnie krymskiej. Poprzez Paryż dociera do Konstantynopola i podejmuje służbę najpierw w 2. Pułku Kozaków Sułtańskich, a od 1856 roku w 5. Pułku Kozaków Sułtańskich, gdzie dosłużył się stopnia porucznika pod dowództwem generała dywizji Władysława Zamoyskiego. Służbę w armii tureckiej Michał Marecki zakończył na własną prośbę 15 czerwca 1856 roku. Formalnym powodem dymisji był stan zdrowia, ale tak naprawdę chodziło o to, że w 1856 roku Imperium Osmańskie zakończyło wojnę z Rosją, a na Kaukazie szykowało się powstanie Czerkiesów przeciw Rosji. Michał Marecki przystąpił do około 80-osobowego oddziału sformowanego przez majora Teofila Łapińskiego i 27 lutego 1857 roku przyłączył się na statku „Kangaroo” do Tuapse (około 100 km na północny zachód od Soczi), skąd udał się na północ, by przyłączyć się do czerkieskich oddziałów powstańczych dowodzonych przez Imama Szamila. Michał Marecki walczył w czerkieskim powstaniu do 1859 roku i jako jeden z ostatnich Polaków ewakuował się do Stambułu w 1860 roku.

Po epizodzie kaukaskim duch kondotiera nie opuszczał Mareckiego. Na Półwyspie Apenińskim nastąpiło odrodzenie narodowe Włochów („Risorgimento”), a Giuseppe Garibaldi przygotowywał swoją „wyprawę tysiąca” na Sycylię. Jednym z tego tysiąca był Michał Marecki. Podczas wojny o zjednoczenie Włoch Michał Marecki walczył między innymi pod Kapuą. Po rozwiązaniu oddziałów Garibaldiiego, Marecki służył we włoskiej legii cudzoziemskiej, zwalczając bandy rabunkowe w Kalabrii i Abruzji. Za zasługi w walce o zjednoczenie Włoch został odznaczony Medalem za Waleczność.

Tak oto nadszedł rok 1863. Marecki na wieść o powstaniu w zaborze rosyjskim udał się do Turcji, gdzie Zygmunt Miłkowski formował oddział ochotników, który przez Rumunię miał dotrzeć na Podole. Niestety, Rumuni postanowili zatrzymać polskich ochotników, atakując ich sześciokrotnie większym oddziałem dowodzonym przez pułkownika Kalinesko pod Kostangalią. Polscy weterani wielu wojen nie dali szans rumuńskiemu korpusowi, roznosząc go w pył. Niestety, po tej bitwie kontynuowanie wyprawy stało się niemożliwe i oddział został rozwiązany.

Michał Marecki nie zrezygnował jednak z udziału w powstaniu i na własną rękę przedostał się do zaboru rosyjskiego. W sierpniu 1863 był już koło Lubartowa, gdzie jako kapitan formował oddział powstańczy, potem dowodził 400-osobowym oddziałem Ruckiego i pełnił do 15 grudnia 1863 r. funkcję naczelnika sił zbrojnych województwa lubelskiego. W grudniu 1863 roku Marecki był już majorem, nominację otrzymał po bitwie pod Wołą Korybutową. W grudniu 1863 roku ścierał się z Rosjanami pod Krężnicą i Przybysławicami, gdzie przez kilka godzin wstrzymywał pochód wojsk rosyjskich, zaś w Boże Narodzenie znalazł się już w Łęcznej, gdzie wziął do niewoli 33 dragonów. W styczniu 1864 roku Marecki z Lenieckim byli pod Lubartowem i po potyczce pod Skromowską Wołą rozdzielili się. Ze względu na srogą zimę i wielkie opady śniegu, Michał Marecki rozpuścił piechotę do domu, a sam wraz z oddziałem konnicy udał się na teren powiatu krasnostawskiego. 22 stycznia 1864 rozbił pod Chłaniowem oddział kozaków, pędząc ich aż do Wierzbicy (w potyczce tej podobno brali udział dwaj późniejsi weterani powstania

styczniowego - Kacper Szajnog z Żółkiewki i Józef Stasak ze Średniej Wsi, w gminie Żółkiewka). Dwa dni później zmęczony oddział zatrzymał się na odpoczynek w folwarku w Suchym Lipiu koło Rudnika, zajmując na nocleg owczarnię. Niestety, jeden z mieszkańców wsi powiadomił o tym Rosjan. To, co stało się później opisał tajemniczy, krasnostawski korespondent „Gazety Narodowej”, która zamieściła ten opis w wydaniu z 6 lutego 1864 roku, a przedrukowały go krakowska „Chwila” i „Dziennik Poznański”:

Od osoby, która była przy zgonie naczelnika Mareckiego, otrzymuję następujące szczegóły. Po bitwie pod Skromowską Wolą, d. 14 stycznia, żkąd jedna część piechoty Mareckiego przyłączyła się do strzelców litewskich, Marecki rozpuścił resztę piechoty, jaką miał przy sobie, na urlopy, nie mogąc jej wodzić po ogromnych śniegach, jakie spadły w całym Lubelskiem i Podlasiu. Mając wielu luzaków przy jeździe, skompletował ją przyjęciem ludzi do piechoty, którzy nie mieli chęci iść na urlop i rozłączwszy się z Leniewskim, którego jazda liczyła 50 ludzi, ruszył na południe w powiat krasnostawski i zamojski celem rozpędzenia ustanowionych tam przez Moskali straży wiejskich, które poczynają już gdzieś przetrzymywać luźnych ochotników. D. 22-go z m. przybył do Chłaniowa i wyparł z tamtąd oddział kozaków, ścigając go aż do Wierzbicy, gdzie również miał do czynienia z jazdą moskiewską, która w tych okolicach gęsto jest rozlokowaną. Moskałe straciwszy kilku zabitych i rannych uszli, poczem Marecki zwrócił się do Sucholipia o 2 mile od Krasnegostawu. Tam nasi mając konie niestychanie pomęczzone, a nawet po największej części chore, zajęli wielką owczarnię przy folwarku, stojącą obok gumien. Konie rozkietniano, rozsiodłano, dano im obroku, a podczas tego podwójne pikiety strzegły przystępów. Była godzina 10 zrana, a o god. 11 padł strzał od strony Krasnegostawu i wraz z pikietą byli już kozacy i dragoni przy folwarku. Bezwzględnie obstarpi owczarnię i podpalili ją. Wtedy ochotnicy polscy wypadając pojedynczo z końmi z owczarni, przebijali się przez Moskali. Wiele koni urwało się i popędziło za swoimi w las, który zaczynał się o niespełna tysiąc kroków od folwarku. Tym sposobem uratowało się może ze 35 konno, reszta pieszo wymykała się ku lasowi. Marecki znajdował się pomiędzy nimi, gdyż zaraz

na początku moskałe zabrali mu konia. Biegając pieszo ku lasowi wołał o konia. W prawej rewolwer, na poręczu lewej futro niedźwiedzie trzymając, spotkał się z dragonem, który chciał mu drogę od lasu zastąpić. Marecki strzela trzy razy i chybia. Równocześnie z lasu pada kilka strzałów na dragona, i także chybiają. Wtedy dragon najeżdżając pieszego, strzałem pistoletowym przeszywa mu bok prawy i równocześnie tnie w głowę. Odarcie z futra i butów było dziełem jednej chwili. Gdy umilkły strzały, owczarnia i gumna gorzały i jeden tylko dom mieszkalny został jeszcze nietknięty. Moskałe zaczęli znosić doń rannych, przyniesiono i Mareckiego, a widząc na nim ubiór porządny, złożyli go na sofie i przywołali lekarza. Ranny był śmiertelnie. Dragoni napęlniając izbę drwili sobie z nieszczęśliwych, rozpytuując zarazem dwóch jeńców, kim jest leżący na sofie. Nikt nie śmiał wydać go - wtedy sam ciężko ranny dobył ostatnich sił i wyrzekł jestem Marecki. Kobiety w domu będące poczęły lamentować, a jedna z nich przypomniała sobie o futrze niedźwiedzim, które dragon zrabował. Udała się więc do pułkownika moskiewskiego, aby jej kazał oddać futro jako pamiątkę po wodzu. Pułkownik kazał dragonom stanąć w szeregu i wyszedł z niewiastą dla poznania. Dragona wnet odkryto. Pułkownik kazał ściągnąć mu futro i ubrał się sam w nie, dając rozkaz do wymarszu. Marecki skończył koło 10ej wieczorem tegoż dnia. Ochotnicy z jego oddziału nie mogą się nachwalić jego troskliwości ojcowskiej o żołnierzy, jako też męstwa w boju a roztropności w obozach i marszach. Był to człowiek 30 do 32 lat liczący, pięknego wzrostu, brunet, śniadej twarzy z bródką zuawską. Długo czas bawił w Turcyi, brał udział czynny w wyprawie Łapińskiego na Kaukaz, z.r. przyłączył się do szeregów Miłkowskiego a po zwicnięciu wyprawy udał się bezpośrednio do Kongresówki, gdzie w październiku objął dowództwo nad oddziałem zorganizowanym przez pułkownika Ruckiego i walczył z nim w kilku bitwach. Marecki w obejściu z podkomendnymi był szorstki i nie dobierający wyrazów, ale w czynach przebiegała dobroć serca. Była to jedna z najpiękniejszych postaci naszego powstania. Reszta oddziału jego złączyła się ze szwadronem Szydłowskiego.



Tak zakończył życie zgodnie ze swym pragnieniem ten niezwykle człowiek, który spoczywa do dzisiaj wraz ze swoimi towarzyszami broni na cmentarzu w Płonce naprzeciw bramy wejściowej. Niestety, umieszczona na grobie fotografia najprawdopodobniej nie przedstawia naszego bohatera, ale innego mężczyznę o tym samym imieniu i nazwisku jednak znacznie starszego, nasz Michał Marecki w chwili śmierci miał 31 lat.

Jak to możliwe, że człowiek, którego do panteonu swoich bohaterów może zaliczyć pięć narodów nie doczekał się jeszcze porządnej monografii (poza artykułem K. Jadczyka), ani nie stał się bohaterem literatury pięknej i filmu?

*Lech Dziedzic
Fotografie autora.*

Agnieszka Szykuła-Żygawska



Mieszkańcy XIX-wiecznego Krasnegostawu.

Krasnostawski epizod rodziny Lutnickich

Dzieje rodu Lutnickich w Krasnymstawie dotyczą kilkunastu lat. Po raz kolejny mamy do czynienia z rodzinną historią, gdy położone między Lwowem, Tomaszowem a Lublinem, przy głównym trakcie miasto stało się tymczasowym miejscem pobytu i zamieszkania osób zdecydowanych, by wędrować dalej i na stałe osiąść - w tym przypadku w Lublinie.

Nazwisko „Lutnicki” nie należy do częstych. W XVIII stuleciu osoby o tym nazwisku mieszkaly na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej (obecne tereny Białorusi i Ukrainy). Interesujące jest, że byli to przedstawiciele zawodów artystycznych. Oto przed połową XVIII stulecia aktywny zawodowo był malarz Kazimierz Lutnicki z Miru, w latach 1741-1742 uczeń Jana de Fulchi. Później został zatrudniony przez Michała Kazimierza Radziwiłła w Nieświeżu. Do końca 1745 r. namalował 266 portretów przeznaczonych do zamku w Mirze, następnie malował obrazy do zamku w Ołyce, a w 1753 r. kopiował dawne portrety z zamku w Żółtkwi. Znana jest też Teresa Lutnicka, która w zamku w Nieświeżu zajmowała się w 1757 r. tapiserowaniem (czyli tkaniem tkanin, bardzo dekoracyjnych, obrazujących przedstawienia figuratywne, krajobrazy, sceny mitologiczne itp.; tapiserie były przeznaczone do dekoracji ścian, np. pałaców). Najpewniej była ona spokrewniona z Kazimierzem Lutnickim. Jako rówieśnica, mogła być jego żoną lub siostrą. Około dwadzieścia lat później w Nieświeżu został zatrudniony przez Karola Radziwiłła Leon Lutnicki - architekt i rysownik, notowany tutaj w latach 1778-1790. Dla właściciela zamku wykonywał projekty małej i okazjonalnej architektury, rysunki (obecnie w zbiorach Gabinetu Rycin Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie). Nadzorował drobne naprawy architektury gmachów należących do ks. Radziwiłła.

W tym czasie, około połowy XVIII stulecia, Lutniccy mieszkali też w Zastawiu na Wołyniu

(około 140 km od Ołyki, 265 km od Żółkwi, ponad 400 km od Nieświeża). Byli to Paweł i Anna z Daniszewskich Lutniccy. Tutaj urodził im się syn Stanisław. Być może już później przeprowadzili się do Lewartowa (obecnie Lubartowa), gdzie według metryki zgonu ich syna, służyli we dworze. Ów syn Stanisław po 1786 r. zamieszkał z nowo zaślubioną Wiktorią Górecką w Adamowie, położonym około 45 kilometrów na północny zachód od Lubartowa. Tak wynika z ich metryki ślubu: 5 lutego 1786 r. w kościele rzymskokatolickim w Adamowie w związku małżeński wstąpili: zamieszkała w należącej do tej parafii Woli Gułowskiej Wiktoria Górecka i Stanisław Lutnicki. Dziewięć miesięcy później, 19 października tego samego roku nowożeńcy ochrzczili w tej parafii córkę Mariannę Jadwigę - było to dopełnienie ceremonii - czytamy w metryce chrztu. W tej parafii zostali ochrzczeni również synowie Stanisława i Wiktorii: w 1802 r. - Franciszek, a w 1805 r. - Kajetan.

Co najmniej od 1829 r. Stanisław Lutnicki mieszkał wraz z małżonką Wiktorią i pełnoletnimi dziećmi w Tomaszowie Lubelskim. W 1831 r. zmarła tu jego małżonka Wiktoria. Z metryki jej zgonu dowiadujemy się, że Stanisław był strażnikiem celnym (wówczas już emerytowanym). Mieszkał wraz z synami Franciszkiem i Kajetanem w Tomaszowie Lubelskim (brakuje informacji o losach córki Marii Jadwigi, która miałaby wówczas ponad 40 lat). Siedem lat później, w 1838 r., 79-letni Stanisław - emeryt, wstąpił w parafii rzymskokatolickiej w Tomaszowie Lubelskim w związek małżeński z młodszą od niego o dwadzieścia lat 60-letnią wdową Elżbietą z Kielarskich Cyrońską. Wiadomo, że urodziła się ona w Belzie, a w Tomaszowie mieszkała wraz z siostrą. Utrzymywała się z tkactwa.

Stanisław Lutnicki złożył pod metryką swojego drugiego ślubu podpis. Zmarł trzynastu lat później, 1851 r. w Tomaszowie, owdowiając Elżbietę z Kielarskich *primo voto* Byrońską *secundo voto* Lutnicką. O śmierci ojca przyszedł poinformować jego synowie Franciszek i Kajetan. Obydwaj byli „maystrami sztuki malarskiej”. Byli autorami „portretów a także obrazów religijnych znajdujących się w wielu kościołach i cerkwiach unickich w południowo-wschodniej Lubelszczyźnie” (m.in. ikonostasów cerkwi w Tomaszowie Lubelskim i Łosińcu), ale także tarcz do słupów granicznych

zaboru austriackiego. Ich dorobek czeka na całościowe opracowanie.

Z metryk wynika, że młodszy od Franciszka o około trzy lata Kajetan, oprócz malarstwa początkowo trudnił się również innymi zajęciami. W akcie zaślubin z córką księdza prawosławnego Anastazją Lebedyńską, z 1835 r. poinformował, że jest malarzem, dwa lata później był „rewizorem dochodów konsumpcyjnych”, w dwa kolejne - leśniczym. Jako wykonywany zawód: „malarz” podał ponownie dopiero w 1844 r., następnie w 1854 r.

Co najmniej od 1834 do 1839 r. Kajetan mieszkał w Tomaszowie, by później na dwa lata przeprowadzić się do Olszanki, w parafii Turobin. Tutaj pracował jako gajowy. Po około trzyletnim pobycie w Tomaszowie przez rok mieszkał w pobliskich Paarach.

7 stycznia 1839 r. urodził się Kajetanowi i Anastazji Lutnickim w Olszance syn Seweryn Paweł. Ojciec przyszedł poinformować o narodzinach syna parafię rzymskokatolicką w Turobinie sześć dni później, wraz z ławnikiem i sekretarzem Turobina Wawrzyńcem Nowackim i Maciejem Rudnickim, podleśniczym we wsi Olszanka. Chrzestnymi dziecka byli Rudnicki z Joanną Teklą Szybalską.

Ów Seweryn Paweł powrócił z rodzicami do Tomaszowa Lubelskiego. Pracował jako oficjalista. W 1868 roku, w wieku 29 lat, wstąpił w Tomaszowie Lubelskim w związek małżeński z Aleksandrą Mędrzecką z Żernik. Początkowo młodzi mieszkali w Tomaszowie, następnie w 1871 roku w Rachaniach. Tutaj w tym roku urodziły im się bliźnięta - chłopcy, którym rodzice nadali imiona Ezechiel Stefan i Jakub Romuald. Trzy lata później Lutniccy mieszkali w Szczembrzeszynie, gdzie na świat przyszły kolejne ich dzieci.

Co najmniej od 1895 roku syn Seweryna i Aleksandry - Ezechiel Stefan mieszkał w Krasnymstawie. Wówczas, jako 26-letni gospodarz, wstąpił w związek małżeński z 23-letnią Józefą Michalską, córką ślusarza w tym mieście, Klemensa Michalskiego. Dwa lata później Lutnickim urodził się w Krasnymstawie syn Wacław. W metryce chrztu zapisano, że ojciec jego był kowalem. Na rodziców chrzestnych wybrali szewca Jana Piskorskiego i Ewę Walińską, żonę Wojciecha, również szewca w Krasnymstawie. Przed 1900 rokiem rodzina przeniosła się do Lublina. Tam urodziły się

Lutnickim dzieci: Maria (1900-?), Bogusław (1905-?), Irena (1905-1944), Zygmunt (1908-1919), Zofia (1909-?), Janina Stanisława (1919-?). Te, które dożyły wieku dorosłego, pozostały w Lublinie i tutaj założyły rodzinę¹.

Podpis Ezechiela Stefana Lutnickiego, akta parafii rzymskokatolickiej pw. św. Jana w Lublinie, metryki chrztów, 1905 r.

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Józef Adam Dąbek

Sprawa chłopu pańszczyźnianego Tomasza Kaisza



Działo się to pod koniec XVIII wieku w Chłaniowie, kiedy proboszczem tamtejszej parafii był ksiądz Marcin Borzęcki, a lokalnym dziedzicem dóbr Chłaniowa i Wierzchowin był Piotr Pęczkowski. Ksiądz Borzęcki pełnił funkcję proboszcza od roku 1774, natomiast legitymujący się tytułem wojskiego przasnyskiego dziedzic Pęczkowski, stał się właścicielem tych dóbr znacznie później, prawdopodobnie w roku 1787 lub nieco wcześniej. Wymieniony w tytule Tomasz Kaisz, który przez lata był poddanym plebańskim, w dość niezwykłych, jak można by teraz powiedzieć „szokujących” okolicznościach, zmienił swój służebny stan i stał się poddanym lokalnego dziedzica. Sprawa jego losu i jego poddaństwa była wielokrotnie przedstawiana w kilku dokumentach związanych ze sporem, jaki przez lata toczyli między sobą ksiądz proboszcz Borzęcki i dziedzic Pęczkowski. Zapisy te możemy teraz uznać jako dowód rzadkiej jak na tamte czasy historii biednego chłopu, wziętego przez dziedzica

w obronę, przed niewątpliwie krzywdzącym postępowaniem proboszcza. Część tych dokumentów znajduje się w archiwum parafialnym parafii Chłaniów, a niektóre z nich można też odnaleźć w księgach grodzkich powiatu krasnostawskiego, należących do zbiorów Archiwum Państwowego w Lublinie. Znając dokładne daty ich sporządzenia, postaram się tę historię przedstawić w sposób chronologiczny.

Pierwszy dokument, w którym sprawa owego poddanego Tomasza Kaisza zostaje opisana, został sporządzony 24 kwietnia 1787 roku. Treść tego dokumentu, spisane go zapewne ręką dziedzica, wyraża skargę i prośbę zarazem, jaką złożył w obecności dziedzica oraz kilku świadków, skrzywdzony przez proboszcza jego własny poddany. Cały tekst spisany po polsku, nieposiadający urzędowej sygnatury ani tytułu, zaczyna się takimi słowami. *Tu przytomny Tomasz Kaisz, nieumiejący pisać, niżej znakami krzyża świętego wyraz czyniący, zdrowy na ciele y umyśle, dobrowolnie iawnie rozmyślnie, swym, Żony moiej y Syna mego jedynego Imieniem zeznawam. Aby dalszą część dokumentu w możliwie jasny i przystępny sposób wyrazić, postaram się część zapisanych starą polszczyzną zdań przetłumaczyć na język współczesny. Chcąc też bardziej uwiarygodnić tę historię, do poszczególnych wątków związanych z tym tekstem, dodawane będą jego oryginalne fragmenty. Cytowane tu nawet nieskładnie zapisane zdania powinny, jak sądzę, przyczynić się do pełniejszego oddania kolorytu tamtych czasów, jak też do odświeżenia zapisanych w pamięci obrazów niełatwego życia ówczesnej wiejskiej społeczności. Dowiadujemy się dalej, że ów Tomasz Kaisz, będąc poddanym proboszcza chłaniowskiego Jaśnie Wielmożnego księdza Marcina Borzęckiego, był przez niego z *chałupy kilkukrotnie wyrzuconym, aby w Kordon Cezarski uchodził namawianym y pieniędzmi od tegoż J.W. Proboszcza płaconym. Żona Tomasza, niestety niewymieniana tu z imienia, która jak się okazuje pochodziła z dworu chłaniowskiego, nie chcąc zrywać swoich „rodziny-nych koligacji”, była jakby „kotwicą” trzymającą na miejscu całą rodzinę Kaiszów. Jak dalej wynika z treści spisanego zeznania, *Proboszcz chłaniowski różnymi mię nayprzód sposobami uciemięzał, przeszkadzał y dokuczał a potym bił i kaleczył,***

¹ Artykuł stanowi fragment większego tekstu złożonego do druku w redakcji „Rocznika Tomaszowskiego”, tam zawarta jest również obszerna literatura na ten temat oraz wykaz źródeł.

*chcąc koniecznie abym przez takowe uciemiężenia y naprzykrzania uszedł ze wsi. Opierając się na wielu znanych nam źródłach historycznych, mówiących o tym jak ciężkie bywały warunki bytowania pańszczyźnianego chłopu, trudno tym słowom nie wierzyć. Należy też dodać, że tak realistyczny opis krzywd przedstawiony przez poddanego, daje nam mocną podstawę do surowej oceny osobowości ówczesnego chłaniowskiego plebana. I trzeba tu z przykrością przyznać, że w tak przedstawionym postępowaniu wobec biednego chłopu trudno doszukać się jakichkolwiek śladów chrześcijańskiego miłosierdzia. Z dalszej relacji poddanego Kaisza wynika, że proboszcz Borzęcki nawrzucał do jego częściowo zawalonej chałupy duże ilości konopi do ich obrobienia, mimo tego, że jak każdy inny plebański poddany mający tylko ogródki, nigdy ich wcześniej nie obrabiał. Na domiar złego, te gwałtem nawrzucone konopie stały się przyczyną pogorzeliska jego chaty. Jak dalej świadczy Kaisz: *stałem się bez sposobu do życia na całą zimę głodny y nagi, a nie chcąc włóczyć się po świecie, mając zaś za żonę ową poddankę Wielmożnego Pęczkowskiego, Woyskiego Przasnyskiego y dóbr Chłaniowa dziedzica, udałem się pod protekcją do Niego. Można się tutaj domyślać, że wszystkie nieszczęścia, jakie spotkały tego biednego chłopu były dla całej wiejskiej społeczności dobrze znane i stanowiły dla jego współmieszkańców nie lada sensację. Jest też wielce prawdopodobne, że do wyjścia spod kurateli proboszcza i do wyboru nowego opiekuna, Kaisz został zachęcony przez samego dziedzica Pęczkowskiego. Jakoż w zakończeniu swego świadectwa Tomasz Kaisz potwierdza, że ...nikt mnie więcej w moiej mizeryi nie wsparł, ani widział, a tak zawdzięczając Łaskę Wielmożnego Pęczkowskiego dla mnie świadczoną, ... pod Jego protekcją garnę się y onemu w wieczne poddaństwo z Synem moim oddałem się y zapisuję. Przedkłada też dziedzicowi swoją prośbę, upraszając tylko aby mi budynek mały na tej stronie co kościół nadał, gront zasiał y łąkę wyznaczył oraz składa przyrzeczenie a Ja za wszystkie te powinności, które rocznie pełnią poddani chłaniowscy z niemi nowego da Bóg chleba doczekawszy się czynić zobowiązuję, wraz z sukcesorami memi. Ostatnie oryginalne zdania tego dokumentu, poprzedzające symboliczne złożenie**

podpisów, brzmią następująco. *Co iako dobrowolnie, rozmyślnie y rozpatrzenie zeznam y zapisuję się, tak dla tym większej wagi mego wyboru, przy świadkach z gromad chłaniowskiej y wierzchowińskiej podpisuję się, czyli znak krzyża św. kładę. Dan w Chłaniowskim Dworze, dnia 24go miesiąca kwietnia Roku 1787go. Wszyscy podpisujący ten dokument są tu wymienieni z imienia i nazwiska. Warto ich w kolejności przytoczyć: Tomasz Kaisz znak krzyża świętego kładę, Franciszek Król Woyt Chłaniowa krzyż kładzie, Jan Kwiecień przysiężny chłaniowski krzyż kładzie, Szymon Chlustek Woyt Wierzchowy krzyż kładzie, Wojciech Misiec przysiężny wierzchowski krzyż kładzie.*

Nazwisko Mateusza Kaisza jako poddanego plebańskiego widnieje też w wykazie poddanych, sporządzonym prawdopodobnie przez samego księdza Borzęckiego. Zapisane tu imię Mateusz może być wynikiem pomyłki lub też ów poddany prawdopodobnie używał obu tych imion. Wykaz ten można odczytać z załączonej do tekstu ilustracji. Pod wykazem poddanych załączony jest dokładny opis nałożonych na nich powinności. Oto jego oryginalna treść. *Ciż poddani w Liczbie Osmiu mając Chałupy od plebanów wybudowane Grontu żadnego nie posiadają, tylko od dawnych Czasów z Dwuch Łanów Pola Plebańskiego, mając Ogrody nadane, za co Dwa Dni każdy na tydzień pieszą pańszczyznę odbywają do których Ogródów z dawności w Polu Plebańskim z Dwóch Łanów Pola po kawałku mają podzielone, do żadnej powinności Letniewy ani Zimowej nie są obowiązani, Kobiety zaś tylko w Ogrodzie Plebańskim Warzywo opleć, Konopie moczyć y międlić y Motków Kwotę w Rubryce wyrażonych uprząść są obowiązane.*

Kolejny dokument, w którym ponownie poruszana jest sprawa Tomasza Kaisza, został spisany niecałe dwa miesiące później, to jest 9 czerwca 1787 roku. Dokument ten zatytułowany jako „Komplanacja” czyli ugoda między stronami sporu, dotyczy w całości wyjaśniania kilku spornych spraw, jakie zaistniały w ostatnim czasie pomiędzy plebanem i dziedzicem. Są tam wyszczególnione i opisane trzy zasadnicze przyczyny ciągnących się sporów. Były to: dziesięcina wytyczona z dóbr wsi Chłaniów, sprawa gruntu dworskiego, na którym stoi budynek parafialny zwany szpitalem oraz sprawa nielegalnego propinowania trunków przez

księdza proboszcza Borzęckiego. Dziedzic Pęczkowski, proponując warunki ugody co do zajętej przez parafię części dworskiego gruntu, stawia proboszczowi konkretne wymagania. Powołując się na przykład Tomasza Kaisza, żąda *aby żaden Poddany plebański rugowany nie był oraz aby w tym Szpitalu z poddaństwa Dóbr Chłaniowa i Wierzchowiny osoby mieściły się y Funduszu iakowy dla tego Szpitala uczyniony jest uczestnikami zostawały*. W tym miejscu należy wyjaśnić nieco zagadkową nazwę parafialnego budynku zwanego w tych dokumentach szpitalem. Nazwa ta nie była przypadkowa. Jak wynika z dawnych opisów parafialnego inwentarza, część tego budynku służyła jako mieszkanie dla wikarego i organisty. Natomiast pozostałe pomieszczenia były przeznaczone na szpital albo przytułek dla osób bezdomnych lub chorych pochodzących z należących do parafii wiosek. Z czasem, ten należący do probostwa budynek, od dawna na tym samym miejscu wystawiany, przyjął potoczną nazwę „organistówki”.

Mogłoby się wydawać, że po wyciśnięciu rodowych pieczęci i podpisaniu rękami własnymi tej ugody w połowie 1787 roku, wszelkie spory pomiędzy plebanem i dziedzicem zostały zakończone. Jednak, mimo obopólnego podpisania tej komplancji, którą podpisał też *przytomny tej umowie Urzędnik Ziemiański Paczanowski*, spór ten trwał jeszcze przez lat kilka. Świadczy o tym kolejny, trzeci dokument, w którym postać Tomasza Kaisza znowu odgrywa istotną rolę. Druga komplancja, dotycząca w zasadzie tych samych spraw poruszanych raz jeszcze, została spisana pod koniec roku 1790, dokładnie 31 grudnia.

W tym dokumencie, po być może wielu kolejnych sporach i prowadzonych przez obie strony procesach, ponownie przedstawiona jest obustronna wola ich zakończenia. Pierwsze zdanie tej ugody brzmi następująco. *Mędzy Wielmożnym Jaśnie Panem Pęczkowskim Woyskim Powiatu Przasnyskiego, Dóbr wsiów Chłaniowa i Wierzchowiny Dziedzicem z iedney, a Wielmożnym Księdzem Marcinem Borzęckim Proboszczem Kościoła Chłaniowskiego z drugiej strony, stanęło wieczyście trwać mające postanowienie w ten sposób: Iż...* Kolejne zapisane tam treści świadczą, że stroną najbardziej zabiegającą o osiągnięcie ugody był dziedzic Pęczkowski. Okazuje się ponadto, że

w tym porozumieniu zależało mu nie tylko na swoich prawach, ale też na poprawie losu poddanych oraz na usprawnieniu funkcjonowania parafii. Można by rzec, działał *pro publico bono*. Świadczą o tym następujące słowa. *Jaśnie Wielmożny Piotr Pęczkowski iako Dziedzic Dóbr Chłaniowa y Kollator tegoż Kościoła, swym y Następców swoich Imieniem zatwierdza tak dalece, że nic a nic Praw Kościoła Chłaniowskiego nadwyręzać nie pragnie, y owszem temuż Kościołowi dawniejsze przywraca Przywileie y tych upadku bronić iak najmocniej oświadcza się, tego tylko po Jaśnie ks. Borzęckim y Jego następcach wymagając, aby zawsze przy tymże Kościele Wikary tak dla zupełniejszej Chwały Boskiej, iako też y dla wspólney wygody Kollatora wraz z Parafianami, tudzież samegoż J ks. Proboszcza Chłaniowskiego Kościoła był utrzymywany.*

W kolejnych zapisach drugiej komplancji ponownie wraca na parafialną „wokandę” sprawa Tomasza Kaisza. Dziedzic Pęczkowski jeszcze raz dość dokładnie opisuje okoliczności sporu oraz, posługując się tym przykładem, chce uzyskać od proboszcza zapewnienie, aby w przyszłości zapobiegać podobnym przypadkom. O dobrej woli dziedzica i jego prospołecznej postawie przekonują następujące zapisane tam słowa. *Poddany Tomasz Kaisz aczkolwiek na Groncie Plebańskim wychowany, że iednak przypadkiem Ognia z mąiatku wyzuty, za Granicę udawać się w Kordon mąiący, miasto tego do W. Pęczkowskiego Dziedzica udał się i stąd kłutni między W. Pęczkowskim Dziedzicem a J ks. Borzęckim Proboszczem Kościoła Chłaniowskiego stał się powodem, y chociaż na koniec J ks. Borzęcki Proboszcz Chłaniowski Dekret Grodu Krasnostawskiego między sobą a W. Pęczkowskim roku terażniejszego zapadły Extradycją tegoż Tomasza Kaisza z Żoną y Dziećmi tudzież domowymi sprzętami zyskał, przecież tenże Tomasz Kaisz a to z obopólnego między stronami ułożenia się, na zawsze y ze wszystkim przy tymże W. Pęczkowskim Dziedzicu zostawać ma. Żeby zaś takowa okoliczność na pozniejszy czas stron obydwuch nie nadwyrężały spokojności y próżnego nie przyniosły kosztu, przeto takowe na potym między stronami stąią układy, iż rozmnożeni y wychowani na Groncie Plebańskim Ludzie gdy z racyi Grontów Plebańskich zajętych całkiem*

osiadłością nie mogąc mieć na tychże Grontach pomieszczenia, do inszych mieysc częstokroć się przenoszą i tulać się po całym świecie muszą, iak z przypadku Tomasza Kaisza to naydokładniey wykazuje się, a stąd Dziedzicowi mogącemu tymże Ludziom dać w wioskach swoich mieysce y żywność, jakoże dzieie im się krzywda. Przeto J ks Borzęcki z swemi następcami, W. Pęczkowskiego Dziedzica Sukcesorem od takowych zbiegłych poddanych czyniąc, nie będzie nigdy mocen takowych poddanych od Dziedzica odzyskiwać y o tych dopominać się. Strony Obydwie chcąc do ich naytrwalszego przyiść ze sobą pokoyu, który zdaie się trwale umacniać szczęśliwość ludzką, ażeby żadney na potym nie zostawić do kłutni drogi, w takowym sposobie ugodę między sobą wnoszą.

Znaczącą jest data podpisania tego kolejnego porozumienia. Był to ostatni dzień roku kalendarzowego 1790. Można się tylko życzliwie domyślać, że właśnie w ten szczególny dzień, trwający od kilku lat spór obu zwaśnionych stron, znalazł wreszcie swoje szczęśliwe zakończenie. Tym razem, do podpisania ugody przez dziedzica Pęczkowskiego i proboszcza Borzęckiego dołączył *przytomny udziałaniu tey Transakcyi Przyjacieli Stron Obydwuch Felix Piasecki*. Brak jest w parafialnym archiwum kolejnych dokumentów tyczących wyżej opisanych spraw. Zatem należałoby uznać, że „wieczyście trwać mające porozumienie” zostało przez obie strony ostatecznie zaakceptowane.

Tutaj sprawa Tomasza Kaisza, chłop pańszczyźnianego, głównego bohatera tej historii, znajduje swoje formalne zakończenie. Niestety, dalsze losy jego poddaństwa u dziedzica Pęczkowskiego jak też kolejne losy jego rodziny nie są mi znane. Wiadomo tylko, że to nazwisko figurowało w aktach chłaniowskiej parafii przez kolejne wieki. Sam też pamiętam chyba już jedyną wtedy rodzinę Kaiszów w Chłaniowie, która po wojnie, aż do końca lat sześćdziesiątych trudniła się prowadzeniem dobrze wtedy prosperującej wiejskiej gospody. Przeglądając aktualny spis nazwisk mieszkańców Polski okazuje się, że jest to teraz nazwisko nader rzadko występujące.

Dodajmy tu jeszcze nieco więcej informacji o obu Jaśnie Wielmożnych osobach, głównych aktorach toczonych między sobą sporów.

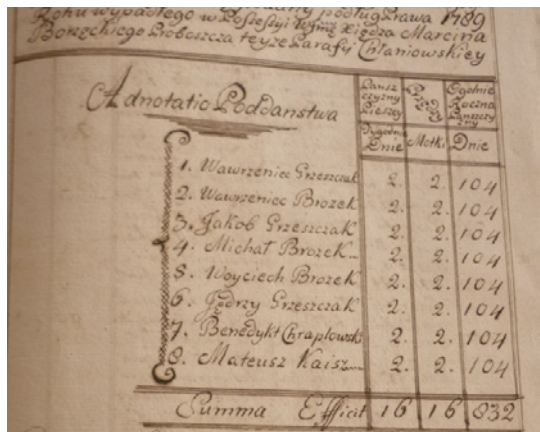
Piotr Pęczkowski był pierwszym wywodzącym się z tej rodziny właścicielem Chłaniowa. Tytułował się w dokumentach jako Piotr na Pęczkach lub Piotr de Pęczki Pęczkowski. Jego rodowód zapewne związany jest z leżącym na Mazowszu powiatem przasnyskim. Miał on syna Norberta urodzonego około roku 1768, prawdopodobnie w Gruszcze Dużej, któremu w roku 1807 przepisuje cały swój majątek. Przepisanie majątku nastąpiło w obecności odpowiedniego urzędnika oraz świadków, zaś sam dokument nosił nazwę „umowy o wieczystej darowiźnie zawartej między żyjącymi”. Od tego roku właścicielem Chłaniowa i prawdopodobnie też Wierchowin, staje się Norbert Pęczkowski. Ostatnim z tej rodziny dziedzicem Chłaniowa był syn Norberta - Franciszek Piotr Pęczkowski, który umiera bezpotomnie 23 grudnia 1830 roku, mając zaledwie 28 lat. O pomniku nagrobnym Franciszka Piotra Pęczkowskiego, *który jako jeden z trzech stojących na cmentarzu pomników z kamienia ciosanego wyrobionych, zasługuje na wspomnienie*, pisał w połowie XIX wieku w swoim raporcie o chłaniowskiej parafii kronikarz lubelskiej diecezji ksiądz Karol Boniewski.

Dane biograficzne, jakie udało mi się zebrać, dotyczące księdza Marcina Borzęckiego są dość skąpe. Nieznane jest jego miejsce urodzenia. Nie wiemy też w jakich parafiach pracował przed objęciem parafii w Chłaniowie. Wiadomo tylko, że w dekanatach krasnostawskim i turbowińskim pełnił przez pewien czas funkcję dziekana. Proboszczem chłaniowskiej parafii był od 15 lutego 1774 roku do 24 listopada roku 1797. Pełnił tam posługę duszpasterską przez 23 lata, prawdopodobnie aż do dnia swojej śmierci. Zmarł w wieku 70 lat. Tam też został pochowany, za głównym ołtarzem chłaniowskiego kościoła.

Opisane tu postaci i wydarzenia sprzed ponad dwustu lat, dzięki zachowanym w archiwach zapisom, mogą być przykładem wzajemnych relacji dwóch wyższych warstw społecznych, czyli ówczesnego ziemiaństwa i osób duchownych. To od nich zależał los uboższych. Stara prawda mówi, że historia kołem się toczy. Tak więc dawniej jak i teraz, tak zwany społeczny dobrobyt zwykłych obywateli w znacznej mierze zależy od odpowiedzialności i dobrej woli rządzących. Tacy rządzący potrzebni są zawsze.

Materiały źródłowe:

- archiwum parafii Chłaniów,
- Archiwum Państwowe w Lublinie, sygn. 35/20/0/5/617,
- lubgens.eu, genealogiczny portal internetowy.



Wykaz plebańskich poddanych
księdza Marcina Borzęckiego.

Józef Adam Dąbek
Fotografia autora.

- Jan Karol Romanowski, cześnik chełmski (1656-1660), podstarości krasnostawski (1660-1663), podsędek chełmski (1660-1662), chorąży chełmski (1676-1694), poseł na sejm,
- Tomasz Jan Romanowski, chorąży chełmski (1676-1699), podkomorzy, poseł na sejm (zm. 1736),
- Krzysztof Romanowski, podstoli chełmski (1736-1746), podczaszy chełmski (1746-1748), stolnik chełmski (1748-1752), chorąży krasnostawski (1752-1760),
- Krzysztof Józef Romanowski, podkomorzy chełmski (1736-1738),
- Józef Romanowski, pisarz ziemski chełmski (1765-1775)².

Karierę rodu zapoczątkował najstarszy z wymienionych - Andrzej. To jego potomkowie należeli do elity szlacheckiej ziemi chełmskiej. Ich gniazdem rodowym był już inny Romanów - ten w ziemi chełmskiej, w powiecie krasnostawskim położony. Jednak więzy pokrewieństwa między Romanowskimi z ziemi lwowskiej a „naszymi” istnieją. Wszak jedni i drudzy pieczętują się Bożą Wolą.

Po raz pierwszy (?) Romanów jest wzmiankowany w roku 1533 jako wieś wchodząca w skład parafii Ostrzyca. Według Józefa Niedźwiedzia - w roku 1553 kanclerz wielki koronny, sekretarz królewski (...) etc. - Jan Ocieski - zamienił wsie królewskie Ostrzycę i Izbicę (jako ich dzierżawca) na część wsi Romanów, będącej wówczas we władaniu Adama i Andrzeja Romanowskich oraz Jana Borzęckiego. Dalej badacz ten pisze: *Według rejestru poborowego w 1564 roku Feliks i Piotr Romanowscy posiadali tu 2 i 1/2 łana ziemi, a Adam Romanowski 1 i 1/2 [...]. W latach 1662-1667 występował tu Jan Karol Romanowski, chorąży chełmski, który dziedziczył po swoim ojcu Andrzeju, podsędku bełskim, [...] a w latach 1676-1734 notowany był jego syn - Tomasz Jan z Romanowa Romanowski, najpierw chorąży, a później podkomorzy chełmski*³.

Waldemar Seroka**Dwór Romanów**

*Ród Romanowskich herbu Bożawola (Boża Wola) jest znany od XV wieku, a wywodzi się od bojarów z Rusi Czerwonej. Nazwisko pochodzi od miejscowości Romanów, położonej w ziemi lwowskiej. Najstarszy znany przodek, Jan Hlib (zm. 1411) brał udział w bitwie pod Grunwaldem. W czasach I Rzeczypospolitej przedstawiciele rodu pełnili liczne urzędy ziemskie, zwłaszcza na terenie ziemi chełmskiej*¹.

Należeli do nich m.in.:

- Andrzej Romanowski, podsędek bełski (1640-1648),

² H. Gmiterek, R. Szczygiał (oprac.), *Urzednicy województwa bełskiego i ziemi chełmskiej XIV-XVIII wieku. Spisy*, Kórnik 1992, s. 259.

³ J. Niedźwiedź, *Leksykon historyczny miejscowości dawnego województwa zamojskiego*. Zamość 2003, s. 425.

¹ Kazimierz Romanowski h. Bożawola, członek Związku Szlachty Polskiej, (szlachta.org.pl).

Ostatnim, z tego rodzaju właścicielem części Romanowa był Andrzej Romanowski - być może potomek podsędką bełskiego. Mówi o tym „Inwentarz części dóbr Andrzeja Romanowskiego we wsi Romanów spisany przy przekazywaniu w posiadanie klasztorowi misjonarzy krasnostawskich z 1747 roku”⁴. Dokument ten dotyczy części majątku; rodzi się więc pytanie, co z pozostałą częścią dóbr?

W roku 1706 podzielono ją między braćmi Adamem i Pawłem Maszowskimi z jednej strony a Andrzejem i Mikołajem Rąbłowskimi z drugiej. Część po braciach Maszowskich, oznaczoną literą „A” przejął w roku 1718 Andrzej Rąbłowski, a po nim Łukasz Kurowski, który w roku 1726 wszedł w posiadanie pozostałej części „Rąbłowszczyzny”, oznaczonej literą „B” - skupiając rzeczoną część w rękach Kurowskich prawie na 100 lat⁵.

Ostatnim z rodu Kurowskich w linii męskiej był Ignacy - wnuk Łukasza. Ignacy Kurowski zmarł w roku 1806, pozostawiając żonę Teklę z Kotowskich, urodzoną w Jaślikowie, lat 35 mającą i dwuletnią Karolinę Agatę - jedyną ich córkę. Po dwóch latach wdowieństwa Tekla poślubiła Feliksa Piaseckiego - zagrodowego szlachcica z Piaski Ziemiańskich, który dziedzictwem Romanowa nie nacieszył się długo, bo zmarł bezpotomnie w roku 1814, mając lat 46.

Jeszcze przez 13 lat Tekla Piasecka *primo voto* Kurowska zawiadywała upadającym powoli majątkiem. Na domiar złego toczyła proces z Wojciechem Sobieszczańskim - wnukiem Łukasza Kurowskiego i jego pierwszej żony Bogumili ze Śmiechowskich, który domagał się spadku po rodzicach i zmarłym bezpotomnie wuju, żądając 6 tysięcy złotych. Tekla zataiła, że część dóbr po Łukaszu i Bogumile jest obciążona hipotecznie i nie godząc się na żaden kompromis z powodem, doprowadziła do przegranego procesu przed Trybunałem Cywilnym w Lublinie w 1823 roku.

Przed niechybnym bankructwem uratował folwark Jordan Walenty Skomorowski - sekretarz i sędzia tegoż trybunału oraz dziedzic majątku w Skomorochach koło Grabowca. Poślubił on Karolinę Agatę Kurowską, którą zapoznał w tymże

trybunale, gdy ta wiosen 19 miała. Ich ślub odbył się 23 września 1827 roku, który *poprzedziła tylko jedna zapowiedź w dniu 16 września 1827 roku w parafiach Tarnogórskiej i Lubelskiej a od dwóch wydano przez Władzę Konsystorską dyspensę pod dniem siedemnastego września roku bieżącego*⁶.

W tym czasie folwark w Romanowie liczył 659 mórg przestrzeni, w tym, z grubsza biorąc, gruntów ornych - 247 mórg, lasów - 132, łąk - 62. W użytkowaniu włościan pozostawało - 160 mórg, reszta to nieużytki i drogi oraz ogrody i zabudowania⁷. Był też drewniany dwór i „serce wsi” - karczma z obrotnym arendarzem Leyzorem Mittagiem za szynkwasem...

W roku 1836, po urodzeniu piątego dziecka, Karolina zmarła w połogu. Po jej śmierci, Jordan nabył prawo dożywotniego użytkowania 1/6 dóbr. W roku 1857, po wykupieniu od pozostałych spadkobierców, czyli od swoich dzieci (i wcześniej od Tekli Piaseckiej) pozostałych części - został jedynym dziedzicem Romanowa⁸.

W związku z przejściem w stan spoczynku i planowanym przeniesieniem się do Lublina, Jordan Skomorowski sprzedał swój majątek Aleksandrowi Kotowskiemu, dziedzicowi Sułowca „B”. W tym miejscu należy dodać, że uczestników tej transakcji łączyły więzy powinowactwa: Tekla Piasecka była ciotką Kotowskiego i teściową Skomorowskiego. Nowy dziedzic Romanowa Aleksander Roch Kotowski, syn Antoniego i Rozalii z Dziwulskich urodził się w roku 1819 w Chomęciskach Szlacheckich, które wraz z Wierzbą wchodziły w skład dóbr Stary Zamość, należących do Dziwulskich. Jego żoną była Teofila z Sawickich urodzona w Woli Gałęzowskiej koło Bychawy, w roku 1831.

Do Romanowa Kotowscy przybyli przed rokiem 1863 i od razu popadli w tarapaty za sprawą siostry Aleksandra - Teresy Katarzyny, żony Piotra Aleksandrowa, *wagenmeistra Nowo Ingiermantandeckiego Pułku Piechoty Wojsk Cesarsko-Rosyjskich obecnie w mieście Mińsku, Cesarstwie*

⁶ Metryka ślubu z 23 IX 1827 r. Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej w Tarnogórze oraz Zbiór dokumentów dóbr... Tamże.

⁷ R. Kulik, H. Kulik, *Grabowiecki słownik biograficzny* (wyd. int.), s. 121.

⁸ Tamże, s. 122.

⁴ Krasnostawskie księgi grodzkie (streszczenie wpisu).

⁵ Archiwum Państwowe w Zamościu (APZ). Zbiór dokumentów dóbr Romanów. Akta hipoteki Romanów A i B.

*Rosyjskim konsystującego*⁹. Wytoczyła ona bratu dwa procesy: przed *Sądem Appelacyjnym* w roku 1860 o 1/3 część spadku po ojcu Antonim i przed Trybunałem Cywilnym Guberni Lubelskiej w 1863 o połowę z 1/3 części spadku po zmarłym bezpotomnie bracie Karolu - żołnierzu Modlińskiego Pułku Piechoty.

Wartość spadku (mowa o Sułowcu) przejętego w całości przez Aleksandra Kotowskiego oszacowana została na sumę 3700 rubli srebrnych, z której to sumy na rzecz Teresy Katarzyny Aleksandrów zasądzonych zostało rubli srebrnych 1850 z procentem. Te dwa procesy i ten sprzed 40 lat „wysały” z romanowskiego majątku ogromną część jego wartości. Już wkrótce odczują to kolejni właściciele.

Romanów był prywatną wsią szlachecką, gdzie oprócz folwarku i dworu żyła „na swoim” szlachta zagrodowa, nazywana też szlachtą zagrodową, bo na niewielkich, ale dziedzicznych częściach dóbr osady swoje miała, które sami właściciele obrabiali bądź najmowali włościan. Zdarzało się, że włościanin był nieraz zamożniejszy od szlachcica, ale ten choć boso, to „przy szabli” - korzystający z pełni praw szlacheckich („szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”). Takich rodzin przed powstaniem styczniowym było tu ponad 20, tyle samo włościańskich, 6 żydowskich i kilka majstrów innego *kunsztu* - kował, tkacz, garbarz...

Z dawnych nazwisk szlacheckich nie zostało się żadne. Ich gruntami zawładnęli chłopci, wykupując je od zubożałych „panów” bądź przejmując przez wchodzenie w powinowactwo (przed uwłaszczeniem), czego przykładem może być małżeństwo szlachcica Michała Szawłowskiego z włościanką Marianną Mazurkówną (1812 r.). Był czas nie zatarł i niepamięć, wymieńmy choć część tych nazwisk: Bidzińscy, Borowscy, Blumbergowie, Gąsiorowscy, Jankowscy, Kurowscy, Maszowscy, Michniewiczowie, Nowiccy, Piaseccy, Piotrowscy, Piszchowsky, Płotniccy, Poniatowscy, Pulikowscy, Skomorowscy, Sobieszczańscy, Śliwińscy, Wadecy, Zbawscy, Żmudzczy...

Podczas uwłaszczenia w roku 1864, ziemię otrzymało 22 włościan. Największy nadział wynosił 15 mórg i 179 prętów, najmniejszy 71 prętów. Łącznie romanowscy chłopci otrzymali na własność 142 morgi i 278 prętów ziemi oraz prawo do serwitutów. Właścicielowi Aleksandrowi Kotowskiemu, tytułem odszkodowania za utracone grunty, Komitet Urządzący - czyli organ powołany do przeprowadzenia reformy uwłaszczeniowej - przyznał 1966 rubli srebrnych¹⁰. Kwota ta nie zasiłowała jego budżetu, lecz w całości została przejęta przez wspomnianą już Teresę Katarzynę Aleksandrów - siostrę Kotowskiego.

Trudną sytuację Kotowskich pogorszyła choroba Teofilii, która po urodzeniu w 1868 roku córki Zofii, ciężko zaniemogła. Wyjechali więc do Lublina z nadzieją na lepszą opiekę medyczną. Jednak jej życia nie udało się już uratować. Zmarła w roku 1874, mając lat 44. Ster wszystkich spraw Romanowa trzymał w tym czasie najstarszy ich syn Antoni.

Po przejściu przez okres żałoby Aleksander ponownie się ożenił. Jego drugą żoną została Helena Kazimiera Fryderyka trojga imion Orłowska, urodzona w Krakowie w roku 1839. Ich związek przerwała śmierć Aleksandra w roku 1880, który spoczął przy Teofilii na cmentarzu przy ulicy Lipowej¹¹. Spadkobiercami po Aleksandrze Kotowskim zostali jego dzieci: Antoni, Stanisław i nieletnia Zofia. Wkrótce dołączyła do nich owdowiwała Helena, by korzystać z przysługujących jej praw dziedziczkich. Ale tutaj doszło zaraz do animozji między nią a Antonim, który wyprzedał przez *licytację w dniu 8 (20) listopada r.b. inwentarze żywy i martwy, powozy, bryczki, sanie, narzędzia rolnicze, meble, naczynia kuchenne etc.* - o czym informowała „Gazeta Polska” z 14 listopada 1882 roku¹².

Tak огоłocony majątek popadł w jeszcze głębszy kryzys. W lipcu 1887 roku, na łamach „Gazety Warszawskiej” ukazał się anon o jego pierwszej licytacji, a w marcu 1889 roku o drugiej. Przed

⁹ APZ, Wyrok Trybunału Cywilnego Guberni Lubelskiej w Lublinie z dnia 16 (28) lutego 1863 r., Zbiór dokumentów dóbr... Tamże.

¹⁰ Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie, Tabela likwidacyjna wsi Romanów, zespół: Tabele likwidacyjne, sygn. 1503.

¹¹ W roku 1868 spoczął tu poprzedni dziedzic Romanowa, Jordan W. Skomorowski. Jego żonę Karolinę Agatę pochowano w Tarnogórze.

¹² Nestor 4(50) 2019, s. 38.

zlicytowaniem uratował go Konrad Puternicki - urzędnik państwowy, który tak jak niegdyś Jordan Skomorowski, poślubił spadkobierczynię części tych dóbr - Zofię, córkę Aleksandra i Teofili.

Konrad Gustaw Puternicki, urodzony w Warszawie w 1858 roku, był absolwentem Wydziału Rolnego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Nowej Aleksandrii (w Puławach). Zasiłił podupadły majątek świeżym dopływem gotowizny i nową wizją agrarną. Puternicki miał dwie pasje - nowoczesne rolnictwo i hazard. Przy kartach spędził wiele nocy, ale nigdy się w nich nie zatracił. Pilnował interesów, a napędem mnożącym dochody miało być młynarstwo.

Kosztami wielu wyrzeczeń wybudował nowoczesny młyn walcowy, który gotowość produkcyjną osiągnął w 1905 roku. Wkrótce jednak musiał zaprzestać przemiatu, bo piętrzenie wody powodowało podtapianie łąk. Poszkodowani chłopcy z Dworzysk wnieśli pozew do sądu i sprawę wygrali. Ogromne nakłady pochłonęły odmęty Wieprza. Drugi akt dramatu nastąpił rok później. Jak donosił „Kurier Warszawski” z 18 I 1907 roku: *dnia 9 b.m. w nocy na folwarku Romanów w pow. Krasnostawskim wybuchł pożar, od razu ze wszystkich stron. Zgorzały cztery stodoły ze zbożem, zapasy paszy, narzędzia itd. Ogień był podłożony. Straty wielkie i dotkliwe, gdyż ubezpieczone były jedynie budynki*¹³.

Podpalenie folwarku było pokłosiem strajków służby folwarcznej, które w burzliwych latach 1905-1907 ogarnęły ziemię krasnostawską. W tej sytuacji Konrad Puternicki skapitulował. Nie był w stanie spłacić zaciągniętych kredytów, o czym informował „Głos Warszawski” z 6 IV 1908 roku, zamieszczając ogłoszenie Dyrekcji Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie: *[...] poniżej wymienione dobra ziemskie [...] z guberni Lubelskiej, wystawione zostają za zaległość należności Towarzystwa na sprzedaż przymusową: Chorupnik, Gardzienice, Gorzków, Rożki [...] i Romanów*. Licytacja odbyła się w sierpniu 1908 roku¹⁴. Po parcelacji, większość popołwarczych gruntów za-

kupił Franciszek Franczak, gospodarz z Gór koło Krasnegostawu i jego syn Józef, urzędnik bankowy - po 100 mórg każdy. Na resztkach tej rodzinnej fortuny „siedzi” do dziś ich potomek.

Konrad Puternicki opuścił niebawem Romanów. Wyjechał z rodziną do Lublina, gdzie włączył się w nurt pracy organicznikowskiej w Lubelskim Towarzystwie Rolniczym skupiającym postępowe ziemianstwo. Organizował wystawy i pokazy rolnicze na terenie całej guberni. Później udzielał się w Okręgowym Towarzystwie Pszczelniczym, którego był wiceprezesem. Zmarł w Warszawie w roku 1946. Spoczywa na Starych Powązkach. Żona Zofia zmarła w 1936 r., pochowana przy rodzicach w Lublinie. Puternicki mieli czworo dzieci: Aleksandra, Józefinę Gabrielę, Augusta Prota i Helenę Janinę. Druga żona Aleksandra Kotowskiego - Helena, zmarła w Romanowie w roku 1896.

*

Po romanowskim dworze, rozebranym - jak pisze J. Niedźwiedź - w roku 1916, zostały jedynie resztki kuchni dla czeladzi, przerobionej przez nowego właściciela na obórkę i fragmenty wozówki. Młyn, którego białe mury zdobiły malowniczą dolinę Wieprza, był przez długie lata miejscem romantycznych schadzek. Dziś nie ma już po nim śladu. Został „zdmuchnięty” przez saperów u progu lat 80. minionego stulecia. Pozostały wspomnienia i spór wśród najstarszej generacji Romanowa o walce (mlewniki) - czy zostały zarekwirowane przez Rosjan w roku 1915, czy przez Austriaków w 1918? I jeszcze coś - opuszczony, zaniedbany grób Heleny Kotowskiej na cmentarzu w Tarnogórze oraz fotografia jej „przyszywanego” zięcia - ostatniego współdziedzica Romanowa.

Waldemar Seroka

Waldemar Seroka - urodzony w 1949 roku, emerytowany oficer Wojska Polskiego, syn żołnierza AK i zesłańca Sybiru, regionalista i pasjonat historii Armii Krajowej. Autor publikacji na temat żołnierzy Armii Krajowej z Zamojszczyzny.

¹³ Nestor 4(38) 2016, s. 48.

¹⁴ Nestor 1(31) 2015, s. 33. Wg. J. Niedźwiedzia, folwark wylicytował Leyba Feldman, pośrednik handlowy i po rozparcelowaniu wystawił go na wolną sprzedaż.

Lucjan Cimek

Duszpasterstwo Armii Krajowej Okręgu Wołyń



Działalność polskiego duchowieństwa katolickiego w latach II wojny światowej nie ograniczała się tylko do służby w szeregach Wojska Polskiego i towarzyszenia żołnierzowi polskiemu na wszystkich frontach, lecz obejmowała również - i to w pełnym zasięgu - cały wewnętrzny front podziemny. Księża katolicy byli również wiernymi towarzyszami i współuczestnikami bohaterskich czynów żołnierzy polskiego podziemia, zaszerzowanych zarówno w Armii Krajowej, jak i Batalionach Chłopskich, oraz - choć w mniejszym już stopniu - w innych ugrupowaniach.

Wielu z nich spędziło z żołnierzami podziemnego państwa całe lata w oddziałach leśnych, dzieląc ich twarde życie obozowe i ciągłe niebezpieczeństwo. Byli przede wszystkim ich duszpasterzami, ale niejedni, gdy zaszła potrzeba, brali udział w akcji z bronią w ręku. Nie kryli się przed wrogiem. Pełnili niejednokrotnie bardzo odpowiedzialne i niebezpieczne funkcje w całej hierarchii podziemnego wojska od samych jego szczytów po drobne oddziały leśne. Zakładali i prowadzili tzw. skrzynki kontaktowe, pełnili role łączników, wywiadowców i zaopatrzeniowców, wydawali i kolportowali tajne biuletyny informacyjne, a ten i ów nawet organizował i prowadził na plebanii podziemną podchorążówkę czy szkołę podoficerską. Wielu z nich przypląciło tę swoją patriotyczną działalność więzieniem, obozem koncentracyjnym i śmiercią, najczęściej męczeńską.

Całkowita liczba księży katolickich pracujących w konspiracji jest trudna do ustalenia, ponieważ obok oficjalnych niejako kapelanów armii podziemnej, istniało wielu ochotników nigdzie niezarejestrowanych, bez stopni wojskowych i pseudonimów, pracujących jednak ofiarnie i z narażeniem życia, oddanych bez reszty idei wolności Ojczyzny. Łączył ich wszystkich jeden cel - odzyskać wolność Polski. Służyli krajowi tak jak umieli i mogli, jak pozwalały na to okoliczności i warunki zewnętrzne, a te, w przypadku Wołynia były szczególnie i wyjątkowo niebezpieczne.

Nadszedł czas, by na łamach „Nestora” przekazać prawdę o ich ofiarnym trudzie życia i czynach bohaterskich, o ich bezgranicznej miłości Ojczyzny.

Dziekanem AK Okręgu Wołyń był ks. mjr **Gracjan Rudnicki** ps. „Gracjan”, „Krzysztof”, przedwojenny kapelan rezerwy WP, uczestnik kampanii wrześniowej. W czasie okupacji proboszcz w Bielinie pod Włodzimierzem Wołyńskim i kapelan w włodzimierskim zgrupowaniu partyzanckim „Osnowa”, później 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Odznaczony Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Zastępcą diekana to ks. ppłk **Antoni Piotrowski** ps. „Prawdź”, kapelan zawodowy WP sprzed 1939 r. w Kowlu. W czasie okupacji proboszcz w Kowlu i kapelan 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Jego plebania była ważną komórką kontaktową, a on sam od czerwca 1941 r. - duszą organizacji partyzanckiej. W lutym 1942 r. przybywał do Warszawy, nawiązuje kontakt z ks. płk. prałatem Tadeuszem Jachimowskim ps. „Budwicz” i ks. mjr. Stefanem Kowalczykiem ps. „Biblia” - naczelnymi kapelanami AK. Otrzymuje od nich potrzebne instrukcje oraz niezbędny sprzęt liturgiczny. Po powrocie do Kowla ożywia środowisko miejscowych kolejarzy, zaprzysięgając ich i przyjmując do zgrupowania partyzanckiego. Był zawsze na pierwszej linii, niosąc ostatnią posługę konającym żołnierzom. Odznaczony Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Inni księża:

ks. kpt **Antoni Dąbrowski** ps. „Rafał”, przed 1939 r. kapelan rez. WP, uczestnik kampanii wrześniowej. W czasie okupacji kapelan 50. pułku piechoty w zgrupowaniu włodzimierskim „Gromada”. Brał udział w akcji „Burza”, odznaczał się odwagą i wielkim poświęceniem;

ks. **Henryk Grabowski**, kapelan rez. 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty w Kowlu, proboszcz w Powórsku;

ks. **Stanisław Halagiera**, aktywny członek wydzielonej organizacji dywersyjnej AK „Wachlarz”. Prowadził punkt kontaktowy w Żytyniu, koło Równego (gm. Aleksandria). Jeździł na wschód, aż do Kijowa ze swoją duszpasterską misją, w czasie

której udzielał zbiorowo ślubów i chrztów, pełniąc jednocześnie rolę łącznika i wywiadowcy szczególnej rangi;

ks. **Stefan Jastrzębski** ps. „Jaśmin”, proboszcz w Lubomlu, doradca i współpracownik straconych, kronikarz wydarzeń z lat 1939-1946;

ks. prałat **Stanisław Kobyłecki**, proboszcz w Włodzimierzu Wołyńskim, prowadził szeroko zakrojoną działalność charytatywną, opiekował się rannymi partyzantami. Dzięki jego pośrednictwu uwolniono z aresztów niemieckich licznych zakładników. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami;

ks. **Franciszek Korwin-Milewski**, proboszcz w Maciejowie na Wołyniu;

ks. **Wiktor Kryweńczyk** ps. „Przywalski”, proboszcz w Jagodzinie, pow. lubomelski, czynny konspirator i gorący patriota;

ks. **Jan Markul** ps. „Bogumił”, proboszcz w Kamieniu Koszyrskim, wydatnie współpracował z polskim podziemiem ZWZ i AK. Udzielał wszechstronnej pomocy rodzinom ofiar mordów ukraińskich i opiekował się rannymi partyzantami, dostarczając im różne medykamenty;

ks. kanonik **Feliks Sawicki** ps. „Feliks”, działał na terenie wschodniego Wołynia, najwięcej w okolicach Równego i Zdołbunowa, a później na Lubelszczyźnie. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami;

ks. **Stanisław Symon** ps. „Stanisław”, jako kapelan oddziałów partyzanckich AK w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego, brał udział we wszystkich akcjach bojowych. Odznaczony Krzyżem Walecznych i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami;

ks. **Bolesław Szawłowski** ps. „Szczepan”, organizator siatki konspiracyjnej SL „Roch” i samoobrony wsi zamieszkałych przez Polaków na terenie parafii Poryck w pow. włodzimierskim. Proboszcz tejże parafii, bestialsko zamordowany przez ukraińskich nacjonalistów z OUN-UPA w czasie odprawiania mszy św. w tzw. „krwawą niedzielę” - 11 lipca 1943 r.;

ks. **Leon Śpiewak** ps. „Oboźnik”, proboszcz parafii w Hucie Starej na Zasluczu w pow. kostopolskim. Kapelan w oddziale partyzanckim AK kpt. Władysława Kocharńskiego ps. „Wujek”, „Bomba”. Wraz z nim i por. „Strzeżem” (Sylwester Jaworski) 21 grudnia 1943 r. podstępnie rozbrojeni i aresztowani;



Ks. płk prałat dr Tadeusz Jachimowski ps. „Budwicz”, naczelny kapelan Armii Krajowej. Zginął na Woli w pierwszych dniach powstania - 7 sierpnia 1944 r. (Zdjęcie przedwojenne).



Ks. Bolesław Szawłowski ps. „Szczepan”, zamordowany 11 lipca 1943 r. w Porycku na Wołyniu podczas odprawiania mszy świętej.



Lucjan Cimek w rozmowie z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim nt. tragicznych wydarzeń zaistniałych na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich, Chełm, 11 lipca 2009 r. Zdjęcie ze zbiorów autora.

wani przez partyzantkę sowieckiego oddziału gen. Michaiła Naumowa, przewiezieni do Kijowa, a następnie wywiezieni do Moskwy;

o. **Ludwik Wrodarczyk** ps. „Wojciech” (l. 36), zakonnik ze Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów (OMI), rodem z Radzionkowa, koło Bytomia, pełnił posługę duszpasterską w Okopach, gm. Kisorycze, pow. sarneński. Działalność konspiracyjną rozpoczął w szeregach Związku Walki Zbrojnej w 1941 roku. Poniósł śmierć męczeńską z rąk reżunów OUN-UPA. W dniu św. Mikołaja, 6 grudnia 1943 r., został uprowadzony do wsi Karpiłówka i tam 7 grudnia rozebrany do naga, został przywiązany do kłosa drewna i na koźle przepiłowany piłą przez ukraińskie kobiety, na oczach wszystkich mieszkańców.

W podobny sposób, często pod pretekstem wezwania do chorego, banderowcy uprowadzili i wymordowali kilkunastu niewinnych kapłanów. Wielu innych zaginęło bez śladu bądź zostało rannych. Pamięć o trudnej i ofiarnej ich służbie Ojczyźnie, o ich zasługach w pracy niepodległościowej, o ich patriotyzmie nie może zagaść.

Lucjan Cimek

Główne źródła:

1. C. Chlebowski, „*Wachlarz*”. *Monografia wydzielonej organizacji dywersyjnej Armii Krajowej, wrzesień 1941-marzec 1943*, Warszawa 1985, wyd. II, ss. 307, 314, 321, 330.
2. J. Czerwiński, *Z wołyńskich lasów na berliński trakt*, Warszawa 1972, ss. 97-99.
3. Ks. płk dr J. Humeński, *Udział kapłanów wojskowych w drugiej wojnie światowej*, Warszawa 1984, ss. 471-499.
4. Ks. T. Isakowicz-Zaleski, *Przemilczane ludobójstwo na Kresach*, Kraków 2008, ss. 42-46.
5. J. Wieliczka-Szarkowa, *Wołyń we krwi 1943*, Kraków 2013, ss. 203-241, 279-282.
6. Ppłk M. Wojtas, *Słownik biograficzny żołnierzy Batalionów Chłopskich*. T. VI. Lublin 2014, ss. 207, 402.

Barbara Hać

Pamięтка mojej wojny



Wszystko zaczęło się od starej fotografii...

Zbierałam informacje o swojej rodzinie i od wujka Józefa, oprócz ciekawych wspomnień, otrzymałam też kilka starych fotografii. Na jednej z nich jest moja babcia Helena z siostrą Bronisławą i dziećmi - najstarszą, około 7-letnią Aniłą (moją śp. mamą), Józefem (około 4 lat) i najmłodszą (kilkumiesięczną) Marysią. Zdjęcie, zrobione prawdopodobnie w 1940 roku, zostało przesłane dziadkowi Julianowi, który w czasie wojny przebywał w niemieckiej niewoli.



Babcia Helena z siostrą i dziećmi, 1940 r.

Oglądając dokładnie fotografię, zauważyłam na drugiej stronie zapiski dziadka, na które nikt do tej pory nie zwrócił uwagi. Z trudem odczytałam słowa:

Kochana Żono i Wy moje Kochany Dzieci, całuję was i ściskam na tym zdjęciu, bo Pan Bóg wi, czy ja do Was wrócy, bo mi bardzo źle, bo jestem chory w szpitalu. To może jaki kolega do Was napisze, jak ja umre¹.

Niżej jest adres: *Helena Rzeczowska Rekliniac Mosty Wielkie Żółkiew Lwów*, a na niemieckiej pieczęcie data 15 III 1942.

¹ Staralam się zachować oryginalny język moich dziadków (z okolic Lwowa).



Dziadek Julian Rzeczkowski, 1939 lub 1940 r.

Nietrudno sobie wyobrazić okoliczności powstania tych wzruszających słów... Bardzo chory, przebywający w lazarecie Julian, obawiając się najgorszego, żegna się z żoną Heleną i dziećmi.

Zimą 1941-1942 roku stałag, w którym przebywał dziadek, cierpiał na epidemię tyfusu. Z powodu choroby, niedożywienia, braku opieki medycznej i higieny zmarło wówczas tysiące więźniów². Julian nie zachorował na tyfus, ale na pewno w tamtym okresie miał zapalenie wyrostka robaczkowego, przeszedł operację, a potem ciężko chorował i był bliski śmierci. Dziadkowi szczęśliwie udało się zwalczyć chorobę i wrócić do rodziny, a to zdjęcie i inne pamiątki, powróciły razem z nim.

Dzięki mojej siostrze ciotecznej Renacie, otrzymałam listy babci oraz innych krewnych pisane do dziadka w latach 1940-1944, zniszczony notatnik z zapiskami dziadka, album z fotografiami ze stałagu.



Julian (stoi czwarty z lewej) i jego towarzysze broni, wrzesień 1939 r.



Polscy jeńcy wojenni, Julian Rzeczkowski stoi trzeci z prawej, 1939 r.

Z prawdziwym wzruszeniem oglądałam stare fotografie i odczytywałam notatki i listy. Przeważnie są to proste słowa, niewykształconych ludzi ze wsi, którzy na co dzień posługiwali się południowokresową gwarą wiejską. Listy babci Heleny wyrażają miłość, tęsknotę, wzajemną troskę, niepokój, ale też nadzieję, że uda się przetrwać, że Bóg pozwoli jeszcze się zobaczyć...

Rzeczkowscy to rodzina o wielopokoleniowych tradycjach rzemieślniczych (kowalstwo), prawdopodobnie wywodzą się ze zubożałej szlachty. Pierwsze wzmianki o nich znajdziemy już w XVIII wieku. Rodzinne informacje wskazują Kamionkę Strumiłową i leżący w pobliżu Obydów, jako rodowe gniazdo Rzeczkowskich.

Dziadek mojego dziadka, Józef, zdobył kowalski fach od swojego ojca, Adama, ale kuźnię odziedziczyli jego starsi bracia. A Józef (z bratem Piotrem) osiedlili się w Reklincu, gdzie wynajął on szopę na kuźnię od gospodarza o nazwisku Nykuła. Wkrótce Józef ożenił się z córką gospodarza - Marią Nykułą. Dziadkowie Juliana byli zamożnymi ludźmi, wybudowali duży dom i zgromadzili spory majątek. Mieli sześcioro dzieci: Anielę, Władysława, Stanisława, Bronisława, Waleriana i Kazimierza. Stryjowie dziadka Juliana byli w większości wykształconymi ludźmi. Bronisław ukończył szkołę policyjną i był komendantem posterunku we Włodzimierzu Wołyńskim, aresztowany przez Rosjan zginął w Bykowni (jego nazwisko odnajdziemy na Liście Katyńskiej). Józef ukończył seminarium duchowne. Był księdzem w diecezji lwowskiej, a od 1946 roku proboszczem parafii św. Józefa w Świdnicy. Stanisław był majstrem kowalskim i pracował m.in. w okolicznych folwarkach, a najmłodszy Ka-

² Strona internetowa: <https://www.relikte.com/fallingbostel>.

zimierz, ukończył gimnazjum i został kolejarzem. Najstarszy z synów Władysław, ojciec dziadka Juliana, odziedziczył po rodzicach kuźnię i dom rodzinny. Ożenił się z Józefą z Kaliszczaków³.

Dziadek Julian Rzeczkowski urodził się 1 lub 7 lipca 1907 roku. Miał czterech braci: Bronisława, Franciszka, Józefa i Wojciecha oraz siostrę Agnieszkę.

Babcia Helena Rzeczkowska, z domu Marmajewska, córka Ignacego i Michaliny, urodziła się 5 grudnia 1910 roku. Jej matka wcześniej zmarła, a ojciec ożenił się drugi raz z siostrą żony, Ewą, z kolei po śmierci Ignacego, macocha babci wyszła za mąż za brata męża - Bronisława. Helena miała przyrodnie rodzeństwo - siostrę Józefę i dwóch braci Mariana i Kazimierza.

Dziadkowie pobrali się około 1930-1931 roku. Mieli troje dzieci - Anielę (1933-2005), Józefa (ur. w 1933) i Marię (ur. w 1939 roku). Julian i Helena prowadzili spore gospodarstwo i do wybuchu wojny żyło im się w Reklińcu spokojnie i dostatnio.

Rekliniec leży w dorzeczu Wisły, w dolinie Żelca. W pobliżu znajdowały się wsie Bartatycze, Kupiczwoła, Strzemień, Mosty Wielkie, Borowe, Sielec, Stryhanka i Dobrotwór. W okolicy wsi było wiele lasów⁴. Rekliniec był kiedyś dużą, wsią - ponad 300 numerów. Był tu majątek, cerkiew, gorzelnia, Dom Polski, jeden sklep. Około 10 procent ludności stanowili Polacy, resztę Ukraińcy, prawdopodobnie były też rodziny żydowskie. W Reklińcu nie było kościoła, dopiero w Mostach Wielkich, osiem kilometrów dalej, to była także siedziba gminy. Wieś należała do powiatu żółkiewskiego. Niedaleko był majątek Roczyn⁵.

Gdy dziadek Julian został zmobilizowany we wrześniu 1939 roku, babcia Helena z małymi dziećmi pozostała na gospodarstwie w Reklińcu. Dziadkowie mieli sporo ziemi - 22,5 morgi (około 13 ha). Bardzo trudno było samotnej kobiecie pracować w gospodarstwie i wychowywać dzieci, a dziadek przebywał w niemieckiej niewoli od 1939

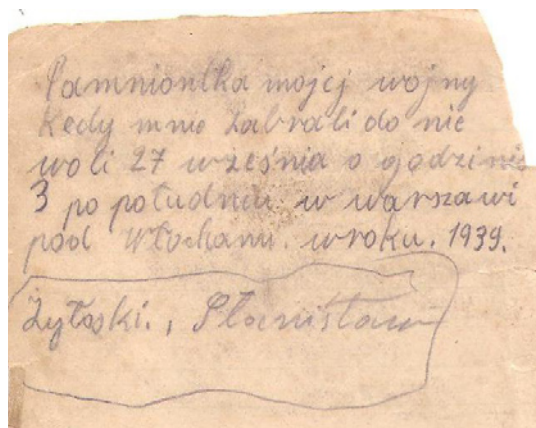
do 1945 roku! Pomagała babci siostra Bronisława Just, która po odejściu męża na wojnę, zamieszkała w ich domu. Pomagali także bracia dziadka.

W czasie wojny, dziadek służył w Wojsku Polskim, miał stopień strzelca PP, walczył w obronie Warszawy, a po kapitulacji trafił do niemieckiej niewoli. Helena długo nie miała wiadomości od męża, dopiero w 1940 roku dowiedziała się, że Julian żyje i przebywa w niewoli. Odtąd często pisała do męża listy. Niektóre zachowały się do dzisiaj - dziadek przywoził je razem z innymi pamiątkami, gdy wrócił.

W starym notatniku dziadek Julian zapisał:

Pamiętka mojej wojny

Kiedy mnie zabrali do niewoli 27 września o godzinie 3 po południu w Warszawie, pod Włochami, w roku 1939⁶.



Kartki z notatnika dziadka Juliana.

W notatniku są też liczne adresy kolegów ze stalagu i krewnych oraz zapisane nazwy miejsc, przez które zapewne dziadek i jego koledzy byli wiezieni do niemieckiej niewoli, a po wyzwoleniu wracali do Polski.

Najpierw Julian krótko przebywał w stalagu VI C Bathom w baraku nr 13; miał nr jeniecki 964/VI C, a od grudnia 1939 do 1945 roku - w stalagu 18489/XI B⁷. Stalag XI B znajdował się w Fallingb.-Dolna Saksonia (okręg wojskowy XI Hano-

³ Informacje o rodzinie Rzeczkowskich uzyskałam od Ireneusza Pilarczyka, z którym nawiązałam kontakt internetowy.

⁴ Rekliniec [w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*.

⁵ <https://plus.gazetalubuska.pl/tam-tylko-kominy-zostaly-wszystko-spalone/ar/11681686>.

⁶ Oryginalny język dziadka, wprowadzam niewielkie zmiany, by tekst był czytelny.

⁷ Wyszukiwanie osób represjonowanych, www.straty.pl/pl.

wer). Obecnie jest to uzdrowskowie miasto powiatowe w Niemczech, siedziba powiatu Heidekreis⁸.

Jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych, Niemcy przekształcili pusto stojące baraki przy koszarach Fallingbistel na obóz jeńców wojennych - Stalag XI B. Wkrótce stał się on jednym z największych obozów niemieckich Wehrmachtu na terenie III Rzeszy. Od początku II wojny światowej, od października 1939 roku, do stalagu przywożono jeńców najpierw z podbitej Polski, a później także belgijskich, francuskich, jugosłowiańskich, a od 1941 radzieckich⁹.

Dziadek Julian trafił do stalagu z pierwszą grupą polskich jeńców i przebywał w nim do wyzwolenia obozu przez oddziały armii brytyjskiej - do 15 kwietnia 1945 roku¹⁰. Przez długie lata adres, na który babcia wysyłała listy, kartki i paczki to: *Julian Rzeczowski 18489 M. Stammlager XIB Barak 10 Deutschland*.



Numer jeńcki Juliana Rzeczowskiego.

Babcia Helena Rzeczowska mieszkała z dziećmi i siostrą w Rekliniu, a później, po ucieczce przed banderowcami - we Lwowie. Najwcześniejsze zachowane kartki i listy babci pochodzą z roku 1940, ostatnie - z 1944. Wszystkie napisane są na specjalnych blankietach. Pierwsze dwie kartki pisane były w imieniu Heleny przez kogoś wykształconego (być może brata dziadka), kolejna napisana jest jej charakterem pisma:



Stalag XI B

Rekliniec, 6.01.1940

Kartkę od Ciebie otrzymałam 15 grudnia, którą bardzo śmy się ucieszyli, że żyjesz i jesteś zdrow. Ja, Bogu dzięki, jestem zdrowa i dzieci, jak również i siostra. Drogi Mężu! Jak otrzymasz tę kartkę, zaraz odpisz, bo odpowiedzi oczekujemy z niecierpliwością. Pozdrawiamy Cię serdecznie wszyscy.

Rekliniec, dnia 2 II 1940

Kochany Mężu! Za list otrzymany serdecznie Ci dziękujemy. My, Bogu dzięki, jesteśmy wszyscy zdrowi, którego i Tobie z całego serca życzymy. Smutno mi jest bez Ciebie, bo mam wiele pracy przy gospodarstwie, ale nie martw się, bo jakoś sobie radę damy. Józiu Ciebie co dzień wspomina i wygląda. Pozdrawiamy Cię serdecznie wszyscy.

Rekliniec, dnia 3/3

W pierwszych słowach listu mego - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, list od Ciebie otrzymałam, którym my się bardzo ucieszy-

⁸ https://pl.wikipedia.org/wiki/Bad_Fallingbostel.

⁹ www.polskienekropole.de/doku/ph? =pl:bergen-belsen.

¹⁰ Tamże.

li, że żyjesz i jesteś zdrow. Kochany Mężu bardzo mi przykro bez Ciebie i nie mogę dać sobie rady z tą pracą. Jakby nie siostra¹¹, to sama nie wiem, jakbym z tymi dziećmi dała sobie rady i Brońcia tak nam pomaga robić. I dzieci, Bogu dzięki, wszyscy zdrowy, a Józio ciągle się pyta, gdzie tato i bardzo nam smutno za tobą. Kochany Mężu, jak odczytasz te kartki, to nam zaraz odpisz, bo nam tyle wesołości, co list od Ciebie dostaniemy. Kochany Mężu, pozdrawiamy Cie wszyscy serdecznie. Proszę odpisz¹².

Te kartki pocztowe i zaadresowane były jeszcze do stalagu VI C, kolejne listy wysyłane były już do stalagu XI B.

20 /VIII

Pierwsze słowa listu mego: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, wszystkie dzieci zdrowy, i siostra i mnie już trochę lepi, już mogę trochę pracować, chociaż nie wszystko, bo więcej siostra robi. Ja Bogu dziękuję, że i tak łaże, bo tyle zmartwienia, to i zdrowego przygnębi. Kochany Mężu, nasza Marysia już chodzi, jeszcze przed rokiem zaczęła i Anielka już ma chodzić do szkoły, ale w czym ona będzie chodzić, to nie wiem, bo my na razie w czym mamy, w tym chodzimy. My już żniwa pokończyły i kosowicy [koszenie siana]. Trochu kosiarzy najęła, a trochę Franek pomógł. A we żniwa też pomagali Franyk i Michaśka i tak my pożyły, ale w tym roku to bardzo marne zboże, bo z wiosny powymakały i bardzo mało mamy zboża. Nawet nie wiem, czy nam starczy do nowego. Kochany Mężu, napisz mi czy masz w czym chodzić, czy tylko to jedno ubranie i czy masz się czym pożywić i czy jesteś na tym samym miejscu. Na tym kończę swe pisanie, bo miejsca nie ma. Pozdrawiamy Cie wszystkie serdecznie.

20/IX

Pierwsze słowa listu mego: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, wszystkie dzieci zdrowy, i siostra i ja już też zdrowsza i mogę pracować.

My już siejby [zasiewy] pokończyły i twoja rodzina mi pomaga, Bronyk wszystko poorał, a Franyk pozasiewał. Nasza Niećka [Anielka] już chodzi do szkoły, ale czy w zimie będzie chodzić, to nie wiem, bo nie ma płaszczyka. Jakies buty stare ma, a Józio to nie ma w co się obuć i dla niego nie ma co myśleć. Ja jeszcze mam te same buty, co ty mi zrobił, to jakoś przetrzymuje i jak ty poszedł, to ja sobie jeszcze trzewiki podszyla i dla Niećki też zrobiła trzewiki, to tyle jeszcze mamy. Kochany Mężu, nasza Marysia już chodzi, a Niećka i Józio to mi się ciągle dopytują, kiedy ty wrócisz. Pisz do nas wiency, bo to tyle wesołości jak list od ciebie mamy. Na tym kończę pisanie, pozdrawiamy cie serdecznie.

Dziadek Julian wspominał, że w lagrze na początku panował głód, bardzo schudł i ważył tylko 40 kg. Od śmierci uratował go kolega, który otrzymywał paczki z domu. Później Julian skontaktował się z rodziną i on także otrzymywał paczki, a gdy - od listopada 1940 roku - trafił do pracy u niemieckiego gospodarza, był życzliwie traktowany i miał dobre wyżywienie, aby mógł efektywnie pracować. Pracował tam około 9 miesięcy, gdy w 1941 roku ciężko zachorował, trafił do lazaretu w stalagu, a później przebywał w lagrze (prawdopodobnie był zbyt słaby, by pracować w gospodarstwie).



Dziadek w gospodarstwie niemieckim, 1940 lub 1941 r.

¹¹ Siostra mojej babci Bronisława Just z d. Marmajewska.

¹² Oryginalny język babci; wprowadziłam niewielkie zmiany, by teksty były czytelne.

Wzruszające jest to, że choć czasem Julian przymierał głodem, starał się pomagać, w miarę możliwości żonie i dzieciom, a babcia, mimo wojennego niedostatku, wysyłała mu paczki (które w listach nazywa pakunczek) z bielizną i żywnością. W listach i notatkach dziadka znajdziemy informację, że wysyłał rodzinie paczki i pieniądze, a babcia często prosi w listach o blankiet na wysłanie „pakunczka”. Z 1941 pozostało kilka listów od babci i od krewnych dziadka:

19/III (kartka)

Kochany Mężu, piszę Ci parę słów. My, dzięki Bogu, wszyscy zdrowi i dzieci i ja i siostra. Kochany Mężu, ja od Ciebie otrzymałam dwa listy i bardzo się ucieszyłam, że Ty jesteś zdrów. Kochany Mężu, może Ci potrzeba pakunka, to wyślij mi taki odcinek, to ja tobie podam, bo tu można wysłać.

4 /IV.

Pierwsze słowa mojego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. My dzięki Bogu wszyscy zdrowi, tylko nam przykro bez Ciebie, ale cóż zrobimy jakoś dać sobie radę. Kochany Mężu, jak list od Ciebie dostaje, to dzieci koło mnie postają i mówią, żeby im głośno czytać, żeby oni słyszeli, co tato pisze i nie mogą się nacieszyć tym listem. Anielcia chodzi do szkoły i już umie pisać, ale tylko po rusku. Kochany Mężu, jak mogę, tak sobie radę daję i dzieci chowam, ale tyle tego zmartwienia, trudno w głowie pomieścić. Ja tobie już kartki i fotografie posłałam, a ty mi pisziesz, żeś ani jednej nie otrzymał i nie możesz zobaczyć tych swoich dzieci. Kochany mężu, twoje bracia są wszystkie w domu i pomagają mi, a najwięcej Brońcio nam wszystko robi i sam nawet orał i żyto siał i napracował się koło płota tych Łuciów [?]. To wszystko mi spalili i on się bardzo napracował, zanim to wszystko ponaprawiał. Jeszcze nigdy tak nie zniszczyli, jak w tym roku. Kochany Mężu jeszcześmy nie sieli, bo bardzo wszędzie mokro, a co dzień pada i nie można w polu robić. Nie wiem, kiedy to się zrobi taka w tym roku późna wiosna i zimno. Nie ma co krowom i koniom dać jeść. Mam jeszcze te same krowy i klacz i łoszaka [żrebaka] a jeszcze zostawiłam cielę od młodej krowy a stara jeszcze się nie ocieliła aż na czerwiec. Pozdrawiam cię serdecznie.

13/IV

Pierwsze słowa listu mego: Chrystus Pan Zmartwychwstał. Kochany Mężu, piszę ci parę słów, my, dzięki Bogu wszyscy zdrowi, dzieci i siostra, a ja to ledwie że łażę, bo to zmartwienie i praca, to mnie bardzo przygnębiło, bo to wszystko na mojej głowie i muszę się wszystkim zająć, że trudno już to w głowie pomieścić. Mężu bardzo mnie zasmuca, że ty nie masz zdrowia, jak ty tam żyjesz i kto tam o ciebie dba, jak ty tam, jak sierota tak od nas daleko [...]

25 /XI

Pierwsze słowa mojego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu list od Ciebie otrzymałam i już mi trochę lepiej, że ty mi pisziesz, żeś otrzymał mój list, to chociaż wiesz, co się w domu dzieje. My dzięki Bogu wszyscy zdrowi i gospodarstwo tak samo, jak było, tak jest. Kochany Mężu tu do mnie napisał ten gospodarz, co ty u niego jesteś, żeby ja mu napisała, gdzie my się znajdujemy i czy my zdrowi i chce, żeby ja jemu odpisała, ale nie mam takich kartek. Jak będę miała, to mu wtedy odpiszę, to mu dziękuję, że on napisał do mnie, to tam sam już jemu podziękuj. Kochany Mężu, ja już robiła prośby, żeby ty wrócił do domu, nie wiem, czy to co pomoże. Tu jeden z Wolicy, to sam tam sobie robił prośby i jemu się udało. Jakby ty sam, poprosił tego gospodarza, co ty u niego jesteś, by on się tobie postarał. by ty mógł wrócić do domu. Kochany Mężu, napisz mi, jak ty tam żyjesz i czy masz jakie ubrania i czy nie jesteś głodny, to ja choć tym nie będę się martwiła. Na tym kończę, pozdrawiam cię wszystkie serdecznie.

List od J. Kaliszczak (krewna dziadka Juliana):

Kaliszczak Józefa
Podrudne
Stanisławów
Kamionka Strumiłowa

Podrudne, dnia 30.11.1941.

Kartki od Ciebie otrzymałam, za którą Ci bardzo dziękuję. Bardzo nas to cieszy, że jesteś zdrów, my też jesteśmy zdrowi wszyscy, tylko dziadzio jest chory. Michał się ożenił do domu, wszystko jak było, tak samo. Wszyscy jesteśmy w domu, tylko

Ciebie nie ma z mojej rodziny. Twoje dzieci się chowają dobrze, zdrowe i żona też zdrowa, tylko tęsknią za tatą. Bardzo Cię cała Twoja familia pozdrawia i ja Cię pozdrawiam.

Z roku 1942 pozostało tylko kilka listów. List Bronisławy Just (siostra babci):

3.01.

Pierwsze słowa listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany szwagrze, my Bogu dzięki zdrowi i dzieci też zdrowe, czego i tobie życzymy. Kochany szwagrze ja tobie wciąż pisze, a ty mi nie odpisujesz. Prosimy cię, żebyś ty na te prośby wrócił do domu i staraj się, jak możesz, a jak nie możesz to może na urlop i dom będzie weselejszy i dzieci by się ucieszyły, jakby ty przyszedł na urlop. A Marysia wciąż mówi, że tata przyjdzie i przyniesie jej coś. Kochany szwagrze, my pieniądze od ciebie dostali i bardzo dziękujemy. To my będziemy musieli na konia dołożyć, bo my klacz sprzedali. Jakbyś jeszcze mógł, to nam podaj to już będziemy mieli na konia do tego łoszaczka i tak będą swoje konie. Pozdrawiam cię serdecznie i jak najprędzej odpisz.

Listy babci:

10/3

Pierwsze słowa listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu list od ciebie otrzymałam i zaraz ci odpisuję. Dzieci i siostra zdrowi, a ja to nie jestem jeszcze zdrowa. Kochany mężu ja tobie podaje dwa pakuneczki po 1 kilo, bo większych nie przyjmują. Jak ich otrzymasz, to mi zaraz odpisz, to jeszcze podam. Kochany mężu ja tobie podała zdjęcie, jak otrzymasz, to napisz. Te pieniądze coś mi drugi raz wysłał, to ja jeszcze nie otrzymałam. Kochany mężu, zdaje mi się, że ja już drugiego konia nie kupię, bo bardzo drogi. Może mi Franek swoimi pomoże i może się jakoś obrobić. Bo potrzeba koło 8 setek, żeby jakiego zdechlaka kupić, a tu mi jeszcze i paszy brakuje i nie mam za co kupić chleba, bo też brakuje. Może to by wystarczyło, jakby nie trzeba było dać, ale jakoś to się wszystko przebędzie, żeby zdrowie było, a ja i zdrowia nie mam, ale muszę jakoś sobie dawać radę sama i nie wiem, kiedy się ciebie doczekam. Pozdrawiam cię serdecznie.

11/VIII

K. Mężu piszę ci pare słów, my dzięki Bogu wszystkim zdrowi. K. Mężu bardzo mi przykro bez ciebie, to życie bardzo jest przykre i trudno się doczekać, żebyśmy się złączyli. K. Mężu Bronyka już też nie ma w domu, wzięli go na arbaít do roboty i Wojtek też ma iść, ale jeszcze na razie jest w domu, to też już nie będzie tak komu robić, ale coś zrobić. Dobrze jeszcze, że Józka zostawili. Pozdrawiam serdecznie.

26/IX

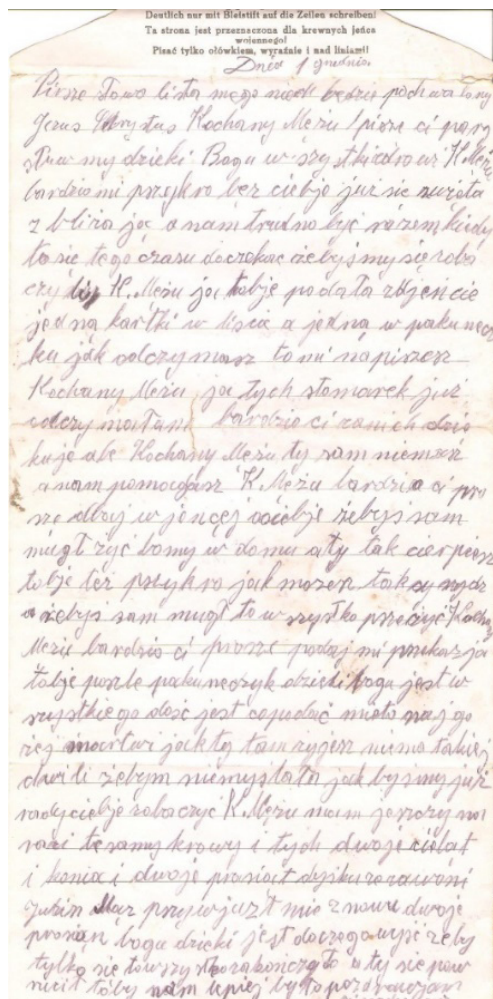
Pierwsze słowa mego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, pisze ci pare słów. My dzięki Bogu wszystkie zdrowi. Kochany mężu, żebyś ty wiedział, jak mi przykro bez ciebie, tak się narobimy, że już sił nie staję. Bo trzeba w każdy kątek zaglądnać, bo nie ma komu i jeszcze tyle zgryzoły, że nie można w głowie pomieścić. Jużem dała półtora korca zboża [korzec - około 120 l; 100 kg] na kontygent i to jeszcze nie wszystko, jeszcze trzeba dać. Jużemy trochę posieli, ale jeszcze nie wszystko. Józek już trochę zaprzęga naszego łoszaka i jak będzie koń, to by się sprzęgali i będzie robił mnie i sobie, zanim ich łoszycza podrośnie. Józek jak wyjedzie swoje konie napaść, to i mojego łoszaka bierze, bo ja nie mam czasu. Tyle roboty mam, że nie wiem do czego ręce przyłożyć. Jeszcze mamy trochę kartofli kopać, ale już w tym tygodniu dokończymy. Jakoś tak żyjemy z dnia na dzień i ciebie wyglądam, jakbyś był w domu, to by się tak nie męczyła. Pozdrawiam cię serdecznie.

8/12

Pierwsze słowa mego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, pisze ci pare słów. My dzięki Bogu wszystkie zdrowi. Kochany mężu ja tobie podała pakuneczek pod koniec listopada, jak otrzymasz, to mi napisz. Kochany mężu, ja robiłam prośby, żeby cie zwolnili i tu jeden dyrektor z Borowych [wieś w pobliżu Reklina] On już tu kilku od Niemców wyciągnął i mi mówił, że na pewno ty też wrócisz i już miesiąc jak on te prośbę posłał i mówił, żeby się już spodziewać i my co dnia ciebie wyglądamy. Nie wiem, co się z tobą dzieje żadnej odpowiedzi nie ma, to nie wiem, co się z tobą stało. Kochany mężu ja my-

ślałam, że może już na te święta będziemy razem, a to tak trudno ciebie wyglądać. Kochany mężu, ja od ciebie otrzymałam jeden pakuneczek w listopadzie i byli w nim rękawiczki i te popruty kawałeczki i to co tam podałeś. Kochany Mężu, przyślij mi jeszcze karteczki, to ja wyśle pakuneczki. Ja Ci choć tego chleba pošle, ja bym rada w każdej chwili pomóc i będę się starała prośby ślać, by ciebie zwolnili, bardzo przykro bez ciebie.

Z tego okresu nie zachowały się listy dziadka do babci, jedynie kilka słów, które (bardzo wówczas chory) dziadek napisał na odwrocie zdjęcia. Jak już wspomniałam, stały się one inspiracją do powstania niniejszego tekstu.



List Heleny do męża.



Julian (pierwszy z prawej) przed barakiem.



Wigilia w stalagu.



Pamiętka wykonana przez dziadka.



*Dziadek Julian (stoi pierwszy z lewej)
i jego towarzysze z niewoli.*

Z roku 1943 pozostało najwięcej listów babci do dziadka (aż 22!). Podobnie jak poprzednie, świadczą o trudnych wojennych latach, gdy codzienność babci mieszkającej z dziećmi w Reklincu i dziadka w niemieckiej niewoli to ciągła walka o przetrwanie wojennej rzeczywistości - strach, głód, choroby, niepewność jutra... Przytoczę wybrane z nich:

24/I

Pierwsze słowa mojego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, pisze ci pare słów. My dzięki Bogu wszyscy zdrowi. Kochany Mężu list od ciebie otrzymałam i ty mi pisesz, żeś dostał ten pakuneczek, bardzo się cieszę, chociaż w nim niewiele było, bo na poczcie mi mówili, że tylko na 5 kg. Podaj mi jeszcze taki czek, to ja tobie podam pakuneczek, bo bez tego mi nie przyjmie. Kochany Mężu, ty się tam nie martw, my jeszcze do tego czasu wszystkiego po trochu mamy. Mnie chodzi tylko o ciebie, bo wiem że ci potrzeba, bo ty nie w domu i się tam nacierpisz, ja bym rada, żeby ty jak najprędzej był w domu, ale cóż zrobię, jak mogę tak się staram i proszę. Mówili mi na policji, że cie na te prośby puszczą, jak zapytywali policję, jak co jest, to widać, że się zajęli. Ja jeszcze mam nadzieję, że cie puszczą co dnia cie wyglądam. Mam nadzieję, że to nie będzie daremne, bo mi bardzo przykro bez ciebie i wszystko na mojej głowie.

23/II

Pierwsze słowa mojego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, pisze

ci pare słów. My dzięki Bogu wszyscy zdrowi. Smutno mnie, jak widzę moich sąsiadów razem i im się dobrze powodzi. Oni nawet nie wiedzą, co to wojna znaczy. A ja nie mam do kogo słowa zamienić i kogo się poradzić. Takie to życie przykre, że już żyć się nie chce i trudno się doczekać tego spokoju. Kochany Mężu ja tobie podała mały pakuneczek przez Romka Michaśki brata, on był na urlopie i teraz wraca. Mały, bo by mu było za ciężko wziąć, jak otrzymasz, to mi napisz. Podaj mi czek to ja tobie więcej podam. Kochany Mężu, jak się zbliża wiosna, to ja już mam nadzieję, że ty z nami będziesz, a to tak trudno się doczekać. Kochany Mężu, jakbyś ty mógł dostać papierosów dla braci, bo oni tak pomagają, a u nas nie ma gdzie dostać. Pozdrawiam cie serdecznie.

20/III

Początek, jak w poprzednim liście. Dalej pisze babcia, jak bardzo jej samej ciężko:

Ja miałam nadzieję, że cie na te moje prośby puszczą, bo tak mi przykro bez ciebie, że nie mogę tego opisać. K. Mężu, nie martw się, dbaj o siebie, żebyś ty mógł żyć, mnie bardzo martwi, jak ty tam żyjesz w tym lagrze. Ty tak się nami martwisz i nam podajesz, a może sam nie masz co jeść. Podaj mi czek, to ja ci podam pakuneczek, bo nam jeszcze jakoś wystarcza.

9/IV.

Pierwsze słowa mojego listu - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu, pisze ci pare słów. My dzięki Bogu wszyscy zdrowi. K. Mężu bardzo mi smutno i przykro bez ciebie i ciągle myślę, jak ty tam żyjesz. Kochany Mężu ten pakuneczek od ciebie otrzymałam i wszystko w nim było, bardzo ci dziękuję, że się tak nami martwisz i nam posyłasz. To bardzo wielka pomoc, bo ty sam odpłacasz tych robotników, to tak, jakbyś sam robił. Bo ty pošlesz, a ja dam twoim braciom i oni mi pomagają. Te niebieski koszuli to dałam Józkowi, bo on nam wszystko w polu robi, a te siwe to Frankowi, bo on kupił naszej Maryni sukienkę. Miał pieniądze, a widział, że jej potrzeba i kupił. To dobry materiał i dość wielka, to na dwa lata może jeszcze będzie. To jak mogę, to się z nimi dzielę. Pozdrawiam cię serdecznie.

W kolejnych zachowanych listach, z sierpnia 1943 roku, znajdziemy m.in. informacje o tym, że babcia otrzymała podane przez dziadka pieniądze, o ciężkim życiu w Reklińcu oraz o codziennej pracy w gospodarstwie:

Kochany Mężu my już wszystko powyżynali i powozili, tylko jeszcze hreczke [grykę] kosić trzeba. Tak żeśmy razem żniwa obrabiali jeden dzień u nich i jeden u nas, całe dwa tygodnie żeśmy żeli, bo było takie bardzo duże zboże, że nie można było kosić, nawet owies musieliśmy żąć sierpem. Tak, że nie można już było rękami ruszać, ale chociaż zboże ładne [...]

W następnych listach babcia pisze:

Jużeśmy wszystko powozili, już wszystko w stodołach, tylko hreczka jeszcze na polu i siano już robimy. Twoi bracia wszystko pokosili, ja cudzych nie miała i raz sam Franyk najął kosiarzy, jak już się to wszystko porobiło, a teraz młóćimy. Bardzo stodoła cieknie, musi się poszyć, bo by się zboże zmarnowało, jakby zamokło. Musze kogoś nająć i poszyć i stajnia też cieknie i trzeba całą poszywać i jeszcze na samym środku krokwia się złamała. Nie wiem, co z nią zrobić, czy cały dach zrywać i naprawiać, czy tylko podeprzeć i poszyć, by nie ciekło. Poradź mi, co mam zrobić.

1/9

Pierwsze słowa listu mego Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu piszę Ci parę słów. My, dzięki Bogu, wszyscy zdrowi. K. M. bardzo mi przykro bez Ciebie, ciągle mi na myśli, jak Ty tam żyjesz, jakie to twoje życie jest przykre i trudno się doczekać tego spokoju.

Kochany Mężu, te pieniądze coś posłał, to ja już otrzymałam i też pakuneczek z 29 lipca i wszystko w nim było. Bardzo Ci za to wszystko dziękuję. Ty się nie martw, bo my w domu jeszcze radę daję, ty więcej dbaj o siebie, jak możesz tak dbaj, żebyś nie był głodny, żebyś mógł żyć. Ja Tobie podałam pakuneczek, jak otrzymasz, to mi napiszesz. Podaj mi jeszcze przekaz, to ja tobie jeszcze podam. U nas, Bogu dzięki, jest wszystkiego, bo się w tym roku zrodziło, to mamy, tylko mnie to najgorzej martwi, jak ty tam żyjesz. Kochany Mężu, mam

jeszcze te same krowy i łoszaka i cieliczkę i byczka. Myślałam tego byczka dać na kontygent, ale na razie nikt się nie dopomina, to nie prowadzę. I maciorę też jeszcze mam, jak mogę, tak to wszystko doglądam i jak mogę tak se radzimy, tylko, żeby Pan Bóg dopomógł, żeby Ty do nas powrócił. Pozdrawiam Cię serdecznie.

15 /X

Pierwsze słowa listu mego Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus. Kochany Mężu piszę Ci parę słów. My, dzięki Bogu, wszyscy zdrowi i jakoś się to wszystko przeżywa. Jak Pan Bóg pozwoli, to się wszystko przebędzie. K. Mężu ja pakuneczek z 16 września otrzymałam i 100 marek też, bardzo ci za to wszystko dziękuję. Dbaj lepiej o siebie, żebyś ty mógł żyć i się tak nami nie martw, nam Bogu dzięki wszystkiego wystarcza. Tylko to nas martwi, jak ty tam żyjesz. To twoje życie tam to cierpienie [...] Kochany Mężu, bardzo proszę podaj mi czek, to ja podam ci pakuneczek. Ty mi piszesz, że mam duży kontygent, to jeszcze można wytrzymać. W tym roku jest dużo zboża i wszystko korcuje [daje wysokie plony], żeby Bóg dał zdrowie, to ten chleb, co mam to na dwa lata wystarczy. W zeszłym roku mniej było, a jeszcze do jesieni my stary chleb jedli. Mam te same krowy i dwoje cieląt. Moje krowy stoją w trzeciej klasie, to jeszcze mi nie przychodziło oddać, czyje w czwartej, to te dali na kontygent. Są takie ludzie, że już nie mają ani jednej krowy. Ja jeszcze dzięki Bogu mam wszystko dobre. Pozdrawiam Cię serdecznie.

15 /XI

K. Mężu bardzo mi smutno i przykro zdawało się, że na te święta już będziemy razem, a to tak coś trudno się doczekać, kiedy my się zobaczymy. Kochany mężu, ja już tak myślę, jakby to zrobić może by puszcząć telegraf [telegram], żeby cie wystali do domu, Mie ta myśl nie wychodzi z głowy, jakby to zrobić. Ten pakuneczek, coś posłał 9 listopada, to już otrzymałam i wszystko w nim było, jakeś na kartce napisał. Kochany Mężu bardzo ci za wszystko dziękuję, że tak nam pomagasz, a sam tak cierpisz, nie masz tyle, a nami się martwisz. dbaj o siebie wiency, żebyś nie był głodny. Kochany Mężu te koszuli, to ja dała Wojtkowi, za to że nam pomaga. Krowy też już oni nie mają, a pomagają to się z nimi mlekiem dzielić. To co otrzymamy,

to się dzielimy, a trzewiczki to są dobre na obydwóch i Aniela wzuje i na Józia, on się zaraz ubrał i chodził, i bardzo się cieszył. K. Mężu ty mi bardzo pomagasz, bo takie trzewiczki, to tutaj kosztują z osiem setek, tak samo i ubrania też i nie ma skąd dostać i bardzo drogie. Pozdrawiamy Cie serdecznie, odpisz mi.

Po, powtarzających się we wszystkich listach, tradycyjnym powitaniu i słowach troski o męża, babcia pisze:

6/12

Kochany Mężu, jużemy trochę roboty skończyli, wszystko pomłócili i Franyk nam zmełł we młynie i zarobił w kuźni dwie fury drzewa, to mi już będzie na całe zime i nie trza swego marnować, bo i swego drzewa już tyle nie ma, jak możemy, tak sobie radzim i mam nadzieję, że się kiedyś doczekamy, że się wszyscy spotkamy. Mała Marysia, to się pyta, czy tata ma mliczko i co tata hama [je], takie małe i ono już się martwi. Kochany Mężu, jeszcze na razie to mam te same krowy i obydwie cielice, jedna wyjdzie na marzec a druga na kwiecień i tych dwoje cieląt to jeszcze mam i konie i dwoje prosiąt. [...]

W kolejnym liście, z 18 grudnia, informacje się powtarzają, a oprócz tego znajdujemy jeszcze:

Kochany Mężu, ty mnie pytasz, kto mi poszywał, to taki pan z Wolicy???. On był sześć dni i jeden dzień Józek pomagał jemu szcesać i Brońcio też pomagał i Dyśko też, dwa dni robił snopki i podawał na dach, a reszty to ja mu trochę sama pomagała, żeby on się nie hait [marnował czas], żeby wieny zrobił. Jakoś trochę ponaprawiałam, tylko nie wiadomo, czy to tego trzeba będzie. Kochany Mężu, jak mi przyślesz 100 marek, to tutaj mi wypłacają 200 złotych. Za to można kupić pół korca zboża albo prosie małe. Pan z Wolicy wziął 250 złotych. Jakoś to wszystko by się przebyło, żeby ty był z nami.

Babcia Helena i moja mama wspominały, że przed wojną w Reklincu i sąsiednich wioskach żyli obok siebie w zgodzie rodziny polskie, ukraińskie i żydowskie, a później sąsiad mordował sąsiada.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, najpierw dokonano eksterminacji mieszkających na tych terenach Żydów. W akcjach likwidacji gett współdziałała z Niemcami Ukraińska Policja Pomocnicza¹³. Zagłada Żydów stała się dla nacjonalistów ukraińskich wzorem i zachętą do wymordowania Polaków, ponieważ wierzyli, że władze hitlerowskie pomogą im utworzyć własne państwo - „samostijną Ukrainę”. Babcia opowiadała, że gdy przystąpiono do masowej likwidacji Żydów, zaprzyjaźniona z nią Żydówka często powtarzała: *Pamiętaj Helka, że nami się rozczynia, a wami zamięsi...* Jak się okazało były to prorocze słowa.

Na przełomie lat 1943/1944 na Wołyniu powstała armia UPA. Bezwzględne postępowanie władz niemieckich (wysokie kontyngenty, rabunkowa gospodarka, egzekucje) doprowadziło do żywiołowego rozwoju ruchu partyzanckiego. Najwięcej ludzi zrzeszała właśnie UPA. W marcu i kwietniu 1943 nastąpiła na Wołyniu masowa dezercja policjantów, a część dezertów także zasiłowała oddziały partyzanckie¹⁴. Od marca 1943 roku UPA w zorganizowany sposób przystąpiła do ludobójstwa polskiej ludności cywilnej mieszkającej na Wołyniu. W efekcie zostało zamordowanych około 60 tys. Polaków. Zbrodnie te były przeważnie dziełem UPA wzmocnionej przez dezertów z policji i wspomaganą przez ukraińskie chłopstwo zwane czernią¹⁵.

Następnie oddziały UPA przeniosły ciężar swych działań na ziemię lwowską i Podole, liczniejsz niż Wołyń zamieszkane przez Polaków. Wstępem do masowej likwidacji Polaków była fala pojedynczych zabójstw, często osób o znaczącej pozycji - przedstawicieli inteligencji, byłych wojskowych i policjantów, księży, leśników¹⁶. Później powszechne stały się okrutne morderstwa całych rodzin, a następnie mordowano całe polskie wsie.

Siostra babci, Bronisława, w liście do Juliana z 23 stycznia 1944 roku pisze:

¹³ Strona internetowa: https://pl.wikipedia.org/wiki/Nacjonalizm_ukrai%C5%84ski.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Strona internetowa: https://pl.wikipedia.org/wiki/Ukrai%C5%84ska_Powsta%C5%84cza_Armia.

¹⁶ Tamże.

Kochany szwagrze, mamy wielkie zmartwienie, bo to już niedaleko nas mordują i Żółkwi. Jak my to zmartwienie przebedziemy, to będzie szczęście od Boga...

W listach babci także często pojawia się stwierdzenie:

Na razie jeszcze żyjemy, ale jak będzie, dalej nie wiadomo, jak Bóg pozwoli to się jeszcze spotkamy.

19/I

Kochany Mężu, to co ty mi posłał otrzymaliśmy i to co na Bronki było to też. Bardzo ci za to wszystko dziękuję, tyko nie wiadomo, czy my to jeszcze będziemy pożytkowali i jak się z nami stanie [...]

14/II

Kochany Mężu, bardzo nam przykro bez ciebie, a jeszcze tak niebezpiecznie. Co dzień, to inne zmartwienie. Najgorzej to martwi, żeby chociaż być na miejscu, swoim kącie, bo z małymi dziećmi by było przykro to zostawić. Bardzo mało listów od ciebie otrzymuję czasami cały miesiąc nie ma listu, bo nie dochodzą. Pieniądzy od ciebie nie otrzymałam, to ty musisz poszukiwać, bo szkoda, żeby nie przepadły. Kochany Mężu, nie żałuj sobie niczego, żebyś nie był głodny, bo my w domu jeszcze sobie radzimy, choć takie to życie jest przykre i nie ma jednej chwili spokoju.

28/I

Kochany Mężu, my dzięki Bogu, wszyscy zdrowi i jeszcze wszyscy żyjemy, ale jak dalej będzie to nie wiemy, my to tak aby jeden dzień i to w strachu, ale jak Bóg pozwoli, to może jeszcze ciebie zobaczymy. Kochany Mężu nie martw się tym, jak długo listy nie masz, bo teraz do Mostów listy nie dochodzą. Te paczkę z 4 stycznia, to już otrzymałam, ale na razie nie wysyłaj. Dbaj tylko o siebie, abys ty mógł żyć. Nie martw się niczym, jak Bóg przeznaczył, tak będzie. Jeszcze na razie mamy wszystko, ale to nic, że jeszcze nam Bóg pozwoli Ciebie zobaczyć. Pozdrawiamy cię wszyscy serdecznie. Niemiłe, jak jest zmartwienie, ja tobie nie mogę tego wszystkiego napisać, ale tą nadzieją żyjemy.

Podobne słowa powtarzają się w ostatnim liście babci z Reklińca - z 18 marca 1944 roku:

[...] Nie martw się nami, jak nie będziesz miał listu, bo teraz listy nie dochodzą i nie ma, gdzie jego nadać, bo już w Mostach nie ma poczty. Nic nam nie wysyłaj ani paczki, ani pieniędzy, bo nie dojdzie. Dbaj o siebie i nami się nie martw. Nasze życie tak aby jeden dzień i bardzo smutno. Nie wiadomo, czy się to przebedzie [...]

Z 1944 roku zachowały się tylko dwa listy dziadka, których babcia nie otrzymała. Zostały mu zwrócone i prawdopodobnie dlatego przetrwały:

3/II

Kochana Żono, ja, Bogu dzięki zdrów. Kochana Żono, ty mi pisesz, że tych pieniędzy nie otrzymała, może jeszcze nadejdą to mi napisz. Ja na Bronki też wam wysłał 80 marek ósmego stycznia, to jak otrzymasz, to mi napisz. Kochana Żono, bardzo mi przykro i smutno, że ja taki długi czas nie mogi do was powrócić, tak to nadziejo żyje i trudno się doczekać tego spokoju. Pozdrawiam was serdecznie i odpisz mi.

3/IV

Kochana Żono, ja Bogu dzięki zdrów, no mnie to mocno martwi, jak wy tam życie, bo teraz to takie ciężkie czasy. To mnie bardzo smutno, że ja taki długi czas nie mogi do was powrócić i się z wami zobaczyć. Trudno się doczekać tego spokoju, ta niewola taka długa. Kochana Żono i Wy moi kochani dzieci, pozdrawiam was serdecznie i proszę mi odpisać, bo to tyle mojej wesołości, jak list od was otrzymam, a tu tak długo nie mam.

Babcia Helena wspominała, że gdy wiosną 1944 nasilały się ataki band ukraińskich, ciągle bała się o życie swojej rodziny. Podobno kiedyś przyszli do jej gospodarstwa Ukraińcy, ale gdy zorientowali się, że mieszkają tu same kobiety i dzieci, odeszli. Potem babcia z dziećmi i siostrą każdej nocy uciekała z domu i spała w gospodarstwie u zaprzyjaźnionej Ukrainki. Tymczasem wokół ginęli ludzie, mordowani w okrutny sposób nożami, kosami, widłami, piłą, rozstrzeliwani...

Moja mama wspominała, że kiedyś wi-
działa, jak Ukraińcy jechali przez ich wieś z różną
bronią, poprzebierani w niemieckie mundury głoś-
no się śmiali i krzyczeli, a ona i inne dzieci biegły
za nimi drogą z okrzykami: *Niemcy jadą, Niemcy
jadą!* Później okazało się, że bandyci zamordowali
polską rodzinę mieszkającą na drugim końcu wsi.
*Gdy Ukraińcy odjechali, dzieci pobiegły zobaczyć
trupę pomordowanych* - wspominała mama.

Opowiadała też, że podobno *banderowcy
wpadli kiedyś do domu pewnej kobiety, która dłu-
gie lata pełniła we wsi funkcję akuszerki. Kobieta
poznała niektórych i zwróciła się do jednego z nich:
To ja cię na świat sprowadziła, a ty mnie przyszedł
zamordować! A on zastrzelił ją, a później wymor-
dowali jej całą rodzinę!*

W gminie Mosty Wielkie z rąk UPA zginęło
wielu Polaków: Janówka - 10 osób, Kupiczwola - 22,
Wolica - 14, Niedźwiednia - 24, Strzemiń - 37, Mo-
sty Wielkie - 155... W Reklińcu zginęło 27 osób¹⁷.

Później Helena Rzeczkowska, podobnie
jak wielu mieszkających tam Polaków, znalazła na
bramie kartkę, na której było napisane, że aby oca-
lić życie, muszą w ciągu 24 godzin opuścić swoje
gospodarstwo. Babcia spakowała najpotrzebniej-
sze rzeczy i razem z dziećmi i siostrą pojechała do
Lwowa, do stryja dziadka Juliana, księdza Józefa
Rzeczkowskiego. On zatroszczył się o wszystkich
swoich krewnych, którzy po ucieczce przed bande-
rowcami schronili się we Lwowie. Dzięki jego po-
mocy, babcia Helena z siostrą i dziećmi zamieszka-
ła we Lwowie na ulicy Łyczakowskiej 24a m.15.
Do dzisiaj zachowały się rachunki, które babcia
płaciła za mieszkanie i wodę z 1944 i 1945 roku.

За який місяць	Квартплата	Вода	Центральне опалення	Разом	Пеня	Всього
1	2.31	12-		14.31		14.31

Rachunek za mieszkanie, Lwów 1945.

Mój wujek Józef Rzeczkowski wspominał,
że we Lwowie mieszkali około półtora roku. Ksiądz
znalazł im mieszkanie w starej kamienicy, która
wcześniej prawdopodobnie była zamieszkiwana
przez Niemców. Ich dom znajdował się na rogu uli-
cy, na parterze, wcześniej był tam prawdopodobnie
sklep. Mieszkanie było duże, ale jednopokojowe.
W tej kamienicy była też restauracja i sklepy.

Opowiadał też, że często bawił się z kolegą
Jurkiem i kiedyś *za krokiewiami na strychu kamie-
nicy, znaleźliśmy starannie zapakowane pistolety
i zaczęli strzelać po dachach przez okno na stry-
chu, a później porzuciliśmy broń i uciekli.* Wujek
był wówczas 9-letnim chłopcem, ze swoją siostrą
Anielą chodził do ruskiej szkoły i tam nauczył się
pisać i czytać w tym języku. Gdy przyjechali do
Polski, mieli z siostrą duże trudności z akcentem
i pisanie w ojczystym języku. Najmłodsza, Mary-
sia, nie chodziła do szkoły.

Siostra babci - Bronisława, znalazła pracę
w ochronce. Babcia Helena zajmowała się do-
mem i dziećmi, starała się też dorobić parę groszy
i *chodziła prac „po ludziach”.* Żyło im się ciężko,
bo zapasy, które wzięli po opuszczeniu gospodar-
stwa, szybko się wyczerpały. Wujek pamięta też,
że mieszkali niedaleko cmentarza i *ciotka Bronka
chodziła po mleko przez Cmentarz Orłąt Lwows-
kich.*

Kiedyś, prawdopodobnie w 1945 roku, bab-
cia Helena wybrała się do Reklińca, gdzie została
jakaś rodzina ze strony Marmajewskich i zgłiszcza
rodzinnego domu. Wujek wspominał: *ruski kierow-
ca, który zabrał ją „na pakę” samochodu, przewoził
beczki. Kiedy gwałtownie zahamował, beczki potó-
czyły się i jedna z nich uderzyła ją w głowę.* Od-
tąd do końca swojego życia babcia cierpiała na bóle
głowy.

We Lwowie mieszkali do końca 1945 roku.
Jedyny zachowany list, który stamtąd wysłała bab-
cia do dziadka ma adres nadawcy *Józef Rzec-
kowski Lwów Międzyńskiego 8* i datę *10 maja
1944:*

*Kochany Mężu piszę ci parę słów. My dzięki Bogu
wszystkie zdrowi i wszystkie żyjemy. Na razie
jeszcze jesteśmy we Lwowie, a jak będzie dalej,
to jeszcze napiszę. Kochany Mężu, nasze miesz-
kanie, to już nam wszystko popalili. My na razie*

¹⁷ Strona internetowa: <https://genealogia.okiem.pl/forum/viewtopic.php?f=73&t=4492>.

jeszcze mamy trochę żywności i ubranie też, bośmy wzięli ze sobą i tak na razie żyjemy. Franyk z Michašką [brat z żoną] pojechali do jej rodziny. Kochany Mężu, ty mi pisziesz z jakiego powodu my opuścili swoje mieszkanie. Nasi sąsiedzi [Ukraińcy] nas wypędzili, wszystko nam popalili i teraz gospodarzą na naszym. Kochany Mężu, nie martw się, że tak jest, może Bóg się zmiłuje i się to wszystko przebędzie.

W tym liście jest też kilka zdań napisanych przez Stanisława, stryja dziadka Juliana, który po ucieczce z Reklifka także znalazł się we Lwowie:

Kochany, Ja chciałem ci też parę słów napisać. Na razie jesteśmy we Lwowie. Franek z Michašką i dziećmi wyjechał do Sieradza k. Tarnowa. Koło nas wszystko się gorączkuje. Coś z pewnością wiesz. Ciężki los obecnie przeżywamy. Nasi sąsiedzi Ukraińcy, powypędzali nas z rodzinnych osiedli. Dużo zginęło na miejscu w okropny sposób. Ale Pan Bóg łaskawy, może da się to przeżyć. Myślę, że już niedługo. Pisz dużo na adres, jaki ci żona podała, to znaczy do Stryjka. A my ci będziemy odpisywać. Nie przejmuj się niczym. Staszek.

Dziadek Julian, zaniepokojony brakiem wiadomości od żony, napisał do swego ciotecznego brata Stanisława Lewicy. List (choć bardzo zniszczony) także się zachował:

Dnia 30 maja 1944

Kochany bracie i ty bratowo, piszę wam parę słów. Ja, Bogu dzięki zdrów, no mnie bardzo przykro i smutno, że wy nie jesteście w swoim domu i nie razem, tylko takie rozproszone. Kochany Bracie staraj się, żebyś mógł mnie wysłać wiadomość, gdzie mama i moja żona się znajdują, czy jeszcze we Lwowie, czy gdzie na innym miejscu. Napisz, bo ja nie mam żadnych wieści, gdzie oni są, co dnia mnie martwi, jak oni tam żyją i jak się mają, te maleńki dzieci, tak muszą biedować. Kochany bracie staraj się, żebyś zaraz mógł napisać, gdzie moja rodzina się znajduje, bo to mnie najgorzej martwi gdzie oni są i jak żyją. Myślę jak wy tam żyjeci, jak swego nie macie, to mnie bardzo martwi, że wy wszystko musieli opuścić i teraz żadnego przytułku nie macie. Te moi dzieci maleńki tak muszą biedo-

wać i wy wszyscy. Kochany Bracie i Ty bratowo, proszę Was bardzo, odpiszcie mi zaraz. Pozdrawiam Was Wszystkich. Twój brat Julian.

Po zakończeniu wojny rodzinna wieś moich dziadków znalazła się w granicach ZSRR. Babcia z dziećmi i siostrą oraz inni członkowie rodziny Rzeczkowskich i Marmajewskich, podobnie jak wielu repatriantów, przyjechali do Polski, niektórzy na Ziemię Odzyskane. Rodzeństwo dziadka Juliana ze swoimi rodzinami przybyło na Śląsk i tam zajęli poniemieckie domy i gospodarstwa. Brat Bronisław zamieszkał w Tucznie, Franciszek w Gliwicach, Józef w Kleszczowie, Wojciech w Rudzieńcu. Matka dziadka, Józefa Rzeczkowska, po przyjeździe do Polski zamieszkała z jedyną córką Agnieszką w Rudnie.

Babcia Helena z dziećmi i siostrą Bronisławą przyjechały pociągiem do Tarnowa. W czasie podróży skradziono im wszystkie dokumenty i część skromnego dobytku. Na podstawie zachowanych kart zameldowania można stwierdzić, że do Tarnowa przybyli w styczniu 1946 roku. Zamieszkali na ulicy 3 Maja 10. Prawdopodobnie Helena chciała dołączyć do rodziny na Śląsku i pisała do swojej teściowej Józefy Rzeczkowskiej, ale ona nie chciała przygarnąć synowej z dziećmi. Odpisała, że *nawet nie wie, czy jej syn jeszcze żyje!*

Wzrost Nr 3.

**KARTA ZAMELDOWANIA
DLA PRZEBYWAJĄCYCH NA POKY CZASOWY**

Imię: Gust, Nazwisko: Gust, Nr domu: 10, Nr mieszk.: 10

1. Nazwisko: Gust

2. Imiona: Bronisława

3. Imiona rodziców: Józefa i Michał

4. Przybył (a) na pokój czasowy: 10.1.46, data: 10.1.46, w kogo się zatrzymał (a): Józefa Rzeczkowska

5. Skąd przybył (a): z wojny, data: 10.1.46

6. Miejsce zamieszkania: Tarnobrzeg

7. Zawód i stanowisko w zawodzie: 10

8. Urodził (a) się dn.: 12.1.1912, m-ca: 1, 1912

9. Wyznanie: 10

10. Jakim dowodem się legitymuje: 10, data: 25.12.1946

POTWIERDZENIE ZAMELDOWANIA

Nazwisko: Gust, Imiona: Bronisława, Miejsce zamieszkania: 3 Maja 10

Karta meldunkowa, 1946 r.

Helena z rodziną przyjechała więc do Orłowa, bo w tych okolicach wcześniej osiedlił się jej ojczym Bronisław Marmajewski i przyrodni bracia. Najpierw zamieszkali w Orłowie Drewnianym, w wynajętej izbie u Żdżyłowskich, a później w Orłowie Murowanym w wynajętym pustym domu po rodzinie Michalaków. Siostra babci, Bronisława, początkowo z nimi mieszkała i pracowała w gospodarstwie bogatego gospodarza Dobosza, a następnie znalazła pracę w Krasnymstawie, w kuchni szkolnej gimnazjum. Tam otrzymała kąpiel do spania, a później mieszkanie w bloku i do końca swojego życia mieszkała w Krasnymstawie.

Julian Rzeczkowski po wyzwoleniu poszukiwał swojej żony i dzieci przez PCK. Po powrocie z niemieckiej niewoli, przyjechał do Legnicy, następnie do Tarnowa, a później do Orłowa Drewnianego, gdzie wreszcie spotkał swoich najbliższych. Dziadek był z zawodu cieślą, by zarobić na utrzymanie rodziny i zbudować własny dom pracował długie lata w Tomaszowie Lubelskim, później pracował tam także jego syn, Józef, który był murażem i tynkarzem.

Moja mama Aniela i wujek Józef wspominali, że gdy zaczęli naukę w szkole w Orłowie, mieli na początku duże problemy, bo przecież wcześniej chodzili do ruskiej szkoły! Po skończeniu podstawówki, Aniela bardzo chciała się dalej uczyć i zostać nauczycielką, ale ciągle brakowało pieniędzy, więc jej rodzice zdecydowali, że ma wyuczyć się zawodu. Po okresie terminowania u krawcowej w Orłowie Murowanym, nauczyła się szycia i „wzię-

ła krój”, tzn. została krawcową. Odtąd mogła dorabiać do domowego budżetu i na własne potrzeby.



Siostra dziadka Juliana, Agnieszka Sawicka z mężem i dziećmi, 1954 r.



Od prawej: Józef Rzeczkowski z żoną Franciszką, Helena i Julian Rzeczkowscy, Józefa Kowalska z mężem i synem, około 1983 r.



Zdjęcie podpisane przez dziadka: „Pamiętka Frankowych chrzcin, jak my byli razem, 18/VIII/1948”. Na środku matka dziadka Juliana - Józefa.

Julian i Helena mieszkali z dziećmi w Orłowie Murowanym do roku 1961. Po wybudowaniu własnego domu zamieszkali w Kolonii Orłów Murowany. Wprowadzili się tam w roku 1962 i mieszkali aż do śmierci - Helena do 10.05.1989, a Julian do 13.07.1993 roku.

Najstarsza córka Aniela, w roku 1956 wyszła za mąż i zamieszkała w Majdanie Krynickim, a najmłodsza Maria wyjechała na Śląsk - wyszła za mąż za Jana Biłozora i zamieszkała w Rzeczychach. Obecnie w rodzinnym domu Rzeczkowskich mieszka ich syn Józef i wnuczka Ewa K. z rodziną. Dziadkowie spoczywają na cmentarzu parafialnym w Orłowie Murowanym.

Barbara Hać

Zdjęcia z archiwum rodzinnego autorki.

Kazimierz Stołecki

Powiat krasnostawski na łamach „Gazety Warszawskiej” w latach 1919-1925



1919, nr 3, 03 I. Komisje okręgowe ziemskie. Z dniem 1 stycznia r.b. utworzone następujące komisje okręgowe ziemskie: 6) W Lublinie, obejmująca powiaty: lubelski, puławski, lubartowski, chełmski, janowski, zamojski, krasnostawski, hrubieszowski, biłgorajski i tomaszowski.

1919, nr 17, 18 I. Krasnostaw. Projekty wywłaszczenia, „Głos Lub.” pisze: W tych dniach do Komisarza Ludowego w Krasnymstawie zgłosiła się delegacja służby folwarcznej z okolicznych majątków w powiecie i oświadczyła, że wobec tego, iż nie mogą dojść do ostatecznego porozumienia w sprawie wynagrodzeń służbowych z właścicielami majątków postanowili przystąpić do wywłaszczenia i prowadzenia dalszej gospodarki na własną rękę.

1919, nr 43, 13 II. Krasnostaw (kor. wł.). Anarchja służbowa, panująca w pow. Lubelskim, zaczyna przenikać już i do pow. Krasnostawskiego: służba i agitatorzy Lubelskiego powiatu coraz to wpadają do nas, ciągną służbę na wiece, na zebrania, głoszą wielki strajk polityczny i namawiają do tworzenia służbowych bojówek i obejmowania majątków. Fakty: Furman rządcy z Woli Piaseckiej, Stanisław Wojewoda, urządza zebrania w Borku, Gardzienicach i tłumaczy, że tylko bolszewizm może służbę wyratować. W poniedziałek 3 lutego przyszedł do Borku niejaki Józef Galant przez czerwoną gwardję przysłany z piśmienną instrukcją, do tworzenia kadr wojska robotniczego; miał zamieszkać w Borku, wziąć klucze w swoje ręce i uczyć służbę: 1) fechtunku i obchodzenia się z bronią, 2) rozsypywania się w tyraljerę, 3) zdobywania dworów, kaplic przydrożnych i murowanych budynków, 4) zapisywać kandydatów na broń. Trafem wpadł wieczorem do Borku nasz lotny oddział ułanów i ten

drab sam się ulotnił. Do majątku Gielczew wczoraj zajechały trzy furmanki pełne chłopów i rewizję w całym domu urządzili. W Żółkiewce Cimek na wiecu w poniedziałek do krwawej rewolucji publicznie w swoich przemówieniach namawiał. Na niedzielę ściągają służbę w ogromnej ilości do Lublina na jakieś pochody manifestacyjne, wiece i różne szopki, z tem, żeby później odbić więźniów. Jak długo będzie tolerowana broń u służby po folwarkach i cała robota komunistów, polegająca na tworzenia armii rewolucyjnej, składającej się ze służby folwarcznej? Służba jedzie do Lublina o 60. wiorst i bierze wszystkie furmanki; mówi, że wdać wolno to robić, jeżeli nikt nie broni.

1919, nr 69, 11 III. Posłowie na Sejm. Antoni Rząd. A. Rząd urodził się w roku 1865. Kształcił się w gimnazjum lubelskim oraz na wydziale lekarskim uniwersytetu warszawskiego. Po ukończeniu studjów osiadł w Krasnymstawie, następnie jednak wyjechał do Berlina dla dalszych studjów zawodowych. Powróciwszy do kraju, zamieszkał w m. Łodzi, gdzie niebawem dał się poznać jako energiczny działacz społeczny, pełen zapału i inicjatywy. W r. 1895 rząd rosyjski wydał t.zw. ustawę normalną o spółkach kredytowych. Korzystając z tego, dr. A. Rząd - wraz ze ś.p o. Wł. Ciotem - zakłada w Łodzi i w okolicy towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe i zachęca rzesze robotnicze do organizowania się na drodze samopomocy. Obok tego dr. A. Rząd bierze nader czynny udział w walce z alkoholizmem, wygłaszając szereg odczytów i pogadanek z tej dziedziny. Pracuje również na polu światowym i w łódzkim uniwersytecie ludowym miewał wykłady z zakresu biologii ogólnej, filozofii, i t.d. W kresie swego pobytu w Łodzi dr. A. Rząd umiał znaleźć czas i na pracę naukowo-lekarską: prace swe zamieszczał w łódzkim „Czasopiśmie lekarskim” oraz w poznańskich „Nowinach lekarskich”. Wybrany z m. Łodzi na posła do pierwszej Izby państwowej, piastował ten mandat również w trzeciej Dumie. Niebawem (w r. 1899) udało mu się wyrobić w Petersburgu koncesję na bank towarzystw pożyczkowo oszczędnościowych. Pragnąc poświęcić się włącznie sprawie organizacji ekonomicznej i finansowej kraju, zrzekł się w X. 1910 mandatu poselskiego, przeniósł się do Warszawy i stanął na czele nowej instytucji, jako prezes zarządu „Banku towarzystw współdzielczych”. O wiel-

kiem znaczeniu tego banku zbytecznie rozpisywać się. Natomiast trzeba jeszcze nadmienić, że z pod pióra d-ra A. Rządu wyszedł doskonały „Poradnik dla spółek kredytowych” i że od r. 1917 pod redakcją jego ukazuje się miesięcznik „Siła”, poświęcony sprawom spółek kredytowych oraz zagadnieniom pieniądza ogólnego. Obecnie dr. A. Rząd zasiada w Sejmie konstytucyjnym, jako poseł z okręgu piotrkowskiego. W Sejmie należy do Związku ludowo-narodowego.

1919, nr 70, 12 III. Na skutek wezwania Związku miast polskich - w wielu miastach na prowincji odbyły się uroczyste posiedzenia rad miejskich łącznie z magistratami w sprawie przyłączenia Gdańska do Polski. Posiedzenia takie urządziły: Sochaczew, Kalisz, Włocławek, Kielce, Siedlce, Maków, Międzyrzec, Lublin, Sosnowice, Wyszaków, Opoczno, Sieradz, Krasnystaw, Skierniewice, Kutno, Łódź, Pułtusk, Łomża, Zamość, Biała Podlaska, Częstochowa, Radom, Sandomierz, Łowicz, Mława, Żyrardów, Krępiec, Koło, Piotrków, Chełm, Czeladź, Garwolin, Łask, Siewierz, Końskie i Nowo-Radomsk.

1919, nr 98, 09 IV. Warunki służby folwarcznej w Lubelskiem. Dn. 4 kwietnia rozpoczęły się w Lublinie układy w sprawie służby rolnej w Lubelskiem między Centr. Zw. Zaw. rob. rol. i Radą delegatów rob. folw. z jednej, a Związkiem Ziemian z drugiej strony. Przewodniczył delegat ministerstwa pracy i opieki społ. p. M. Klott. W układach uczestniczył nadto delegat rolny p. St. Czarnecki. Z ramienia Zw. Ziemian układy prowadzili pp. J. Stecki, Wł. Wydźga, Z. Sobieszczański, K. Fudakowski i Swida. W imieniu organizacji rob. folw. wstępowali: Kucharek, Dąbek, Podgórski, Plewa, Laskowski. Po 2-dniowych obradach obie strony doszły do porozumienia, które formalnie zawarte zostało 5 kwietnia. Groźny strajk służby folwarcznej w Lubelskiem tym sposobem zlikwidowano. Treść umowy została zawarta w 27 punktach z których przytaczamy najważniejsze: 1) Umowa zawiera się na rok. Obie strony obowiązują 3-y miesięczny termin wypowiedzenia pracy przed upływem terminu umowy najmu. 2) Dzień pracy trwać będzie w grudniu, styczniu i lutym po 6 godz., w październiku, listopadzie i marcu po 8 godzin, we wrześniu, kwietniu i maju po 10 godzin i w czerwcu, lipcu i sierpniu po 12 godzin. Przerwy obiadowe w zimie mają wynosić 1 i pół godz., latem 3 godz. Obrządek inwentarza poza godzinami pra-

cy bez specjalnych dopłat. 3) Pracownikom wolno należeć do Związków Zaw. uznanych i zatwierdzonych przez władzę. 4) Trzymanie czeladników (posyłek) z osób postronnych nie jest obowiązujące. Członkowie rodziny pracownika mogą być godzeni na zasadzie osobnej umowy pracodawcy z ordynariuszami. 5) Ordynariusz bez „posyłki” otrzyma pensji 1.200 marek z dodatkiem drożyznianym dla powiatów: Lubelskiego, Krasnostawskiego, Zamojskiego i Puławskiego 16 centr. zboża dla reszty powiatów byłej gub. lubelskiej 15 cnt. zboża. Opału 8 jednostek opałowych. Ziemi pod ziemniaki 200 prętów, pod kapustę i len 50 prętów. Utrzymanie dla 2 krów. 6) Pracownik otrzyma co najmniej jedną izbę w dobrym stanie z podłogą drewnianą. 7) Przez pracodawcę będą opłacane do czasu w prowadzenia w życie dekretu o kasach chorych - pomoc lekarska, akuszeryjna, szpital i apteka.

1919, nr 111, 24 IV. W obronie Gdańska i Kresów. Do Biura Związku Miast Polskich nie przestają napływać uchwały manifestacyjnych, uroczystych zebrań miast polskich, żądające zwrotu Polsce Gdańska z pobrażem Bałtyku i prowincjami pruskiemi, a także zwrotu Ks. Cieszyńskiego, Spisza i Orawy. W sprawie Ks. Cieszyńskiego, Spisza i Orawy - miasta: Stawiski, Ostrowiec, Garwolin, Kraśnik, Otwock, Ozorków, Staszów, Tykocin, Grodzisk, Zagórów, Suwałki, Końskie, Turek, Nowogród, Krasnystaw, Zakroczym, Mława, Śleszyn, Lipno, Przedbórz, Koło, Goniądz, Łęczna, Puławy, Rypin, Wizna. Ogółem w sprawie Gdańska, Związek Miast otrzymał uchwały i rezolucje 120 miast, w sprawie zaś Cieszyńska, Spisza i Orawy - 116 miast, nie licząc uchwał rozmaitych grup zawodowych i kulturalnych.

1919, nr 132, 16 V. Nominacje powiatowych rządów państwowych. Minister rolnictwa dóbr państwowych wydał następujące rozporządzenie: W uzupełnieniu rozporządzeń: z dn. 31 marca i 18 kwietnia 1919 r. w przedmiocie ustanowienia: Urzędu Czasowego Dzierżaw Przymusowych oraz powiatowych: zarządców państwowych („Monitor „Polski” Nr. 74 z d. 1 kwietnia 1910 r. i Nr. 88 z dn. 17 kwietnia 1919 r.) mianuję zarządcami państwowymi: na pow. Krasnostawski p. Mieczysława Szmurło na miejsce p. Michała Elicecka, który jednocześnie ze stanowiska tego zostaje odwołany. Minister Rolnictwa i Dóbr Państwowych wz. Z. Chmielewski, Warszawa d. 12 maja 1919 r.

1919, nr 139, 23 V. Zwolnienie od rekwizycji. Związek ziemian komunikuje nam, że ministerstwo spraw wojskowych zarządziło zwolnienie mieszkańców od wojskowych rekwizycji wszelkich zbóż i nasion, niezbędnych dla siewów wiosennych w powiatach byłej Kongresówki, leżących na obszarze wojennym, mianowicie: Szczuczypińskim, Konstantynowskim, Białskim, Włodawskim, Chełmskim, Krasnostawskim, Hrubieszowskim, Zamojskim, Biłgorajskim i Tomaszowskim.

1919, nr 144, 28 V. Krasnostaw. Bezkarność bandytów i złodziei (kor. wł.). W pow. Krasnostawskim grabieże, kradzieże, rabunki a w niektórych miejscach i samowola ludności przyjmują wprost zastrasżające rozmiary i pomimo starań na miejscu w Krasnymstawie nic osiągnąć nie można, bo jak oficjalnie komisarz oświadczył, pomimo jego najlepszych chęci, jest zupełnie bezsilny. Milicja zupełnie go ignoruje i nie słucha, żandarmerji nie wolno do niczego się wtrącać, a policji jeszcze niema (oświadczył to 16 maja deputacji Związku ziemian). W powiecie zaś ograbiono niszcząc meble i wszystko w mieszkaniu p. Osieckiego ze Żdżannego, po nocach w całym powiecie uzbrojeni chłopci na kilku furmankach razem podjeżdżają pod kopce kartoflane, strzelając odpędzają stróżów i zabierają sobie po kilkanaście centnarów kartofli (Gardzienice, Łopiennik strzelanie, wszędzie cichy rabunek). Oprócz tego w wielu miejscach podjeżdżają pod spichrze w nocy, drzwi wybijają i zabierają sobie po kilkanaście centnarów zboża (Sobieska Wola, Żdżanne i wiele innych miejsc). To samo robią, nie tylko dworom, ale i chłopom. Zaczynają się też ruchy antyżydowskie, wywołane przez agitatorów z tę, że o ile się to uda, później na dwory się skierować zamierzają. Zorganizowała się szajka bandytów tymczasem składająca się z 6 ludzi, między nimi jeden kozak i kilku Moskali z tych, co zabili w roku zeszłym w Olchowcu Roztworowskiego. Ta banda zabiła już kilku ludzi w ostatnich czasach, a teraz nawiązuje stosunki po wsiach z miejscowymi złodziejami i ze służbą folwarczną, żeby przy pomocy tych pomocników miejscowych w odpowiednim momencie (po sprzedaży czegoś przez dwór) urządzać napady. Absolutnie ich nikt nie prześladowa i nic im nikt nie robi i absolutnie niema z tem do kogo się zwrócić.

1919, nr 207, 31 VII. Przyszły zarząd Królestwa. Komisja administracyjna wniosła do Izby pro-

jekt podziału tymczasowego Kongresówki. Kraj będzie podzielony na pięć okręgów, a mianowicie: 4) lubelski z powiatami: Biłgoraj, Biała, Chełm, Garwolin, Hrubieszów, Janów, Krasnostaw, Konstantynów, Lublin, Lubartów, Łuków, Puławy, Radzyń, Siedlce, Sokołów, Tomaszów, Węgrów, Włodawa i Zamość z 2.406 tys. mieszk.

1919, nr 233, 26 VIII. Są państwa i narody, które dopiero próbują zdobyć samodzielność, jak Ukraińcy, którzy zgłaszali swe pretensje zarówno do Przemyśla, Krasnegostawu i Radzyna, jak do Kubani i brzegów Wołgi, lub Litwini, żądający dla siebie Wilna.

1919, nr 286, 19 X. Strajk rolny. Na prowincji. Z Krasnegostawu donoszą, że miejscowy starosta przed wybuchem strajku wziął urlop i nie zastąpił swemu zastępcy żadnych instrukcji na wypadek strajku.

1919, nr 302, 05 XI. Zasy py śnieżne utrudniają normalny, ruch pociągów. Ostatnio pod Krasnostawem pociąg osobowy wskutek śnieżycy musiał stać przeszło godzinę w czystym polu.

1919, nr 323, 26 XI. Wobec klęski ziemniaczanej rząd zastosował szereg środków zaradczych. Starostowie mogą udzielać zezwoleń na przerób w gorzelniach i syropiarniach ziemniaków zmarzniętych i psujących się w kopcach, o ile cena ziemniaków zdrowych wynosi nie mniej, niż: Mk. 40, resp. kor. 70 w powiatach: krasnostawskim.

1919, nr 339, 13 XII. Ceny na zboże w roku 1919 i 1920. W „Monitorze Polskim” ogłoszono rozporządzenie min. aprowizacji, rolnictwa i skarbu w sprawie cen na zboże w roku gospodarczym 1919/1920. W powiecie krasnostawskim ustanowiona zostaje cena: za 100 kg żyta, jęczmienia i owsa mk. 110, za 100 kg. pszenicy mk. 120.

1920, nr 17, 17 I. Sabotaż służby folwarcznej Z Krasnegostawu piszą: Od 1 stycznia służba folwarczna zaczęła otrzymywać od właścicieli majątków ziemskich kartki zwolnienia od 1 kwietnia. Atoli służba zwolnień tych nie chce przyjmować, twierdząc, że z miejsca się nie ruszy, dopóki ziemi nie zostanie. W jednej miejscowości (w Płonce) - jak zaznacza nasz korespondent - służba oświadczyła, że raczej ona zwolni administratora. Wogóle zaś służba udaje, że nie obchodzi ją wcale zwolnienia. W Łopienniku - jak nas informują - służba nie dała nawet młócić zboża. Komunikując o tem, informator

nasz zaznacza: „Rozumniejsza część służby pojmuję doskonale i pochwała nawet sprawiedliwe usuwanie gałganów”, lecz robotę wicherzycielską prowadzi Związek Zawodowy Robotników Rolnych. Ogólna liczba zwolnionych - dodać należy - nie przekracza 15 proc. ogólnej liczby służby. Korespondenci nasi zwracają nadto uwagę, że „wobec sabotażu, jaki przez cały rok uprawiała służba folwarczna, wobec ogromnej ilości nadużyć, próżniactwa i braku karności oraz wobec przekonania, wpajanego w służbę przez Z.Z.R.R., że może robić, co tylko jej się podoba, bo Z.Z.R.R. nie dopuści do usunięcia jej lub ukarania - zwolnienie przynajmniej „najgorszych” ze służby jest konieczne ze względu na ład i porządek w kraju oraz na produkcję rolną”. Informacje te uzupełnić można uwagami, jakie otrzymaliśmy od paru osób również z okolic Krasnegostawu. „Niektóre majątki są tak obciążone służbą folwarczną, że na włókę ziemi ornej przypadają 2 rodziny. Na ordynarję właściciel majątku musi wydawać 1200 ctn. metr. (cetnarów metrycznych) zboża, gdy na sprzedaż ma tylko 1000 ctn. metr., lub na ordnary 800, a na sprzedaż 500. O dążeniach Z.Z.R.R. mówią najlepiej dane, zebrane przez prokuratorję państwową. Obecny przewodniczący miejscowego Z.Z.R.R., niejaki Muszyński, kowal z zawodu, jest pijakiem nałogowym i ma fatalną opinię: wyprawia awantury po sądach, młynach, dworach, namawia służbę do ciągłych za targów z pracodawcami, wskutek czego stosunki ze służbą są w ciągłym naprężeniu. Wogóle zaś opinia wszystkich naszych informatorów wypowiada się za tem, że zmiana służby w większości majątków jest warunkiem nieodzownym, oraz, iż przeprowadzenie tej zmiany będzie bardzo łatwe, o ile rząd zrozumie i da się przekonać, iż nie ogół służby z tego powodu się burzy, lecz, że sabotaż, ferment i wzburzenie są wywoływane przez bolszewicki Z.Z.R.R.

1920, nr 108, 20 IV. Akcja ukraińska w Paryżu. Pierwsza nota Delegacji Ukraińskiej, domagająca się od konferencji uznania niepodległości Ukrainy, datuje z dnia 10 lutego r.z. Do noty tej dołączony był duży memoriał z mapą Ukrainy, z której członkowie konferencji dowiedzieć się mogli, że granica zachodnia Ukrainy przechodzi pod Nowym Sączem, Krasnymstawem i Drohiczyńnem i sięga tuż pod Białystok, gdzie zagina się ku wschodowi i przechodzi na południe od Bobrujska, Briańska, Kurska i Woroneża.

1920, nr 125, 08 V. Obwieszczenie. Ministerstwo Skarbu ogłasza niniejszem, że, w wykonaniu Ustawy Sejmowej z dnia 27 lutego 1920 r. w przedmiocie realizacji 5 proc. krótko i długoterminowej Wewnętrznych Pożyczek Państwowych 1920 r. i na mocy rozporządzenia Pana Ministra Skarbu z dn. 24 marca 1920 r., zostały upoważnione do realizacji wyżej wymienionych Pożyczek następujące instytucje: Krasnostawskie Towarzystwo Wzajemnego Kredytu.



Brakuje numerów **230-300 i 330-360.**

1921, nr 37, 07 II. Nowy milioner. Wylosowany w ubiegłą sobotę Nr. 2 404,645 4 proc. pożyczki premijowej przypadł w udziale Stanisławowi Dziegielelewskiemu, który nabył go w domu bankowym Klepczyńskiego w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej Nr 108. Pan Stanisław Dziegielelewski jest żołnierzem armii polskiej, ochotnikiem. Wstąpił do wojska podczas ostatniej ofensywy bolszewickiej na Wołyń i dotychczas pozostaje na froncie jako starszy żołnierz 4 szwadronu 19 pułku ułanów. Pochodzi z Krasnegostawu, od roku 1905 jednak mieszka stale na Wołyń, gdzie rodzice jego niewielki majątek. Majątek ten został ostatnio prawie doszczętnie zniszczony przez wojska bolszewickie. Pan Dziegielelewski nabył szczęśliwy „milionówki” przed dwoma miesiącami, kiedy bawił przez jeden dzień w Warszawie. W oczekiwaniu na pociąg zobaczył w oknie domu bankowego plakat „milionówki” i za żołnierskie oszczędności kupił „milionówkę”. O wygranej dowiedział się dopiero onegdaj, kiedy zupełnie wpadł mu do ręki sobotni numer jednego z pism. Natychmiast uzyskał jednodniowy urlop i wczoraj odebrał milion marek z Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej w Warszawie. Wygraną kwotę przeznacza na odbudowę rodzinnego majątku. Naturalnie nie zapomni również o sierotach.

1921, nr 77, 19 III. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, że na zasadzie Art. 221 zatwierdzonej dnia 21 Czerwca 1888 r. Ustawy Towarzystwa oraz upoważnień Dyrekcji Głównej poniżej wymienione dobra ziemskie z należąciami do nich przyległościami i należnościami z województwa

Lubelskiego wystawione zostają na licytację za zaległość należności Towarzystwa po termin licytacji obrachowanej, na sprzedaż przymusową pierwsza odbyć się, mającą w m. Lublinie, w domu przy ulicy Krakowskie Przedmieście pod No 164-a w gmachu Sądu Okręgowego: pow. Krasnostawski, Chorupnik zaległość 22660 Mk., Gorzków zaległość 3066 Mk., Piaski Szlacheckie cz. BENA zaległość 12150 Mk., Suchelipie U zaległość 13459 Mk.

1921, nr 81, 23 III. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, poniżej wymienione dobra ziemskie z należącymi do nich przyległościami i należnościami z województwa Lubelskiego wystawione zostają na licytację za zaległość należności: Gorzków, Suchelipie U, pow. Krasnostawski.

1921, nr 92, 06 IV. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, poniżej wymienione dobra ziemskie z należącymi do nich przyległościami i należnościami z województwa Lubelskiego wystawione zostają na licytację za zaległość należności: Dobra Piaski Szlacheckie cz. B. E. N. A, pow. Krasnostawski. Zaległości T-stwa Mk. 12150.

1921, nr 99, 13 IV. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, poniżej wymienione dobra ziemskie z należącymi do nich przyległościami i należnościami z województwa Lubelskiego wystawione zostają na licytację za zaległość należności: Chorupnik, pow. Krasnostawski, Gorzków, pow. Krasnostawski, Piaski Szlacheckie cz. B. E. N. A, pow. Krasnostawski, Suchelipie U, pow. Krasnostawski.

1921, nr 165, 19 VI. Kolejki podjazdowe. Krasnostawski sejmik powiatowy przystąpił do prac przygotowawczych Krasnostawski w celu uruchomienia kolejki Izbica-Krasnystaw-Żółkiewka.

1921, nr 184, 08 VII. Ofiary na cele nauki polskiej. Wykaz ofiar, złożonych na Kasę im. J. Mianowskiego za I-sze półrocze 1921 r. Sejmiki: Będzin 50.000 mk., Busk 5.000 mk. Biała Podl. 10.000 mk., Bochnia 1.000 mk., Gostynin 10.000 mk., Kalisz 10.000 mk., Końskie 1000 mk., Krasnystaw 2.000 mk. ...

1921, nr 198, 22 VII. Projekt ordynacji wyborczej. Dodajemy poniżej wykaz okręgów wyborczych, przyczem miasto, stojące na czele, jest siedzibą okręgowej komisji wyborczej i nadaje nazwę

okręgowi. 37) Janów, Biłgoraj, Krasnystaw (394 tys.).

1921, nr 213, 06 VIII. Konkurs. Dział Bud. Kwat. Okręgu Generalnego Lubelskiego, rozpisuje konkurs na roboty asenizacyjne i kominiarskie następujących garnizonach: Kowel, Włodzimierz Wołyński, Równo, Dubno, Łuck, Krzemieniec, Włodawa, Ostróg, Ostrów-Komorowo, Biała-Podlaska, Siedlce, Łuków, Radzyń, Włodawa, Dorohusk, Chełm, Zamość, Krasnystaw, Tomaszów - Lubelski, Hrubieszów, Dęblin, Kozienice, Garbatka, Garwolin, Puławy, Kraśnik, Lublin.

1921, nr 235, 29 VIII. Sprawy gospodarcze. Handel zbożem i miasta. Związek ziemian komunikuje: Rada Nadzorcza Związku Ziemian rozesała do wszystkich oddziałów uchwałę z d. 28 lipca r.b. treści następującej: „W chwili przejścia do wolnego handlu zbożem i związanej z tem możliwości niebezpiecznego wzrostu cen, Rada Nadzorcza Związku Ziemian wzywa wszystkie zrzeszenia ziemiańskie do zastosowania środków, któreby skierowały wszystko zboże, wyprodukowane przez folwarki, a przeznaczone na sprzedaż do organizacji i instytucji, mających na celu bezpośrednie zaopatrywanie spożywców. Oddział krasnostawski uchwalił: „Wchodząc w nadzwyczaj trudne położenie urzędników państwowych, postanawia sprzedać na zaprowidowanie 500 rodzin urzędniczych w powiecie 20 wagonów zboża chlebowego od większej własności po cenie o 50 proc. niższej od notowanych cen przez Giełdę zbożową. Oprócz tego postanawia zaaprowidować urzędników w warzywa i okopowiznę”.



1921, nr 289, 22 X. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Dyrekcja Główna decyzją z d. 7 Lutego r.b. za Nr. 1532 przyznała dobrom Kraśniczyn w powiecie Krasnostawskim stanowiącym własność W. Karola hr. Raczyńskiego pożyczkę dodatkową w Listach Zastawnych 4 i pół proc. serji bezterminowej w sumie Mk. 899.500.

1921, nr 302, 04 XI. Projekt Okręgów wyborczych. 52. Krasnystaw, Janów, Biłgoraj.

1921, nr 343, 15 XII. Nowy projekt okręgów wyborczych. Prace około opracowania ordynacji wyborczej do Sejmu utknęły wobec układania okręgów wyborczych. Referent Buzek, opierając się na wynikach spisu ludności, opracował nowy projekt, nad którym toczy się obecnie dyskusja w podkomisji konstytucyjnej. Królestwo Polskie byłoby reprezentowane przez 147 posłów, wybranych z okręgów następujących: Krasnystaw, Hrubieszów, Janów 5 mand.

1922, nr 28, 28 I. Produkcja nasion pastewnych dobra Nowina p. Krasnystaw ma na sprzedaż nasiona najnowszej odmiany marchwi pastewnej zielonogłowej oraz buraków pastewnych Ideal Kuschego i półcukrowych Vilmorina.

1922, nr 75, 16 III. Kronika sejmowa. Dalsze debaty w kom. konstytucyjnej ustaliły w drugim czytaniu następujące okręgi w Małopolsce: Okrąg 28. Krasnystaw, Hrubieszów, Janów - 5 mandatów.

1922, nr 86, 28 III. Echa inwazji bolszewickiej. Lublin (tel. wł.). W sierpniu 1920 r. we wsi Wierzchowiny pow. krasnostawskiego bolszewicy zamordowali posterunkowego policji Hier. Pasiecznego. Dochodzenia ustaliły, że w zbrodni tej brał udział niejaki Michał Kozioł, pomagając bolszewikom w schwytaniu Pasiecznego. Sąd okręgowy skazał go na 15 lat więzienia.

1922, nr 87, 29 III. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, poniżej wymienione dobra ziemskie z należącami do nich przyległościami i należnościami z województwa Lubelskiego wystawione zostają za zaległość należności: Spławy pow. Krasnostawski.

1922, nr 202, 26 VII. Okręgi wyborcze do Sejmu. Miejscowość, oznaczona tłustym drukiem, jest siedzibą okręgowej komisji wyborczej. Nr Okręgu: 28. **Krasnystaw**, Hrubieszów, Janów, ilość mandatów 5.

1922, nr 265, 29 IX. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, poniżej wymienione dobra ziemskie z należącami do nich przyległościami i należnościami z województwa Lubelskiego wystawione zostają na licytację za zaległość należności: 10), 11) Gardzienice A. cz. I, B. cz. II pow. Krasnostawski.

1922, nr 274, 08 X. Lista Nr. 8 - Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej, w okręgu Krasnystaw, Hrubieszów, Janów. Do Sejmu: 1) Antoni Piątkowski, 46 lat, rolnik. 2) Kacper Chruściel, 45 lat, rolnik. 3) Stanisław Wesołowski, 42 lat, mechanik. 4) Michał Jawor, syn Adama, 52 lat, rolnik. 5) Tomasz Chlebowski, 42 lat, rolnik. 6) Tadeusz Prószyński, lat 49, pisarz-red. „Gaz. Świąt.”. 7) Stanisław Stróżyński, lat 49, aptekarz. 8) Józef Simbierowicz, lat 49, handlowiec. 9) Edward Majewski, lat 35, adw. 10) Stanisław Stryła, lat 38, rolnik.

1922, nr 309, 12 XI. Urzędowe wyniki wyborów. W dalszym ciągu wpłynęły na ręce generalnego komisarza wyborczego p. Bresiewiczza następujące wiadomości o wyniku wyborów w poszczególnych okręgach: Okręg 28 Krasnystaw. Z listy Nr 3 - St. Wrona, St. Marzec, Nr 16 - Wasylczuk Antoni, Nr 15 - Okoń Eugenjusz, Nr 2 - Daski Józef.

1923, nr 95, 08 IV. Obwieszczenie Ministra Skarbu w przedmiocie uprawy tytoniu w r. 1923 z dnia 13 marca 1923 r. L. 699/pr./23/GDMT. I. Tytuł jest przedmiotem monopolu państwowego, nikt zatem nie może go uprawiać bez zezwolenia władz skarbowych. Kto otrzyma pozwolenie na uprawę tytoniu obowiązany jest odsprzedać cały jego zbiór Skarbowi Państwa po cenach taryfowych, które ustanowi Minister skarbu. Dla własnego użytku nie wolno bezwarunkowo uprawiać tytoniu. II. W roku 1923 uprawa tytoniu dozwolona jest: 6. b) w powiatach biłgorajskim, chełmskim, hrubieszowskim, krasnostawskim, tomaszowskim i zamojskim.

1923, nr 100, 14 IV. Dyrekcja Szczegółowa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Lublinie. Podaje do Wiadomości, poniżej wymienione dobra ziemskie z należącami do nich przyległościami i należnościami z województwa Lubelskiego wystawione zostają na licytację za zaległość należności: Dobra 1) Gardzienice II lit. B, pow. Krasnostawski.

1923, nr 158, 12 VI. Dyrekcja Główna Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie. Dyrekcja Główna decyzją z dnia 12 czerwca 1922 roku Nr. 6225 przyznała dobrom Żółkiewka powiatu Krasnostawskiego, pożyczkę w listach zastawnych 4,5% serji bezterminowej w sumie marek 3.127.000. 720). - Dyrekcja Główna wzywa niniejszem: spadkobierców Stefanji - Ignacy z Preszłów Markiewiczowej, żony Mieczysława Markiewicza, wierzycielki 50.000 rubli z tytułu posagu, zabezpieczonego

w Dziale IV wykazu hipotecznego dóbr Żółkiewka pod Nr. 9, - i 50.000 rubli, zabezpieczonych w Dziale IV wykazu hipotecznego dóbr Żółkiewka pod Nr. 19, - mającej miejsce prawnego zamieszkania w dobrach Żółkiewka, powiatu Krasnostawskiego, aby celom otrzymania i pokwitowania z odbioru owej sumy stawili się osobiście lub przez osobę uprawnioną do Wydziału Hipotecznego Sądu Okręgowego w Lublinie w dniu 20 sierpnia 1923 r.

1923, nr 346, 19 XII. Podatek majątkowy. Sposób obliczenia wartości majątku. Celem ustalenia jaką wartość posiadają poszczególne kategorie majątków rolniczych w każdej części kraju, dzieli się całe terytorium Rzeczypospolitej na 5 okręgów ekonomicznych: Do I okręgu wchodzi powiaty: Będzin, Częstochowa, Jędrzejów, Miechów, Opatów, Sandomierz, województwo krakowskie prócz pięciu powiatów wyliczonych w innych okręgach, ... Do II okręgu należą powiaty: Olkusz, Pińczów, Radom, Stopnica, Limanowa, Mielec, Żywiec, Garwolin, Hrubieszów, Janów, Krasnystaw, Puławy, Zamość, Brzozów, ... Do III-go okręgu powiaty: osiem powiatów województwa białostockiego nie wyliczonych w innych okręgach: Iłża, Kielce, Końskie, Kozienice, Opoczno, Włoszczowa, N. Targ, Spiż, Orawa, piętnaście powiatów wojew. lwowskiego nie wyliczonych w innych okręgach, Chełm, Konstantynów, Lubartów, ... Do okręgu IV-go: Augustów, Grodno, Sejny, Sokółka, Suwałki, Wołkowysk, Jaworów, Lisko, Rawa Ruska, Biała podl., Biłgoraj, Włodawa, Lida, Nowogródek, Stołpce, Chojnice, Kartuzy, Kościerzyna, Puck, Wejherowo, Dolina, Kosów. - Do okręgu V: Białowieża, Baranowicze, Stolin, Wołożyn, całe województwo Poleskie, Kowel, Luboml, Brasław, Duniłowicze, Dżisna i Wilejka. Poza tym mamy podział na 7 klas zależnie od jakości poszczególnych kategorii majątku.

1923, nr 353, 28 XII. Zjazd oświatowy w Chełmie. W dniach 8 i 9 grudnia odbył się w Chełmie duży zjazd oświatowy, zwołany przez Komitet organizacyjny z p. Ambroziewiczem, i dyrektorem gimnazjum na czele. W zjeździe wzięło udział około 170 osób, w tym delegaci nauczycielstwa, stow. oświatowych i samorządów z pow. chełmskiego, tomaszowskiego, krasnostawskiego, hrubieszowskiego, biłgorajskiego, zamojskiego, włodawskiego, konstantynowskiego, bialskiego, lubomelskiego, kowalskiego; miast: Warszawy, Lublina i Lwowa.

1924, nr 46, 16 II. Sejm. Samorząd. Uchwalono nagłość wniosku pos. Wrony (Wyzw.) w sprawie dewastacji lasów Olchowiec - Borówek w pow. Krasnostawskim.

1924, nr 78, 19 III. Podatek majątkowy na prowincji. Przymusowe ściąganie zaległości podatku majątkowego - podobnie jak w Warszawie - odbywa się w całym państwie. - Na razie Ministerstwo Skarbu otrzymało raporty z 36 kas należących do 9 izb Skarbowych, za których pośrednictwem wpływał podatek majątkowy z miast i powiatów: Kutno, Włocławek, Aleksandrów, Łask, Radomsk, Łuków, Siedlce, Krasnystaw, Łuck, Kowel, Równo, Sosnowiec, Częstochowa, Lwów, Drohobycz, Podgórze, Chrzanów, Oświęcim, Poznań, Bydgoszcz, Grudziądz, Chełmno i Toruń.

1924, nr 88, 29 III. Rezultat zapisów na Bank Polski. Do dnia wczorajszego subskrybowano 55 proc. kapitału zakładowego 42 proc. kapitału zostało już wpłacone, można twierdzić z całą pewnością, że w ciągu ostatnich trzech dni deklaracje dosięgną 60 proc. kapitału akcyjnego. Poza tym przybyli następujący akcjonariusze z prawem do jednego głosu: Pow. Zw. Komunalny w Krasnymstawie.

1924, nr 91, 01 IV. Wolne posady w szkolenictwie. Stanowiska zastępców inspektorów szkolnych w Końskich, Warszawie (powiat), Krośnie, Jarosławiu, Kołomyi, Sokalu, Tarnopolu, Rzeszowie, Przemyślu, Miechowie, Wierzbniku, Grodzisku pod Warszawą, Łowiczu, Aleksandrowie Kujawskim, Lipnie, Krasnymstawie, Brzezinach i Wieluniu.

1924, nr 99, 09 IV. Z komisji sejmowych. Z komisji rolnej. Na posiedzeniu dnia 7.4.1924 roku Komisji Rolnej był rozpatrywany wniosek posła Wrony (Wyzwolenie) w sprawie zezwolenia na wyręb lasu w dobrach hr. Platera: Borówek i Olchowiec, w powiecie Krasnostawskim. Poseł Wrona żądał skasowania decyzji Okręgowej Komisji Ochrony Lasów w Lublinie i ukarania kilku urzędników. - Po przemówieniu dyr. Miklaszewskiego, który stwierdził, że decyzja się uprawomocniła i że było przeprowadzone badanie, które ustaliło, że decyzja Okręgowej Komisji jest oparta na dostatecznych podstawach prawnych, zabrał głos poseł Kawecki (Zw. Lud. Nar.), który podniósł, że na ziemię z pod wyciętego lasu były porobione umowy z okolicznymi małorolnymi i bezrolnymi, którzy ziemię tę nabyli, jako nadającą się pod uprawę i może

być mowa tylko o zbadaniu czynności urzędników. - Przyjęto rezolucję posła Kaweckiego: Sejm wzywa Rząd do zbadania przebiegu sprawy zezwolenia na wycięcie lasów Borówek i Olchowiec i w razie stwierdzenia stronnego lub niezgodnego z prawem działania urzędników - do pociągnięcia winnych do odpowiedzialności.

1924, nr 163, 16 VI. Zjazd Lubelski Zw. L.-N. Lublin. 15.6. (tel. wł.). Wczoraj odbył się tu zjazd wojewódzki Zw. L. N. Poza tem omawiano wzmożenie akcji politycznej „Wyzwolenia” i „Strzelca” w okolicach Lublina, co pozostaje prawdopodobnie w związku z zamierzoną podróżą p. J. Piłsudskiego w lubelskie na rocznicę 6 sierpnia. W Krasnymstawie władze podobno rozdały broń „Strzelcowi”. W kilka dni później w tych okolicach wydarzyły się napady bandyckie.

1924, nr 184, 07 VII. Z piśmiennictwa. Kształt i Barwa. - Gorliwość grupy ludzi, myślących o wychowaniu młodych pokoleń - wychowaniu artystycznym, o daniu ujęcia żywemu źródłu twórczości plastycznej, bijącej w duszach dziecięcych, pragnących kształcić i pielęgnować jak najcenniejszy skarb, te zdolności, często pogardzane i nieznane, wznowiło wydawnictwo p.t. „Kształt i Barwa”, rocznik, wychodzący we Lwowie pod redakcją p. Matzkego, cenionego profesora i autora prac z zakresu pedagogiki artystycznej. Po za żywym i interesującym referatem p. Świeżego, który pokazuje nam piękne rezultaty swej pracy nauczycielskiej w zapadłym kącie Lubelszczyzny (Krasny-staw), mamy tu dwie prace p. St. Matzkego.

1925, nr 40, 09 II. Zjazd delegatów Rad Szkolnych. W sali Dekerta w Ratuszu warszawskim odbył się dwudniowy zjazd delegatów Rad szkolnych. Po ukonstytuowaniu się prezydium, w skład którego weszli pp.: St. Libicki - przewod., dr. Maciesza z Płocka, Jankowski z Grójca, dr. Domański z Krasnegostawu, Białecki z Rady szkol. warsz., Brzuśnicki z Kalisza - asesorowie, Czerniakowski, Rudowski - sekretarze. Nastąpiły przemówienia powitalne.

1925, nr 91, 01 IV. Niepowodzenie strajku rolnego. Jak to było do przewidzenia strajk rolny nie powiódł się całkowicie. Województwo Lubelskie. W powiecie Lubelskim strajkuje 1 majątek, w Zamojskim - 15, Tomaszowskim 10 majątków w jednej gminie, w Lubartowskim - 3, Janowskim - 5,

w Łukowskim i Krasnostawskim po parę majątków, pozatem spokój.

1925, nr 177, 30 VI. Wystawa w Liskowie. W d. 18 b.m. p. wojewoda Darowski otworzył wystawę „Wsi polskiej” w Liskowie, która potrwa do 5 lipca. Dnia 26 b.m. było 13 wycieczek. W tem dwa sejmi-ki, jeden z Wołkowyska, drugi z Łukowu, delegacje z powiatu słupeckiego, wycieczki rolnicze z pow. lidzkiego, Krasnego Stawu, z Mińska Mazowieckiego, z Częstochowy, z Sieradza, z Zawiercia.

1925, nr 237, 30 VIII. W województwie lubelskiem policja w pościgu za bandą braci Lewandowskich zarządziła wielką 3-dniową obławę. W rezultacie aresztowano na terenie powiatów Zamojskiego, tomaszowskiego, krasnostawskiego i biłgorajskiego 56 osób, przeważnie wieśniaków, co do których stwierdzono, że udzielali bandytom schronienia i żywności, oraz pełnili dla bandy służbę wywiadowczą.

1925, nr 242, 04 IX. Samochodami na targi wschodnie. „Automobilklub polski, pragnąc ułatwić wycieczkę do Lwowa na Targi Wschodnie i na wyścigi samochodowe osobom nie posiadającym własnych samochodów uruchamia w dniu 6 września wykwintry „Car Alpin” firmy Rochet Schneider, kryty na balonach na 25 osób. Wyjazd w dn. 6 września (niedziela) o godz. 8 rano z przed lokalu Klubu, Ossolińskich 6, Cena przejazdu w obie strony zł. 60 od osoby. Marszruta prowadzi przez Garwolin, Lublin, Krasnostaw, Zamość, Żółkiew, piękną, malowniczą drogą. Lokale dla uczestników we Lwowie zapewnione. Zgłoszenia przyjmuje Sekretariat Automobilklubu, Ossolińskich 6 w godzinach biurowych tel. 139 83.

1925, nr 268, 30 IX. Ostatni numer pisma w zbiorach Biblioteki.

*Opracował dr Kazimierz Stolecki
Ze zbiorów e-Biblioteki
Uniwersytetu Warszawskiego.*

Materiały z „Gazety Warszawskiej” za lata 1775-1893, wydrukowano w „Nestorach”: 1) 2012, 4(22), 27-30 (lata 1775-1794); 2) 2013, 1(23), 44-58 (lata 1794-1850); 3) 2013, 2(24), 16-27 (lata 1850-1865); 4) 2013, 3(25), 17-26 (lata 1865-1879); 5) 2013, 4(26), 14-27 (lata 1879-1893). W Bibliotece brakuje roczników: 1894-1918.

Saturnin Naliwajko

Ulica Poniatowskiego
z przełomu lat 1950-60

Na mojej ulicy

Na mojej ulicy
nie ma już starych domów,
w których mieszkają starzy sąsiedzi

Na mojej ulicy
nikt już nie gra w palanta
i nikt nie jeździ fajerką

Na mojej ulicy
nie ma dziewczyn z kokardami
wplecionymi w jasne warkocze

Na mojej ulicy
co wieczór spacerują
wspomnienia dziecięcych lat



autoportret

Ulica Poniatowskiego - moja ulica. Od urodzenia do 1968 r. była ulicą, przy której, w Modrzewiowym Dworku, mieszkała nasza rodzina. Ale takie samo prawo do nazwania tej ulicy mają wszyscy jej mieszkańcy. Jest to więc nasza ulica. Wspomnienia lat dziecięcych i młodzieńczych dotyczą właśnie ul. Poniatowskiego.

O ich mieszkańcach, z których większość odeszła, o domach, które już nie istnieją, traktuje ten niby wykaz, niby opowieść, sam nie wiem jaką nazwą wypadaloby określić poniższe opracowanie. Proszę każdego, kto pamięta ulicę Poniatowskiego z tamtych lat o swoje uwagi i spostrzeżenia. Razem napiszmy historię ulicy Poniatowskiego z lat 1950-60.

Jak napisał Andrzej Klisowski: „pamięć jest zawodna, ale takie wspomnienia odmładzają”. Trzeba się postarzeć, aby móc wracać do młodości lat. A może dysponujecie zdjęciami? W swoich zbiorach posiadam kilka. Jest to naprawdę niewiele. Sporo zdjęć przepadło w czasie przeprowadzki. Byłoby fajnie podeprzeć opis materiałem zdjęciowym.

Zacznijmy spacer naszą ulicą Poniatowskiego od parku w kierunku cmentarza (za szkołą nr 1 była już ulica Cmentarna).

1. Dawny budynek sądu.
2. Kiosk z piwem Tadeusza Wojtala z najlepszymi preclami w mieście i okolicy.
3. Ciastkarnia PSS. Wcześniej była tam piekarnia Józwiaka.
4. Kiosk ogólnospożywczy, w którym sprzedawał Jabłoński z małżonką, mieszkali przy ul. Cichej.
5. Kompleks budynków z restauracją „Powszechna”. Nad „Powszechną” mieszkało małżeństwo krawców Weremczuków (krawiectwo damskie i męskie, Weremczuk szył dla mnie garnitur ślubny). W drugim końcu, od ul. Buczka, na piętrze mieszkali Zofia i Edward Godlewscy (rodzice Jaśka i Piotra - zapaśników) z babcią Sieweniową. W czasie wojny mieszkanie to zajmowali Łaskowie. Na parterze mieli sklep (zamordowani przez Niemców za ukrywanie rodziny żydowskiej). Naprzeciwko mieszkali Chmielewscy - także krawiectwo damskie i męskie. Chmielewska szyła w domu, kulawy Chmielewski miał zakład vis á vis kościoła. W śmierzącym podwórzu mieszkał Wiórko - stróż, a w głębi, nad kuchnią „Powszechną” - gajowy (po zwolnieniu z UB) Szawara. Na parterze wzdłuż Poniatowskiego były dwa sklepy. Jeden spożywczy, drugi z materiałami, dywanami itp. Sprzedawała w nim Alfreda Poniatowska (mieszkała na ul. Szewskiej, obecnie Kilińskiego). Od ul. Buczka, za bramą Piórkowski miał sklep metalowy (gwoździe, śruby, kłódki, zamki, łańcuchy itp.). Prowadził również jedyną w mieście kolekturę toto-lotka.
6. Dwie budki z lodami - Matwiejowej i Młynarczykowej (obie rodziny mieszkaly na ul. Grobla). Wcześniej, przed Młynarczykową lody sprzedawał Soficz (mieszkał w połowie górk, przed obecnym budynkiem „Cory”). Za jego domem były hałdy lodu rąbanego zimą z Wieprza, zasypane trocinami i wiórami stolarskimi, przysypane ziemią. Miały wystarczyć na cały sezon produkcji lodów. Swoim „sklepiem na kółkach” przyjeżdżał pod naszą Szkołę Podstawową nr 1 i sprzedawał pyszne prawdziwe

- lody w rożku za 1 zł, a w muszelce za 2 zł.
7. Zakład naprawy telewizorów Jerzego Stacjońskiego (emerytowany wojskowy, mieszkał z rodziną u Karstowej).
 8. „Czerwona kamienica” dawny komisariat milicji, później mieszkali tam Myszwie, Górecy, Szpotowie, Cimkowie, Rosiakowie i in.
 9. Dawna bożnica - żydowski dom modlitwy (ul. Buczka). Mieścił się tam zakład produkcyjny Spółdzielni Wielobranżowej.
 10. Skup butelek Tadeusza Rogowskiego (róg ul. Buczka i Kościuszki). Zanim zamieszkał tam Rogowski, w tym domu mieszkali Popowiczowie.
 11. Dom Czwórnoga, malarza pokojowego i niekiedy artysty, malował i sprzedawał obrazy olejne.
 12. Dom z piekarnią Markowej i sklepem GS-u lub MHD prowadzonym przez Dionizego Galewskiego. W późniejszych latach piekarnię prowadziła Spółdzielnia Inwalidów, jeszcze później Woźniński & Ostrowski.
 13. Budka szewców Dworuchy i Głazewskiego, z boku zakładzik ślusarski Podolaka. Franciszek Dworucha pozostał w zawodzie, natomiast Mieczysław Głazewski przeszedł do pracy jako sanitariusz w pogotowiu ratunkowym (w chwilach wolnych od pracy klepał dalej buty).
 14. Budka, w której Kulowa prowadziła skup jaj. Później interes ten prowadziła Plichowa.
 15. Dom, w którym mieszkał piekarz Repeć i obok „Zuzia” Lewandowski z żoną „Dianą” z Zajączkowskich.
 16. W jednej części domu knajpka Galewskiej, w drugiej sklep Terlikowskiej i jej córki Worotyńskiej (matki Zbyszka, niedoszedłego lekarza).
 17. Kiosk „Ruchu” prowadzony przez Nowakową (matka Ewki) i jej siostrę Henrykę.
 18. Niedokończona budowa fabryki octu. Miejsce naszych zabaw.
 19. Knajpka Stacha Śleboda.
 20. Kamienica Jaślikowskich - na dole był czapnik Kacprzak, zegarmistrz Władek Przychoda i in-troligatornia Zielki i Soczyńskiego. Jaślikowski jeździł motorowerem Simson z pedałem. W kamienicy Jaślikowskich, po wojnie Jan Rusinek miał własny sklep (tekstylia, pasmante-ria, torebki, mydło i in.) dopóki władza ludowa tego wszystkiego nie skonfiskowała. W latach 50. miał tam pracownię krawiecką Stefan Stawski.
 21. Kiosk spożywczy Jana Rusinka, gdzie z mamą robiliśmy codzienne zakupy. U Rusinka kupowała „jajka wylewki”, „tłuczki” Tyburkowa. Piekła wspaniałe biszkopty, kruche ciastka i robiła niezapomniane lody poziomkowe - sprzedawane w budce niedaleko kościoła. Około 15 metrów od kiosku Rusinka, na chodniku, w latach mniej więcej 1955-56 zainstalowano miejski hydrant - „pompe”. Było to wielkie udogodnienie dla mieszkańców i zwiastun „nowego”. Pamiętam jak z mamą, jako mały brzdąc chodziłem po wodę. Oczywiście mama niosła pełne wiadra, a ja trzymałem się pałąka jednego z wiader. Wcześniej byliśmy zdani na wozówkę (Małysz, Omiotek, Perestaj), którzy sprzedawali wiadro wody ze Stoków za 50 gr. W każdym domu łapana była deszczówka i używana do celów gospodarczych. Idealnie nadawała się do mycia włosów. W nagłych wypadkach chodziło się po wodę do Zamojskiej. W ogrodzie miała studnię kopaną z kołowrotem. Kolejne takie miejskie pompy były zainstalowane przy krzyżu i na ul. Buczka.
 22. Plac targowy tzw. „koszyczkowy” z drewnianą budą służącą jako mieszkanie i sklep Śmigalskich (kosze, doniczki, sita, drewniane meble i zabawki itp.). Pierwsze stragany od wejścia zajmowały przekupki: Misiowa, Zakrzewska, Głuchowska, Marszycka.
 23. Nowy, murowany dom Anieli Karstowej, mieszkała z córką Bronisławą Kułakowską. W ogrodzie, blisko ul. Cichej rosła jabłoń - najśladza kosztowała w okolicy.
 24. Dom drewniany - „Modrzewiowy Dworek” - podzielony pomiędzy Anielę Karst i Helenę Rogowską. W części Karstowej mieszkali Rusinkowie, Olga Giess z synem Robertem Pietraszewskim (pracowała u Zamojskiej, syn później został marynarzem), Ryszard Pawłowski z rodziną (taksówkarz) i od strony ogrodu Nowakowie - pracownicy zakładu jajczarskiego. Później na ich miejscu mieszkali Stacjońscy z babcią Kurne-

ciową. W części domu należącej do Heleny Rogowskiej, oddzielonej od własności Karstowej jedynie sienią, mieszkali w głębi korytarza Huminowie, z przodu domu rodzina Kmieciców, nasza rodzina - Naliwajków i właścicielka Helena Rogowska z synem Robertem „Busiem”. Warto w tym miejscu przytoczyć notkę biograficzną zamieszczoną na stronie internetowej Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie: *Robert Rogowski - urodził się w 1936 roku w Krasnymstawie, mieszkał w Lublinie. Historyk sztuki (KUL) i konserwator zabytków. Debiutował wierszami w „Kamienie” (1958). Jest autorem trzech tomików poetyckich: „Ballada zamojska” (2003), „Listy z bliska” (2012) i „Obrazy z daleka” (2012). Publikował utwory w czasopiśmie i antologiach, m.in. „44. Warszawska Jesień Poezji” (2015). Należał do Związku Literatów Polskich. Zmarł w Lublinie w roku 2017.*

25. Druga część posiadłości zwanej „Modrzewiowym Dworkiem” należącej do Heleny Rogowskiej. Od ulicy i przy bramie wjazdowej (jeszcze była, pamiętam) mieścił się sklep z wapnem. Prowadził go Huba. Przez ścianę mieszkaly siostry: sucha Zdzitowiecka, Grzybowska i „Gruba Jadzia” - ta z kiosku „Ruchu”. Hodowały sporo kotów, które Gruba Jadzia karmiła budyniem. Dalej mieszkali Marciniakowie, w bocznej części garbaty Józef Suchodolski z żoną Józefą. Wraz z nimi mieszkała kulawa córka - Wiktoria Nowak z mężem. Nowak (imię, niestety uleciało) był mistrzem w kryciu dachów słomą. Tylą część budynku, równoległą do ulicy zajmowały komórki i duży magazyn Śmigasiewicza. Jedną z komórek dzierżawił Surma, również handlujący na targu wikliną (kosze, fotele, łóżeczka dziecięce), drewnianym sprzętem gospodarstwa domowego (maselnice, skopki, łyżki, krzesła itp.) oraz pozostałym sprzętem domowym (wiadra, sita, bańki do odciągania śmietany, szatkownice). Chodził ubrany w wojskowe ciuchy pozbawione pagonów, wojskowe buty, na głowie nosił rogatywkę bez orzelka.

Pamiętasz?

*przed domem rośla róża
pachnąca białym kwieciami
zimną rozciwierała
stadem gili*

*Matka w dużej balii
moczyła pranie
kolorowe chwile
naszego dzieciństwa*

*Ojciec z przyklejonym
do nosa liściem
przez zamknięte powieki
oglądał słońce*

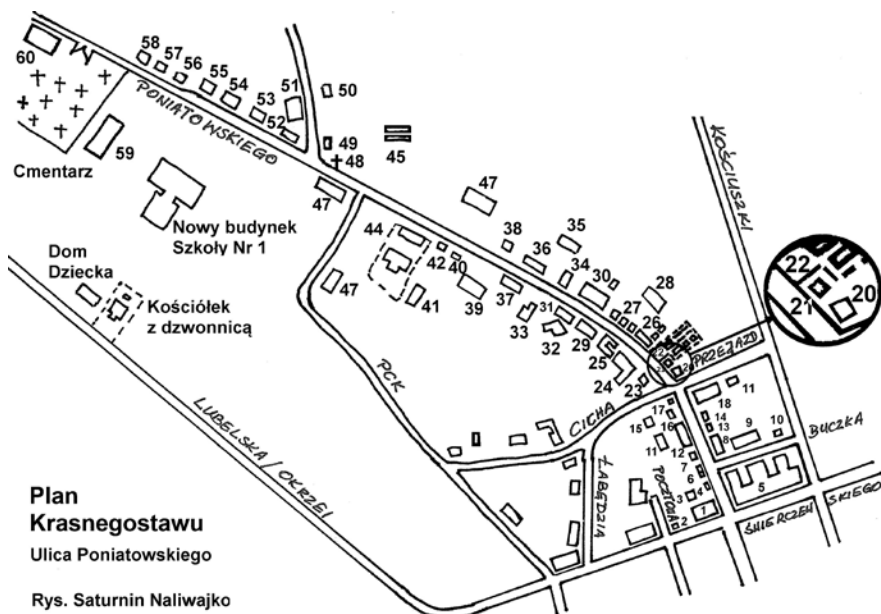
*pamiętasz
smak codziennego chleba
okraszony łzą i potem
zatroskanej o przyszłość
Matki*

*pamiętasz?...
a może wyblakły wspomnienia
rodzinnego domu
„wczoraj” umarło...
„dziś” będzie jutro...
została pustka...
tylko pustka...*

26. Zielona buda „pod lipą” ze sklepem piekarniczym Zdzitowieckiej, obuwniczym Żebrowskiego i chyba gospodarstwem domowym (?). Idąc w dół placu targowego, przechodziło się obok kiosków, w których m.in. Cichoszowa (żona trumniarza) sprzedawała naczynia fajansowe, w innej budce sprzedawane były „buty gospodarcze” czyli gumowce i gumofilce.
27. Wzdłuż ulicy Poniatowskiego stały cztery kioski: materiały Nowińskiej, materiały Humina oraz galanteria Sosnowskiego. Czwarty kiosk stał pusty.
28. Jatki. Słynne „jatk” - miejsce naszych codziennych zabaw. Mieściły się tam różne firmy, na przestrzeni lat - poczynając od Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej, przez bazę transportową PTHW, po magazyny zakładu jajcarskiego i stoiska sprzedaży mięsa z tzw. wolnego uboju.

29. Magazyn owocowy, skup owoców. Dla nas sezonowy dostawca witamin - chodziliśmy tam najeść się do syta aktualnie będących na stanie owoców.
30. Budynek straży pożarnej z wieżą najpierw drewnianą, później murowaną. Komendantem straży był Mikołaj Szrubowicz. W straży pracowali Krystyna Nowakówna, Jaszczenko, Flak, Szuryga, Stasieczek, Jan Chłopek i Stanisław Chłopek (podobno nie rodzina), Księżuk, Guz, Brzyszek, Banaszkiewicz, no i oczywiście Zofia Kobyłańska. W głębi za placem straży stał drewniany budynek, w którym mieściła się stolarnia (dostawaliśmy listewki na latawce), jeszcze dalej skup jaj prowadzony przez Małyszową. Charakterystycznym obiektem ul. Poniatowskiego była i jest wieża - wspinalnia Zawodowej Straży Pożarnej. Niewiele osób pewnie pamięta drewnianą wieżę z nadbudówką nad górnym balkonem. W mojej pamięci jest wieża - wspinalnia drewniana, ale bez nadbudówki. Wieża ta służyła również do suszenia węży gaśniczych. Nieodłącznym i najgłośniejszym elementem tego obiektu była syrena strażacka, której przejmujący dźwięk dwa razy dziennie o godz. 7.00 i 12.00 starał się wyręczyć zegary, nadając czy też regulując rytm codziennego życia mieszkańców miasta i okolicy.
31. Żłobek dzienny. Kierowniczką była Wiktoria Kicińska.
32. Dom Zamojskiej. Mieszkali tam Wojtalowie z córką Krystyną. W parterowej części Barańscy. Waleria Barańska była moją wychowawczynią w klasach 1-4. W budynku gospodarczym po prawej stronie od wejścia mieszkała Konstancja Machnicka, w środkowej części budynku była pralnia, za pralnią mieszkała Danuta Skobejko z synem Marianem i w części najbliższej ogrodu była letnia kuchnia Zamojskiej. Machnicka nie znosiła, gdy za jej plecami dzieciarnia z ulicy „kukała”. Stąd jej pseudonim „Kukułka”. Po śmierci Machnickiej, mieścił się tam zakład krawiectwa ciężkiego prowadzony przez Józefa Patyka. Mieszkał na Kołowrocie. Był dozgonnym ministrantem w kościele św. Franciszka, później św. Trójcy (kościółek).
33. Dom, w którym mieszkali Amerkowie należał do wąsatego Jana Pisarskiego. W jednej części mieszkał z matką kulawy krawiec Kazimierz Amerek. Gdy wracał z miasta i szedł przy krawężniku, aby nie było efektu „mały - duży”, wiadomo było, że jest po dużej wódce. W drugiej części mieszkał brat Kazimierza, Witold - pracownik fermentowni tytoniu z żoną Czesławą i synami Adamem, Januszem i Bogdanem.
34. Stary drewniany dom Zofii Eksztajn. Mieszkała tam Helena Czaplińska *primo voto* Małyszowa (prowadziła skup jaj obok stolarni, za strażą pożarną) z córką Zofią. Jedno z pomieszczeń zajmowały Stanisława Kiewel - pracownica żłobka i Maria Kowala - pracownica MHD.
35. Nowy, murowany dom Eksztajnowej, w którym mieszkała jej córka Malczewska z mężem i synami Januszem i Bogdanem (później wyjechała do Wrocławia).
36. Dom Szymańskiego - pracował w banku (miał syna, który większość życia spędził w zakładzie leczniczym oraz córkę Krystynę). W lewej części budynku do 1960 roku mieszkali Ściep-kowie - Władysław, pracownik spółdzielni ogrodniczej i Jadwiga, przełożona pielęgniarek z synami Markiem i Jackiem i babcią Padwicką, na podwórzu Helena Kasperek - kucharka ze szkoły nr 1. Od podwórza mieszkali Pasikowie - bileterka kina „Morskie Oko” i pracownik PZGS. Po przeprowadzeniu się Ściep-ków na „działki” i Heli Kasperek do bloku przy Okrzei, ich mieszkania zajął Czarnecki - oficer więziennictwa. Jego starszy syn podobno miał problemy z prawem - słynna sprawa.
37. Dom Pisarskich. Z frontu domu mieszkały siostry zakonne, dorabiające tzw. „obciąganiem guzików”. Od podwórza mieszkali właściciele - Jan z sumiastym białym wąsem, prowadził legalizację wag i handel skór, i jego żona (prawdopodobne imię Helena) oraz Feliks Pisarski z żoną i córkami Kazią i Basią. Po wyjeździe Feliksa Pisarskiego, mieszkała tam rodzina Zamojskich - pracownik PZU, a po wysiedleniu siostr zakonnych rodzina Dudzików. Dudzik w tym czasie studiował medycynę, później był lekarzem radiologiem.
38. Dom Górecznych.
39. Dom Basińskiej - matki Józefy Błaszczak, żony Michała „Trupa” Błaszczaka (nauczyciele Szkoły Podstawowej nr 1), w którym mieszkali

- z córką Zofią i synem Markiem. Rosły tam przepyszne gruszki klapsy, które namiętnie podkradaliśmy. Od podwórza mieszkał Sobstyl, pracownik więzienia. Miał syna Zygmunta.
40. Niezbyt duży dom zajmowany przez Krysytynę Nowakówną, pracownicę Powiatowej Komendy Straży Pożarnej. Mieszkała z Matką i bratem Tomkiem. Tomek ukończył Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą i pozostał w Warszawie. Doszły do mnie informacje, że był wykładowcą na tej uczelni.
41. Dom Rekuciowej położony dalej od ulicy. Do 1955 r. mieszkali tam Klisowscy. Później zamieszkał Miazek z rodziną, kierownik wydziału finansowego.
42. Kiosk spożywczy przy więzieniu prowadzony przez Woźniakową, Świątkowską lub Nowakowską. Być może te trzy panie sprzedawały w tym kiosku w różnym czasie.
43. Dom Wiszów. Wiszowa, wdowa po adwokacie Pawle Wiszu zamordowanym w czasie akcji AB w Kumowej Dolinie k. Chełma w dniach 3-4 lipca 1940 r. Razem z Wiszem rozstrzelano Wincentego Kociubę - posła na Sejm RP, Michała Niewidziałę, braci Biełkowskich Jerzego i Edwarda, Feliksa Pawłowskiego - dyrektora szpitala, Tadeusza Kowalewskiego, Karola Szczotkę, Jana Russka, Stanisława Wilczkiewicza, Michała Wiśniewskiego, Pawła Gutowskiego, Leona Epszteina, Kazimierza Janisławskiego, Feliksa Kaczorowskiego, Zygmunta Paulewicza, Stanisława Haskowskiego, Józefa Czechowskiego, Romana Jagielskiego, Józefa Janisławskiego i Wacława Piwowarskiego. Cześć Ich pamięci! Mieszkała tam rodzina adwokata Pawelskiego, Helena i Eugeniusz Błaszczak z synem Janem (bramkarz Startu) oraz Nowakowska. W podwórzu była studnia z kołowrotem, z wodą o żelazystym kolorze i smaku.
44. Więzienie. Z tego więzienia w nocy z 19 na 20 września 1943 r. oddział BCh pod dowództwem mjr. Stanisława Sokołowskiego uwolnił 294 więźniów. W budynku, który nie został włączony w skład ścisłego więzienia, z wejściem od ulicy, mieszkali: Jakubiakowie (naczelnik więzienia, potem wyjechali do Lublina), Miciułowię, Rapowie, Frańczakowie z dziećmi (jeden z synów, namiętnie ssal kciuk). Dzięki uprzejmości Janu-
sza Amerka mogę przedstawić dykteryjkę. Otóż w czasie, gdy naczelnikiem więzienia był Aleksander Gamla, a obowiązki zastępcy naczelnika pełnił Miciuła, nieposiadający odpowiedniego wykształcenia, został wysłany do szkoły wieczorowej. Edukacja źle się skończyła, ponieważ małżonka w przypływie złości spaliła książki i zeszyty. Powodem napadu złości było wagarowanie „ucznia”. Zamiast do szkoły Miciuła jeździł z naczelnikiem Gamlą i lekarzem Wroną do księdza do Łopiennika na pokera.
45. Chlewnie na terenie ogrodu więzienia. Pomiedzy ogrodem więziennym a domami Sadowskich i Demczukównej był ogród Gromnickich z pysznymi jabłkami, gruszkami i śliwkami. Wzdłuż ulicy Poniatowskiego ogród więzienny obsadzony był morwami. Kiedyś pracownicy więzienia (Marciniak, Kmiec i Szpot) hodowali jedwabniki, żywiące się liśćmi morwy. Zajadałiśmy się owocami morwy białej i czerwonej.
46. Dom Klisowskich (mieszkali od 1955 r.) i Banaszkiewiczów - Bronisława i Bronisławy z dziećmi Krzysztofem, Jurkiem i Ewą.
47. Dom Dworakowskich. Wg relacji Andrzeja Klisowskiego i Barbary Misiurskiej, w 1948 roku spłonęły dwa drewniane domy Dworakowskich. Straż dowoziła wodę z rzeki Kawenki. Andrzej, jako młody chłopak, chciał przejechać się wozem strażackim, ale pech chciał, że spadł i złamał obojczyk. Ja pamiętam, że w ocalałym domu mieszkało trzech braci Dworakowskich: jeden z nich pracował w sądzie, drugi był ślusarzem, a trzeci, o ile pamięć mnie nie myli, był niezrównoważony. W tym miejscu stoi obecnie Przedszkole nr 4 przy ulicy Mickiewicza. Dworakowski pracujący w sądzie, nie wiem czy był kawalerem, czy wdowcem, ale „przygruchał” sobie „pannę z odzysku” z ul. Lwowskiej. Kobieta w wieku zaawansowanym, czyli posunięta w latach, ubierała się jak członkini grupy hippisowskiej - różowa bluzka, seledynowa spódnica przed kolana, żółte skarpety i fioletowa torebka. Nosiła makijaż typu „wielkanocna pisanka”. Każdego dnia około godz. 15.00 wychodziła po swojego pana na początek ulicy Poniatowskiego i razem, pod rączkę wracali do domu.
48. Krzyż.



Plan Krasnogostawu. Ulica Stanisława Augusta Poniatowskiego.

49. Drewniany dom Demczuków.
50. Dom pracownika „młyna na Szkolnej” Franciszka Sadowskiego.
51. Młyn na Szkolnej. Zbigniew Piróg podaje: „Młyn wybudowany w 1913 r. A w latach około 1930-1935 współwłaścicielami byli m.in. H. Czopek i M. Kustra”. W latach 50. i 60. istniało Powiatowe Przedsiębiorstwo Młynów Gospodarczych, mające swą siedzibę przy tym młynie. W księgowości tej firmy pracował mój ojciec.
52. Dom Szymańskich. Senior Szymański, ojciec Danuty, Adama i Jaśka był dobrym cieślą dachowym.
53. Dom Nowackich. Matka Oktawiana i Melanii była pielęgniarką.
54. Dom Szarugiewiczza (elektryk), na parterze. Wejście od podwórza mieszkał Beńko z rodziną (mechanik młyna „Rekord”), córki - Teresa (wyjechała do Gdańska) i Barbara (po mężu Misiurska).
55. Dom Krawczuka - masarza w PSS-ie, później pracował w Zamościu.
56. Dom Krasowskich.
57. Dom Leona Kociuby - słynnego organisty z kościoła św. Franciszka.
58. Dom Błędzkich. Chyba najmniejszy dom w mieście.
59. Murowany budynek mieszkalno-gospodarczy przy Szkole Podstawowej nr 1. Mieszkanie zajmowali Traczyńscy - Traczyński, „złota rączka” był pracownikiem gospodarczym, konserwatorem i palaczem CO w jednej osobie. Jego żona była woźną i szatniarką. Traczyńscy mieli 7 dzieci - 5 synów i 2 córki.
60. Dom na terenie cmentarza, przy pierwszej bramie, w którym mieszkał administrator cmentarza, w tamtych czasach nazywany „grabarzem”, niejaki Patyk (imię uleciało z pamięci).



Ulica Poniatowskiego około roku 1960. Zdjęcie zrobione z wieży strażackiej. W głębi drzewa parku i wieżyczka ratusza. Chyba jedyne zdjęcie ukazujące tak duży fragment ulicy. Na pierwszym planie u dołu zielona buda, kioski i zadaszone stoły na targowisku.



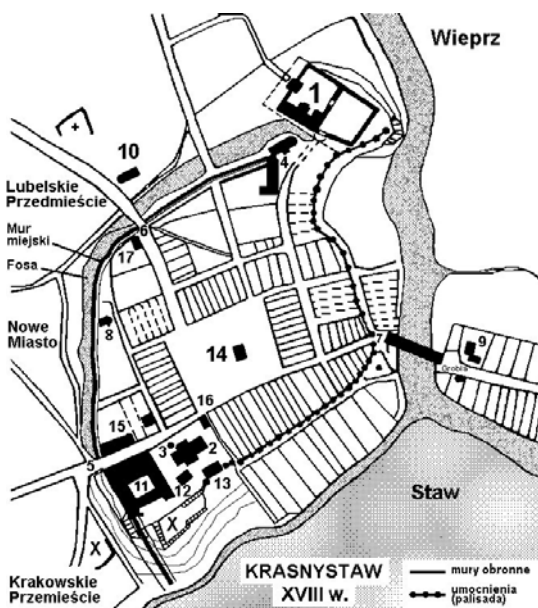
Restauracja „Powszechna”.



Balkon narożny na pierwszym piętrze należał do mieszkania państwa Godlewskich. Na parterze sklepy. Widoczną bramą dochodziło się do mieszkań Wiórki i Szawary.



Ulica Buczka w kierunku ul. Poniatowskiego. Po prawej w głębi dawny komisariat MO, bliżej bożnica i dom Rogowskiego ze skupem butelek.



Krasnystaw w wieku XVIII. Plan miasta: 1. Zamek, 2. Kościół katedralny, 3. Dzwonnica (skarbiec?), 4. Kościół i klasztor oo. Augustianów, 5. Brama Krakowska, 6. Brama Lubelska, 7. Brama Chełmska, 8. Cerkiew św. Paraskiewy, 9. Kościół i szpital św. Ducha oo. Bonifratrów, 10. Kościół i cmentarz Przemienienia Pańskiego, 11. Kościół i klasztor oo. Jezuitów, 12. Seminarium, 13. Wikariat, 14. Ratusz, 15. Kanonie, 16. Zajazd, 17. Szpital św. Łazarza. X. Bastiony (Plan z książki „Krasnystaw - rys historyczny”, wg Pawłowskiego z uzupełnieniami autora).



Jatki, rok 1948.



Jatki, lata 90. XX w.



Wieża - wspinaczka Zawodowej Straży Pożarnej w 1945 roku.



Po lewej fragment domu Jaślikowskich, ulica Przejazd na której był przystanek PKS, po prawej mury nieukończzonej fabryki octu.



To już rok 1957.



A to zdjęcie z lat 60. Z prawej strony wieży drewniany budynek stolarni w jednej części i magazynu skrzynek zakładu jajczarskiego. Furmanki stoją na placu targowym, gdzie popołudniami graliśmy głównie w palanta.

Wiersze i tekst - Saturnin Naliwajko

Opracowanie powstało na podstawie strzępków pamięci uzupełnione informacjami Barbary Misiurskiej z domu Beńko, Basi Rusinek-Zdun, Janusza Wanota, Andrzeja Klisowskiego, Zofii Żuk z domu Małysz, Wojtka Mięzała, Jacka Ściepki, Janusza Amerka, Wita Naliwajki. Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie, portalu www.dawnykrasnystaw.pl, KP PSP Krasnystaw i zbiorów prywatnych.

Na zakończenie wędrówki ulicą Poniatowskiego warto przytoczyć historię miejsc opisanych w punktach 15-17 sięgającą roku 1706 a przedstawioną na stronach 60-64 przez ks. prałata Henryka Kapicę, byłego dziekana i proboszcza parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie.

Stanisław Dziedzic

„Katedry” ormiańskie Janusza Trzebiatowskiego w Lublinie

Na skraju pięknej i pieczołowicie w ostatnich latach odnowionej lubelskiej Starówki, w salonie artystycznym „Umblicus urbis” („Pępek miasta”), należącym do Fundacji Willa Polonia, 24 lutego br. odbył się wernisaż wystawy dzieł malarskich krakowskiego artysty Janusza Trzebiatowskiego „Armenia. Szlakiem katedr i chaczkarów”. Wystawa ta obejmuje około 20 obrazów wykonanych techniką suchego pastelu. Jest ona wspólnym przedsięwzięciem warszawskiego Muzeum Niepodległości i Fundacji Willa Polonia z Lublina, a jej lubelską odsłonę poprzedziła prezentacja w Galerii Malarstwa Historycznego w Muzeum Niepodległości. Wernisaż warszawskiej wystawy odbył się w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej 18 grudnia 2019 roku, z udziałem Janusza Trzebiatowskiego, przewodniczącego Rady Fundacji Armenian Macieja Bohosiewicza, dr. Jana Sęka - przewodniczącego Rady Muzeum Niepodległości, prezesa Fundacji Willa Polonia. Warszawski wernisaż zgromadził licznych gości - przedstawicieli środowisk kultury i sztuki oraz przedstawicieli życia publicznego stolicy. Spotkanie prowadził dyrektor Muzeum Niepodległości dr Tadeusz Skoczek.

Warto podkreślić, że pierwsza prezentacja obrazów Janusza Trzebiatowskiego w Muzeum Niepodległości odbyła się w lipcu 2016 roku. W Galerii „Brama Bielańska” odbył się tego dnia, 9 lipca, wernisaż wystawy „Pastele Janusza Trzebiatowskiego”, którym zainaugurowano Międzynarodowy Festiwal Sztuki Janusza Trzebiatowskiego, zorganizowany w 80. rocznicę urodzin artysty. W Sali im. Karola Beyera w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej odbyło się także spotkanie z jubilatą. Spotkaniu towarzyszyła prezentacja filmu dokumentalnego o J. Trzebiatowskim, zrealizowanego przez Franciszka Kuduka.

Lubelski wernisaż prowadzony przez dr. Jana Sęka, zgromadził licznych gości, nie tylko lublinian, ale także z różnych regionów Polski. Uroczystą prezentację dzieł malarskich Janusza Jutrzenki-Trzebiatowskiego swoją obecnością zaszczytili m.in.:

wiceprzewodniczący Rady Miasta Lublina - poeta Stanisław Kieroński, prezes Oddziału Lubelskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i zarazem redaktor naczelny periodyku „Lublin” - Zbigniew Włodzimierz Fronczek, prof. Włodzimierz Osadczy (KUL), dyrektor naczelny Biblioteki Wojewódzkiej w Lublinie - Tadeusz Ślawecki, wójt Siennicy Różanej - Leszek Proskura. Warto nadmienić, że znany z wielu inicjatyw wójt Proskura zamierza w najbliższej przyszłości otworzyć w restaurowanym właśnie dworze w Siennicy muzeum autorskie Janusza Trzebiatowskiego.

O zgromadzonych na lubelskiej wystawie obrazach i o ich twórcy mówili Tadeusz Skoczek i kurator wystawy - Ferdynand Nawratil, a o artystycznych efektach fascynacji Trzebiatowskiego Armenią - Stanisław Dziedzic

Dziś, po paru dziesięcioleciach twórczych zainteresowań tematyką armeńską, gdy podlega ono permanentnemu rozwojowi, można uznać, że rozpoczęty przed ćwierćwieczem „Tryptykiem Armenii” cykl obrazów „armeńskich” w całej bogatej twórczości malarskiej Trzebiatowskiego można zapewne uznać za wiodący.

Po raz pierwszy artysta udał się do Armenii przed ponad półwieczem w celach turystycznych. Następny pobyt, w 1991 roku, w parę miesięcy po tragicznym w skutkach trzęsieniu ziemi, gdy zobaczył straszliwe zniszczenia, martwe miasto Leninakan, kiedy widział efekty podnoszenia z ruin osobliwości kulturalnych tego kraju, dostrzegł inne oblicze Armenii. Był świadkiem odradzającej się postsowieckiej rzeczywistości liturgii starochrześcijańskiej, przenikającej odtąd poza ściśle przyzwolone enklawy kultowe. W jednym ze zrujnowanych kamiennych monasterów był świadkiem nabożeństwa sprawowanego pod przewodnictwem samego katolikosy Armeńskiego Kościoła Apostolskiego Karekina II. Konsekwencją trwałą zachwyty, ale i reakcją mimowolnego świadka zniszczonych kamiennych zabytków i misternie rzeźbionych chaczkarów, wołających o pamięć, był niezwykle w swoim artystycznym wyrazie „Tryptyk Armenii” - cykl obrazów olejnych, prezentowanych w 1996 r. najpierw w Muzeum Okręgowym w Chełmie, a później w wielu innych miejscowościach.

Był w tym niezwykle ideowym przesłaniu motyw przewodni: próba budowania kosmogonii świata na ruinach uczynionych kainową ręką, przez nieludzkie systemy. Rozpaczliwe szukanie światła

nadziei i ładu, krzepiących sens trwania. Ale był to sens tworzenia. Jawiło się wtedy pytanie, niezarucone dotąd, ciągle wszak aktualne, ważne jak architrav - scalający, pozwalający na bezpieczne tworzenie, na dzieło wieńczenia. W cyklu „Tryptyk Armenii” owo szukanie światła zdecydowanie przekraczało malaturę - i tak pozostało w następnych cyklach obrazów Janusza Trzebiatowskiego. Świat monasterów, kościołów, chaczkarów, skał Kaukazu czy ruin starożytnych budowli spowitych ciszą odeszłych epok, kiedy indziej wołających o ratowanie dziedzictwa, przywrócenie świadectwa, doznają w tych obrazach intelektualnego, ukierunkowanego artystycznego przetworzenia. Duchowość Wschodu, połączona z tęsknotą za sacrum, poszukiwanie światła trwającego immanentnie oraz transcendencji, jedną tu nadrzędność kosmogonii nad rozdarzaniem i apokalipsą. Tak powstał dalszy człon serii obrazów tworzonych różnymi technikami, w których artysta mierzy się już teraz z aksjologicznym zwieńczeniem porządku i wartości - mówiąc za Norwidem - „rzeczy świata tego”. Cykl „Katedra” nosi - jak się wydaje - wymiar duchowej nadbudowy całości. Czy ją wieńczy? Czy jednoznacznie chciałby się w tej kwestii wypowiedzieć sam Janusz Trzebiatowski? Jest w tym wieloczęściowym oglądzie udręczonej w ostatnich stuleciach ziemi spod Araratu, zespolona nić filozofii, antropologii kultury, ale i teologii. Nie mam zatem pewności, czy owe 44 obrazy olejne i 50 pastel z cyklu „Katedra” są jego wyczerpującym, ostatecznie sformułowanym językiem sztuki, przesłaniem wieńczącym rozpoczęty przed wielu laty cykl - dyskurs o duchowej złożoności, o antynomiach targających niespokojne pogranicza kulturowe współczesnego świata, ziem, które należały do potężnego kiedyś i rozległego państwa.

Bo jestem oto przeświadczony, a przeświadczenie to graniczy z poczuciem pewności, że wieloletnie zmagania twórcze artysty znajdują kontynuację, choćby nawet formę dopełniającego epilogu, gdy na nowo nawiedzi on Armenię, gdy w nowych proporcjach odsłoni ta ziemia swoją zgrzebną codzienność, narzucone ograniczenia rozwoju, ale i olśniewające nowym blaskiem starożytności chrześcijańskie. On sam przed laty, w wierszu „Armenia” pisał:

*Był taki ołtarz
na którym złożyłem
myśl tajemną*

*I pieśń która
potężnym wołaniem Jahwe
wzruszyła kamienie*

*I było dotknięcie
ręki Boga zawistnego
o sny i miłość
Ludzi tej ziemi*

O tej myśli tajemnej, o ludziach tamtej ziemi, którzy przez wiele stuleci wrastali twórczo po bratersku także w polską rzeczywistość, warto by z Januszem Trzebiatowskim rozmawiać po latach tak niezwykłych zmaganiach tam, na Kaukazie. Tam łatwiej pojąć i zrozumieć istotę odrębności Eczmiazdżyna z jego relikwiami przeszłości i fenomenem duchowej tożsamości, genialnie zamysły budowniczek rekonstruowanej katedry Zwartnoc, czy położonego dziś przy samej granicy z Turcją warownego, położonego na stoku kamiennego masywu monastru Chor Wirap, w którym zachował się skalny loch - miejsce wieloletniego więzienia św. Grzegorza Oświeciciela - tego, który w 301 roku ochrzcił skruszonego króla Tiridatesa, swojego ciemiężcę. Echa i przesłania tych niezwykłych dzieł pierwszego chrześcijańskiego państwa na świecie, z uporczywym poszukiwaniem światła Transcendentu zarówno w czasach pomyślnych, jak i zniewolenia, czy wręcz hekatomb, dostrzec można w obrazach Trzebiatowskiego, także wówczas, gdy mają one przesłanie bardziej uniwersalistyczne, ale w odniesieniu do tak pojętego fenomenu kulturowego Armenii. Dopiero tam, po zmierzeniu się na miejscu z losami narodu i państwa, pojąć można istotę i skalę dramatu potomków Haiga (Haika), protoplasty z rodu biblijnego Jafeta, który urodzają dolinę i skalny masyw Araratu, na którego stoku osiadła po biblijnym potopie Arka Noego, uznawali oni za serce swojej ojczyzny, dziś należące do Turcji. Ararat pozostaje wciąż nienaruszalną częścią „mitu założycielskiego” Armenii. Jego potężny masyw jest widoczny na co dzień w wielu rejonach niewielkiej dziś terytorialnie Armenii, jednocy kulturową tożsamość rozrzuconej po całym świecie diaspory, jest świadkiem kainowych dni i brutalnych rozstrzygnięć politycznych mocarstw ościennych. Na lubelskiej wystawie nie mogło zabraknąć tych koronnych dla Ormian - Armeńczyków akcentów tożsa-

mości, a wśród nich obrazu „Święty ołtarz Araratu”. O tych relacjach zwykł czasem mówić Janusz Trzebiatowski słowami wiersza Igora Skiryskiego:

*Kłaniam się nisko górze srebrnej
Czterdziestokrotnie cześć oddaję
Araratowi, co osiwił
Na widok nieszczęść tego kraju.*

Deklarowany przez artystę zamiysł ponownego wyjazdu do Armenii, by po latach twórczego zmagania dokonać konstatacji, a najpewniej także szukać nowych inspiracji pozwala wnosić, że armeński cykl, a właściwie cykle obrazów, mają swoje ideowe zwieńczenie, ale nie są całością zamkniętą.

Lubelska wystawa obrazów Janusza Trzebiatowskiego będzie następnie prezentowana w salach wystawowych Biblioteki Wojewódzkiej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, a później w odnowionym dworze w Siennicy Różanej.

Towarzyszy tej wystawie katalog „Armenia. Szlakiem katedr i chaczkarów”, przygotowany przez Muzeum Niepodległości, w opracowaniu dyrektora Tadeusza Skoczka. Efektowny katalog jest kolejnym zrealizowanym projektem Galerii Malarstwa Historycznego, w ramach tematu badawczego „Janusz Trzebiatowski, Maciej Milewski. Biografie artystów naznaczone przeżyciami wojennymi”. O tych kwestiach i o wcześniejszych wystawach dzieł plastycznych Trzebiatowskiego w Muzeum Niepodległości pisze bliżej Tadeusz Skoczek w tymże katalogu.

Był i inny akcent tego lubelskiego wernisażu, zaszczytny wielce dla Janusza Trzebiatowskiego i dla piszącego te słowa: podczas tej uroczystości zostali obaj uhonorowani przyjęciem do reaktywowanej w 2002 roku Akademii Historii i Literatury Polskiej oraz Słowiańskiej im. Adama Mickiewicza. W liczącej statutowo 44 członków rzeczywistych Akademii, miejsce po zmarłym profesorze Mieczysławie Paszkiewicz - wybitnym historyku sztuki, prezesie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie - przyznano Januszowi Jutrzence-Trzebiatowskiemu, a po zmarłym znakomitym pisarzu, historyku literatury i tłumaczu - profesorze *University of London* Jerzemu Pietrkiewicz - Stanisławowi Dziedzicowi.

Stanisław Dziedzic

Irena Kulik

Krasnystaw mnie zrodził



W dniu Zmartwychwstania Pańskiego, 12 kwietnia bieżącego roku, minęła 100. rocznica urodzin wybitnej poetki, pisarki, tłumaczki, krytyka literackiego oraz autorki książek dla dzieci i młodzieży - Anny Kamieńskiej. Zaplanowane uroczystości w Krasnymstawie i innych miejscowościach na Lubelszczyźnie, ze względu na zaistniałą sytuację epidemiczną - zostały odłożone na później. Ale podstawowy fakt przyjsia na świat w mieście nad Wieprzem pozostaje adekwatny z wpisem poetki w księdze pamiątkowej w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie, którego dokonała 16 maja 1974 roku w postaci początku swojego wiersza pt. „Krasnystaw me genuit”¹, co w tłumaczeniu z języka łaćńskiego znaczy „Krasnystaw mnie zrodził”.

Pierwotnie w całości wiersz został opublikowany w 1956 roku w Miesięczniku społeczno-literackim „Kamena”¹. Później był wznawiany w krasnostawskich albumach² pod tytułem „Krasnystaw”.

Treść utworu ukazuje realia w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, kiedy większość rodzin, jak rodzina poetki (jako podmiotu lirycznego) musiała opuścić tereny zamieszkania w pobliżu linii frontu i przenieść się w głąb Lubelszczyzny. Możliwe dlatego, kiedy Kamieńscy na dobre zatrzymali się w stolicy województwa - 28 czerwca 1927 roku sporządzono akt urodzenia Anny Kamieńskiej w kościele pw. św. Michała Archaniola w Lublinie³.

Czytając pierwszy wers utworu, nasuwa się pytanie, dlaczego Krasnystaw jest określony jako „miasteczko o dzikiej nazwie półruskiej”?

Z historii 626 lat od nadania Krasnemu-stawowi praw miejskich na prawie magdeburskim oraz pierwszej wzmianki pod nazwą *Ščekarevz*

¹ Anna Kamieńska, „Krasnystaw me genuit”, [w:] *Kamena*, nr 7-8, Lublin 1956, ss. 28-29.

² J.H. Cichosz i in., „Krasnystaw wczoraj i dziś”, album, Zamość 2006, s. 34 oraz „Krasnystaw wczoraj, Krasnystaw dziś”, Krasnystaw 2012, s. 39.

³ A. Borzęcki, „Metryka Kamieńskiej”, [w:] *Nestor* nr 3(33), Krasnystaw 2015, ss. 14-15.

z 1219 roku⁴, położonego w ziemi chełmskiej wiadomo, że do II połowy XIV wieku rywalizowali o miasto przede wszystkim Rusini i Polacy (jak również Litwini, Węgrzy). Za sprawą królowej Jadwigi, od roku 1387 ostatecznie miasto znalazło się w obrębie ówczesnego terytorium Polski, natomiast na przełomie XV i XVI wieku w województwie ruskim. W miejscowości, usytuowanej przy głównym szlaku handlowym, od początków zamieszkiwali przede wszystkim Rusini i Polacy, ze stopniową przewagą Polaków. Krasnystaw wielokrotnie był najeżdżany od wschodu przez ordę tatarską, w XVII w. spustoszył je Chmielnicki (pomijając inne klęski). Również doznał narodowego ucisku pod panowaniem Rosji carskiej, a szczególnie po upadku powstania styczniowego, kiedy jako język urzędowy funkcjonował język rosyjski. Największym zagrożeniem wywołanemu w 1918 roku Krasnemustawowi przez POW stała się od wschodu nawała bolszewicka, szczególnie latem 1920 roku. Dlatego możliwe opowiadania o tamtym okropnym okresie przez starszych członków z rodziny Anny Kamieńskiej oraz najprawdopodobniej znajomość języka rosyjskiego, w którym przymiotnik *krasny* - czerwony⁵ (wyraźnie czytelny na początku nazwy miasta) wpłynęły na to, że autorka świadomie użyła epitetu „dzikiej”, by podkreślić całe barbarzyństwo, jakie niosła ze wschodu Armia Czerwona latem 1920 roku.

W rzeczywistości nazwa topograficzna w postaci zrostu *Krasnystaw* pochodzi od wyrażenia *krasny* - piękny + staw⁶. Tę formę miejscowej nazwy odakwytycznej również poświadcza Stefan Warcho⁷. Po raz pierwszy zanotowano ją w 1377 roku oraz wymiennie z pierwotną w postaci *Crasnistaw seu Szczekarzew* jeszcze w 1439⁸. To wskazuje, że forma powstała w dobie staropolskiej,

w której przymiotnik *krasny* miał kilka znaczeń, a mianowicie: piękny, czerwony, dobry, wyborny, znakomity⁹, czyli wyrażał jak najbardziej pozytywne cechy. Nazwy miejscowe z odprzymiotnikowym członem *krasn-* widocznie zarysowują wzdłuż wschodniej granicy RP, jak np. *Krasnobród* na Zamojszczyźnie czy *Krasnybór* w okolicach Augustowa, ale również występują w centrum na Mazowszu jak *Krasnosielsk* czy *Krasnowola* dziś jako część miasta Warszawy, na południu w postaci zestawienia *Krasne Potockie* w Małopolsce czy *Krasne Dłusko* na zachodzie kraju oraz *Krasnołęka* na Pomorzu Zachodnim i *Krasnołęka* w ziemi warmińsko-mazurskiej. Ciekawostką również jest fakt, że wśród złożonych form pomorskich zachowała się praslówiańska grupa **tort* w postaci *tart*¹⁰ w trzech nazwach miejscowości *Karsibór*, z których jedna z nich jest częścią miasta Świnoujście¹¹, gdzie nie zaszła przestawka *-ar* w *-ra*, *-ro*, tak jak w jęz. litewskim, np. *karvė* - krowa; *varna* - wrona czy kaszubskiej nazwie miejscowości *Karwia*.

Moje powyższe rozważania jak najbardziej uzasadniają swoisty wybór przez Annę Kamieńską współczesnego rosyjskiego znaczenia przymiotnika *krasny* - czerwony, który bezpośrednio ukazuje burzliwe realia w okolicy Krasnegostawu sprzed stu lat.

dr Irena Kulik



rys. Maria Anna Bracha

⁴ „Polnoje sobranije russkich lëtopis'ej”, t. II, S. Petersburg 1846, s. 162.

⁵ H. Dworecki (red.), „Słownik rosyjsko-polski”, Warszawa 1949, s. 281.

⁶ K. Rymut, „Nazwy miast Polski”, Wrocław 1987, s. 119.

⁷ S. Warcho^l, „Nazwy miast Lubelszczyzny”, Lublin 1964, s. 106.

⁸ I. Kulik, „Rys historyczny Krasnegostawu. Lokalizacja osady i jej dwie nominacje” [w:] *Nazwiska krasnostawian w II połowie XVIII wieku. Na podstawie metryk osób zmarłych z okresu 1748-1786*, Krasnystaw 2019, s. 10.

⁹ S. Urbańczyk (red.), „Słownik staropolski”, t. III, z. 5. (18), Kraków 1962, ss. 378-379.

¹⁰ Z. Klemensiewicz, T. Lehr-Splawiński, S. Urbańczyk, „Gramatyka historyczna języka polskiego”, Warszawa 1981, ss. 124-125.

¹¹ Przykłady nazw miejscowości podają na podstawie Urzędowego Wykazu Nazw Miejscowości: http://ksng.gugik.gov.pl/pliki/urzedowy_wykaz_nazw_miejscowosci_2015.pdf.

Monika Nagowska

„Z każdym dniem...
las mnie większym
otacza urokiem”



W Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej odbyła się druga edycja Konkursu Fotograficznego im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”. Współorganizatorem przedsięwzięcia - podobnie jak rok temu - było Nadleśnictwo Krasnystaw. Honorowym patronatem konkurs objął minister rolnictwa i rozwoju wsi Jan Krzysztof Ardanowski. Partnerami w organizacji oraz fundatorami nagród stało się w tegorocznej edycji Koło Łowieckie nr 6 „Jaząbek”, Centrum Kultury w Siennicy Różanej oraz Polskie Towarzystwo Leśne Oddział w Lublinie. Patronat medialny nad wydarzeniem objęło Czasopismo społeczno-kulturalne „Ziarno” i Czasopismo artystyczne „Nestor”. Celem konkursu jest propagowanie dziedzictwa przyrodniczego, jakim są lasy, oraz rozwijanie zainteresowań związanych ze sztuką fotografii i promowanie młodych talentów. Pierwsza edycja odbyła się w 2019 r. Wówczas informację o wynikach i przebiegu konkursu przekazało Katolickie Radio Zamość, a prace uczestników opublikowano w czasopismach regionalnych - „Nestor” (nr 49) i „Ziarno” (nr 46/47). Finał przedsięwzięcia miał uroczystą oprawę i wszyscy autorzy oraz ich opiekunowie otrzymali zaproszenie do Siennicy Różanej. W tym roku okazało się to niemożliwe. Konkurs jednak się odbył, a brak możliwości wspólnego podsumowania nie może przeszkodzić w ogłoszeniu wyników.

Prace nad drugą edycją konkursu rozpoczęły się wczesną jesienią. Pierwsze zaproszenia do szkół podstawowych oraz szkół prowadzonych przez ministra rolnictwa i rozwoju wsi w całym województwie lubelskim wysłano w październiku 2019 r. Fotografie nadsyłano do lutego 2020 r., natomiast 9 marca zebrała się komisja konkurso- wa, celem ich oceny i wyłonienia zwycięzców. Jury tworzyli: Waldemar Czajka (przewodniczący), Stanisław Buk, Monika Krysiak, Michał Żywot i Monika Nagowska. Komisja miała niełatwe zadanie. Nadesłano 189 zdjęć prezentujących wysoki poziom



umiejętności autorów i ich artystyczne wyczucie. Na fotografiach widać różnorodność polskich lasów i oryginalność ujęcia tematu, zmienność pór roku i pory dnia, piękno kompleksów leśnych oraz urok przyrodniczych detali. Jedynie 14 prac nie zakwalifikowano do konkursu z uwagi na niezgodność z tematem, wszystkie pozostałe spełniły kryteria określone w regulaminie. Ogłoszenie wyników odbyło się w sposób zdalny. Kolejne miejsca w II Konkursie Fotograficznym im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album” zdobyli następujący uczniowie:

W kategorii szkół podstawowych (klasy VII i VIII):

I miejsce - **Emilia Dul** „Mgła w lesie”

II miejsce - **Klaudia Czyż** „Zatracający bezruch”

III miejsce - **Natalia Molas** „Drzewa drapaczami nieba”.

W kategorii szkół prowadzonych przez ministra rolnictwa i rozwoju wsi:

I miejsce - **Jakub Żeliszczak** „Dzkie spojrzenie”

II miejsce - **Anna Małecka** „Kamieńczyk”

III miejsce - **Aleksandra Majewska** „Dolina kumania”.

Komisja postanowiła wyróżnić prace następujących uczniów:

Oliwia Hałaj „Osobliwości natury”

Iga Posturzyńska „Leśny strumyk”

Natalia Steć „Samotne drzewo”.

Laureaci i wyróżnieni autorzy otrzymali dyplomy i nagrody rzeczowe oraz fotografie w okolicznościowej oprawie. Wszystkim uczestnikom (70 uczniów) i ich opiekunom (19 osób) przekaza-

ziano upominki i podziękowania za udział w konkursie. Poza tym czasopismo „Ziarno” przyznało własne wyróżnienia 20 uczniom - zdjęcia ich autorstwa wybrano do publikacji na łamach pisma. Wyróżnieni zostali: Natalia Wójcik „Zachód słońca”, Weronika Kawalec „W wyobraźni nawet rośliny potrafią latać”, Łukasz Górecki „Zawsze razem”, Anita Pastuszek „Muchomory”, Adam Sadowski „Okno na świat”, Julia Świech „Śnieżne drzewa”, Julia Pastuszek „Leśne kolory”, Anastazja Jaruga „Samotne drzewo”, Martyna Domańska „Dąb czerwony wśród brzóz”, Oliwia Ślepko „Leśna droga”, Weronika Pałka „Brzozowy gaj”, Nikola Miara „Las pełen mchu”, Zuzanna Nastaj „Wąwóz”, Justyna Bida „Las jesienia”, Kacper Repeć „Leśny tunel”, Arkadiusz Dębski „Dolina węży”, Ewa Kopacz „Dąb w słońcu”, Ewelina Sitarz „Jesienne słońce”, Adam Górecki „Coraz trudniej”, Dawid Tokarczyk „Lustrzane odbicie”.

Prace konkursowe zostały wykonane przez pasjonatów fotografii i przyrody z całego regionu - Dorohuska, Kazimierza Dolnego, Krasnobrodu, Krasnegostawu, Kraśniczyna, Łabuniek Pierwszych, Nielewki, Rejowca, Rejowca Fabrycznego, Siedliszcza, Sielca, Sitna, Tarczyniech, Siennicy Nadolnej, Strupina Dużego, Wirkowic i Okszoza. Wszystkie zdjęcia zostaną wyeksponowane na wystawie, którą będzie można zwiedzać w dogodnym czasie. Nim to nastąpi, pozostaje obejrzenie ich w nieco innej formie - jako prezentacji multimedialnej opublikowanej na stronie internetowej Zespołu Szkół CKR w Siennicy Różanej i stronie Nadleśnictwa Krasnostaw.

Kolejna edycja konkursu przed nami. Zapraszamy do spacerów po lesie z aparatem fotograficznym i do nadsyłania prac na adres: lesnyalbum@gmail.com. Serdeczne pozdrawiamy wszystkich uczestników konkursu i ich opiekunów, wszystkich miłośników przyrody i fotografii. Do zobaczenia za rok!

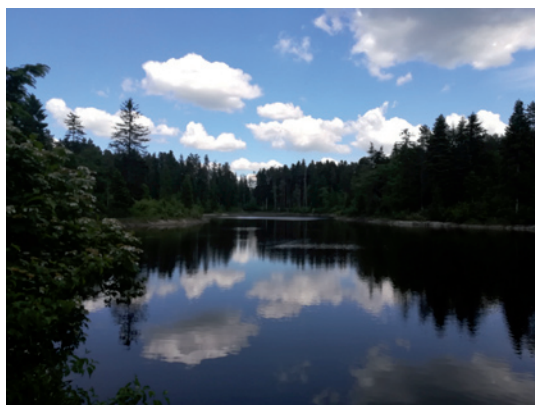
Monika Nagowska
Fotografia: Klaudia Czyż



I miejsce - Emilia Dul „Mgła w lesie”.



II miejsce - Klaudia Czyż „Zatracający bezruch”.



III miejsce - Natalia Molas „Drzewa drapaczami nieba”.



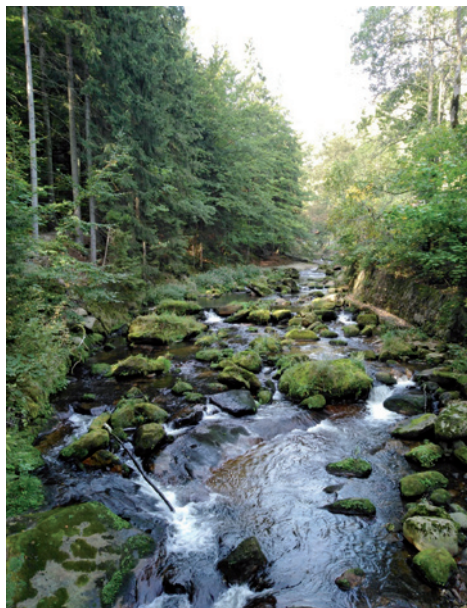
I miejsce - Jakub Żeliszczak „Dzkie spojrzenie”.



III miejsce - Aleksandra Majewska „Dolina kumania”.



Oliwia Hałaj „Osobliwości natury”.



II miejsce - Anna Małecka „Kamieńczyk”.



Iga Posturzyńska „Leśny strumyk”.



Natalia Steć „Samotne drzewo”.

ks. Henryk Kapica

Zakusy urzędu carskiego na XIX-wieczny parafialny cmentarz, kościół Przemienienia Pańskiego i Szpital św. Łazarza



Według starej tradycji chrześcijańskiej zmarłych grzebano na cmentarzu przykościelnym. Była to powszechna praktyka. Dopiero na początku XIX wieku prawodawstwo napoleońskie nakazywało zakładanie cmentarzy w pewnej odległości od świątyni. Jeśli chodzi o grzbanie zmarłych w Krasnymstawie, rzecz ma się nieco inaczej. Otóż od niepamiętnych czasów grzebano zmarłych wokół kościoła Wszystkich Świętych (późniejsza katedra), który stał w miejscu dzisiejszej nowej plebanii przy kościele św. Franciszka Ksawerego. Obszar tego cmentarza był niewielki, podyktowany szczupłością miejsca wokół świątyni. Musimy pamiętać, że w miejscu obecnej świątyni znajdowały się miejskie kamienice i ogrody. Cmentarz zajmował miejsce obecnej nowej plebanii, starej obory i podwórza parafialnego i być może teren ulicy Jezuckiej i Partyzantów, ale nie ma na to żadnych dowodów. Tym bardziej, że między kolegium wikariuszy krasnostawskich a obecnym garażem znajdował się dawny pałac biskupi, jak potwierdzają to dokumenty kościelne z końca XVIII wieku i niedawne prace związane z elektryfikacją i łącznością telefoniczną.

W roku 1706 w naszym mieście wybuchła straszna zaraza (morowe powietrze, jak podają dokumenty kościelne). Cmentarz wokół świątyni nie mógł już pomieścić nowych zmarłych, ponadto bano się, by cmentarz nie stał się źródłem nowych zachorowań, stąd kapituła kanoników, po konsultacji z wiernymi, postanowiła otworzyć nowy cmentarz za murami miasta przy ulicy Lubelskiej (obecnie Poniatowskiego), po prawej stronie w miejscu, gdzie dziś stoi dworzec PKS i budynek Państwowej Straży Pożarnej. Mury biegły mniej więcej jak ulica Podwale i Cicha. Za tym cmentarzem utworzono drugi, dla chowania ciał zmarłych unitów.

Na owym cmentarzu przeznaczonym dla łacinników postawiono niewielki kościółek drewniany pod wezwaniem Przemienienia Pańskiego i pełnił on rolę kościoła pogrzebowego. Kościół ten

został postawiony około roku 1740. Wizytacja biskupa Skaryszewskiego z 1803 roku mówi, że *był wzniesiony od śp. Zabiszewskiej obywatelki Krasnostawskiej, celem odprawiania nabożeństwa przy pochowaniu ciał zmarłych*. Urzędujący proboszcz naszej parafii, ks. Andrzej Bojarski wspomina, że w tym kościółku odprawiali nabożeństwa augustianie, kiedy wydziedziczono ich z pomieszczeń klasztornych (obecnie ul. Zamkowa), zanim przeprowadzili się do nowej siedziby przy kościele Trójcy Przenajświętszej. „Gazeta Wielkiego Xięstwa Poznańskiego” z 23 października 1837 roku donosiła, że 3 października dziekan ks. Gorajski odprawił w tymże kościółku mszę św., po której, zgromadzona wielka rzesza wiernych wraz z augustianami, władzami miasta i Komitetem Budowy, w uroczystej procesji udała się na miejsce, gdzie rozpoczęto budowę świątyni dla augustianów. Zgromadzeni wysłuchali odpowiedniej, budującej mowy ks. kan. Boniewskiego, który na jej zakończenie powiedział: *W imię przeto Tego Boga, w Trójcy Przenajświętszej jedynego, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, weź każdy z Chrześcijan kamień i połóż na to miejsce, gdzie Bóg ma kiedyś w Sakramentalnej Hostii przemieszkiwać. Wszyscy przeto obecni rzucili się do noszenia kamieni, w koło niemi fundamenta obłożyli tak dalece, iż gdyby mularzy pracujących większa liczba była, fundamenta w znacznej części mogłyby być bez opłaty wymurowane*.

Jakkolwiek mała świątynia cmentarna funkcjonowała, grzbanie zmarłych około roku 1820 przeniesiono na nowe miejsce, na Przedmieściu Zakręcie, dziś przy ul. Poniatowskiego. Być może nie dokonano się to nagle i zrazu funkcjonował jeszcze ów stary cmentarz, powoli zamierając.

W roku 1840 kościółek był w bardzo opłakanym stanie i martwił się tym miejscowy proboszcz. W dokumencie wysłanym do konsystorza pisał, że kościółek *miał być reperowany przez obywateli, czyli zarząd miasta, a oni nic w tym względzie nie robią i chodzą nawet słuchy, że teren kościółka ma być oddany w ręce żydowskie*.

Wspomniemy tutaj jeszcze o jednym parafialnym obiekcie leżącym w pobliżu cmentarza, chodzi o szpital parafialny św. Łazarza. Znajdował się on już wewnątrz murów miejskich, tuż przy ulicy Lubelskiej (dziś mały parking przy ul. Cichej, a być może początek sklepu Max).

W dokumentach kościelnych z czasów księdza Bojarskiego czytamy: *Plac bowiem, na którym Dom w mowie będący jest wystawiony, jeszcze w roku 1693 kupił za gotowe pieniądze Ksiądz Wojciech Rostkowski Prałat Kustosz Katedry Chełmskiej w Krasnymstawie istniejącej i na nim pierwiastkowe dom drewniany wystawił jedynie dla pomieszkania ludzi, którzy w Kościele Katedralnym „usługi pełnić będą”. W roku 1765 budowa ta wraz z sąsiednimi domami od ognia spłonęła, w miejscu więc zniszczonego budynku Ksiądz Wawrzyniec Czulski, prałat, przekazał znaczną sumę w roku 1776, nowy dom murowany w tym samym celu i na tym samym miejscu, przy drodze do Lublina wiodącej wystawić kazał. O czym nie tylko akta urzędowe Kościoła tutejszego, ale nawet i Konsystorz Lubelskiego świadczą. Oczywiście dom ten pełnił przede wszystkim rolę szpitala i domu dla ludzi starych i schorowanych, którzy w miarę swoich sił pełnili posługi w kościele, pomagając utrzymać w nim porządek i służąc do nabożeństw.*

W pierwszej połowie XIX wieku zaniechano grzebania ludzi na tym cmentarzu i założono nowy obok kościoła Augustianów, który funkcjonuje do dziś, powiększany kilka razy. Zaś stary cmentarz, pozostawiony sobie, stawał się także w wymiarze zewnętrznym coraz bardziej martwy i opuszczony. Podobnie kościół Przemienienia Pańskiego. Musimy pamiętać, że były to czasy niewoli carskiej i nadzór nad Kościołem miało państwo, czyli urzędnicy carscy, którym nie zależało na dobru Kościoła, co więcej starano się go ograniczyć i eliminować z życia społecznego. Wyrazem tego uciśku był chociażby dekret z 18 lutego/2 marca 1842 roku, na mocy którego odebrano Kościołowi krasnostawskiemu szpital, tworząc nowe, państwowe instytucje. W Krasnymstawie powstała Rada Opiekuńcza Zakładów Dobroczynnych Powiatu Krasnostaw (ROZDPK) i ona zamierzała przejąć budynek Szpitala św. Łazarza, który znajdował się w stanie wymagającym znacznych nakładów na jego remont, a także stary cmentarz i kościółek Przemienienia Pańskiego. Zresztą już wcześniej, bo w roku 1839 powstała Rada Szczegółowa Opiekuńcza połączonych szpitali św. Ducha i św. Łazarza i domagała się wykazania przez miejscowego proboszcza funduszy przypisanych do tychże szpitali i oddzielenia ich od funduszy parafialnych. Chodziło

o to, by administrator przesłał wszelkie dokumenty świadczące o takowych funduszach. Dokument został oczywiście napisany do konsystorza (Kurii Diecezji Lubelskiej), a podpisał go sam generał major Hurko. Generał obłudnie odwołuje się do uczciwości księdza pisząc, że *Ks. kanonik znany jest ze swych uczuć dla ludzkości i dlatego zechce ulżyć ludzkim cierpieniom. Niech zatem dostarczy dowody nawet wątpliwe, by oszczędzić trudu poszukiwania władzom rządowym.* Oczywiście ks. Bojarski odpisał, że z żadnych funduszy, które by były przynależne do szpitali nie korzysta i takowe nie istnieją.

Władze zdawały sobie sprawę, że zabranie dóbr kościelnych nie będzie takie proste, bowiem Kościół będzie bronił swojej własności, dlatego przyjęły podstępną metodę działania, gdy chodzi o cmentarz i kościółek. O wiele łatwiej było przejąć szpital, ponieważ istniał wspomniany ukaz carski, który działał jak komunistyczne powojenne prawodawstwo zabierające Kościołowi nabyte przez wieki dobra i stworzone przez Niego instytucje.

W marcu 1841 roku Rada Szczegółowa Opiekuńcza Szpitali w Krasnymstawie zwróciła się do biskupa, *aby kościółek Przemienienia Pańskiego w mieście Krasnymstawie będący, obecnie opuszczony i projektowany obecnie do przeniesienia na cmentarz parafialny, oddany został pod jej bezpośredni zarząd, celem zajęcia się jego restauracją i opieką, gdzieby następnie mogła składać ciała osób zmarłych w szpitalach przed pogrzebaniem owych.* Na co odpowiedział konsystorz: *Biskup Administrator zważywszy pomienione podanie, mając na względzie przepisy prawa Kościelnego, uznał być rzeczą potrzebną, wspomniany Kościółek oddać pod zarząd Ks. Administratora lub Jego obecnemu zastępcy, z poleceniem, aby znosząc się z Radą Szczegółową miał staranie o jego reparacji, jako niemniej, iżby nie wzbraniał składania w nim ciał zmarłych w szpitalach. Ks. Dziekan ma zjechać na grunt parafii i ma dokonać urzędowego przekazania administratorowi parafii onże kościółek sporządziwszy odpowiednie dokumenty i spisawszy wszystkie sprzęty tegoż kościoła w obecności Steimasiewicza opiekuna szpitali w Krasnymstawie. Pismo podpisał biskup pomocniczy Maurycy Wojakowski.*

W 1842 roku zarządca parafii wikariusz Andrzej Bojarski powiadomił konsystorza 24 października, iż *żadnych kroków do reperacji wspomnianego Kościołka i ogrodzenia Cmentarza nie powzięto ani nawet tak opiekun szpitala, jako i inni mieszkańcy Miasta Krasnegostawu wiedzieć o niej nie chcą, a Kościółek ten coraz większej popada dezolacji i żąda w tej mierze polecenia swej władzy, co ma dalej czynić, ażeby za dezolacją odpowiedzialnym nie był.*

Sprawy ciągnęły się do roku 1846 bez żadnego przesilenia. Tegoż jednak roku Rząd Gubernialny Lubelski 18/30 marca, po posiedzeniu w sprawie budowy nowego szpitala, wystąpił do biskupa lubelskiego z następującą propozycją: w zamian za cmentarz parafia może otrzymać inną parcelę gruntu lub kosztem szpitala utrzymywanych będzie trzech *działów* kościelnych *do usługi Kościoła parafialnego*, W związku z tą propozycją, która brzmiała raczej jako ultimatum, konsystorz generalny diecezji lubelskiej nakazał dziekanowi (był nim proboszcz chłaniowski) *zjechać na grunt parafii krasnostawskiej i jak podaje pismo wysłedzić, kiedy i przez kogo Kościółek Przemienienia Pańskiego został wzniesiony, na jaki cel i czyli plac na którym istnieje, za własność Kościoła Parafialnego uważać należy, a następnie wykryć, czyli dogodniej by było dla funduszu Kościoła Parafialnego, iżby zamiana nastąpiła na inny grunt, czyli zaś zapewnione było utrzymanie trzech sług kościelnych.*

Po tej lustracji ks. Bojarski postawił warunki następujące: zamiana cmentarza na inne grunty, zaś w zamian za odstąpienie Szpitala św. Łazarza, po jego remoncie, mieli tam zamieszkać trzej słudzy kościoła. Administrator parafii przyjął linię obrony co do szpitala, jak również władze kościelne, że tenże budynek stawiany był jako mieszkanie dla sług kościoła parafialnego a nie jako szpital.

Niestety, władze nie chciały nawet o tym słyszeć i zażądały oddania budynku bez żadnych warunków. W związku z takim obrotem spraw konsystorz nakazał jeszcze raz dziekanowi zjechać do miasta i jeszcze raz przeanalizować zaistniały problem. Przeprowadzono w obecności miejscowego administratora ks. Bojarskiego, pod obecność przedstawiciela urzędu Buchaczkowskiego i geometry Bayera lustrację spornych obiektów. Po czym dziekan sporządził dokument, w którym

zawarł własną opinię, broniąc w niej własności parafii. Na początku napisał: *Ocierać łyż niedoli, być ratunkiem cierpiącej ludzkości, są to czyny najsłodsze płynące z czystego źródła Świętej Religii Chrystusa i zawsze na sobie noszą to piętno, dopokąd są spełnione w czystej miłości bliźniego; przeciwnie, gdy trącą tylko krzywdą trzeciego wtenczas przybierają barwę ohydy i na nieprawość zakrawają - To położywszy w zasadę, wnoszę, że ROZDPK chcąc Instytutowi jednemu odebrać Kościół, cmentarz dawny, Dom murowany z Ogrodem przyległym, aby drugiemu nadać, zdaje się, że chce sprawdzić znajome przysłowie „Kościół obedrzeć, a Dzwonnicę pokryć” rozważyć tylko i sąd bezstronny zapuszczając w te czynności zdaje się rzecz tę usprawiedliwiać.*

Co do domu murowanego zwanego Szpitalem św. Łazarza dziekan dowodzi na podstawie dokumentów, że był on pierwotnie wystawiony, w dawnych czasach, jako mieszkanie dla sług kościoła parafialnego, a nie jako szpital i taką rolę powinien pełnić będąc nadal własnością parafii. Po podaniu merytorycznych dowodów odwołujących się do erekcyjnych dokumentów dodaje: *Niech nie wnosi Rada Opiekuńcza, że należał on [Szpital św. Łazarza] do oddzielnego funduszu związanego ze szpitalem św. Ducha, który znajdował się w Krasnymstawie i który miał oddzielną erekcję w roku 1465 nadaną przez Kazimierza IV syna Władysława Jagiełły Króla Polskiego zatwierdzoną. Nie do mnie ta rzecz należy, że mówi tylko o domu dla sług kościelnych, a który podobno się Radzie Opiekuńczej nazwać szpitalem Św. Łazarza i z jakich powodów. Może dlatego, że jeden z księży administratorów kazał wymalować obrazek Św. Łazarza i na froncie domu takowy umieścić. Po drugie Xiądz administrator, gdy mu się zdawać będzie, każe namalować Dyzmę Świętego Łotra, a wtenczas rada Opiekuńcza tenże sam dom: Więzieniem zbrodniarzy nazwie. Nie idzie tak, by pozór brać za rzeczywistość. Przez lat 150 ciągle w tym miejscu zamieszkiwali Słudzy Kościelni. Dopiero za dzisiejszego rządcy Parafii gdy dom zbliżał się do dezolacji, stąd słudzy kościelni zostali przeniesieni do korytarza kolegium. [...] Dziś bowiem słudzy kościoła gdzie mieszkają? Oto w przedsionku samego Kościoła, więcej powiem w samej kruchcie jego - idzie wejście i do Świątyni Boga i do mieszkania osób różnej płci prowadzi. Zamilczam o nie-*

porządku z tą koniecznością wynikającym, o nieprzyzwoitościach pod drzwiami Przybytku Najwyższego dziejącymi się, a podobno żadne niewinne uszy, nie zniosą głosu bezprawia, jakie się w tym umieszczeniu służących, jako zwykle służących słyszeć daje. Tu dopiero mieszkają Zakrystian z rodziną, Dziady po polsku zwane kościelne - zobaczmyż jeszcze gdzie organista z żoną i rodziną różnej płci uplacowany. Oto w jednym domu, w jednym korytarzu z księżmi Wikariuszami - zabrania tego Prawo Kościelne". Dalej dziekan stwierdza, że Rada Opiekuńcza nie ma żadnego prawa, co do tego domu.

Dalej dziekan broni cmentarza grzebalnego mówiąc: *Nie było narodu żadnego na świecie, niszczonego grobowców swoich Ojców, dalej, niszczycieli grobów przyrównywali do zbrodni samego świętokradztwa i śmiercią samą ich zbrodni karali [...]* W naszym kraju prawo srodze karało tych, którzy się rzucali na żelazne grobowców; miejsce to bowiem uważano za święte, gdzie na ołtarzu pamięci żywi zmarłym w ofierze składają swe miłości. Jeśli niszczenie jednego grobowca powoduje takie skutki to na co narazić się moglibyśmy, niszcząc groby całego cmentarza, na którym według metryk Kościoła Krasnostawskiego przeszło 26 000 miało być pochowanych. Tak więc zmarłym należy się wieczny spoczynek - domaga się Kościół i ludzka kultura.

Z pomocą cmentarzowi przyszedł kościół św. Franciszka, który stał się zagrożeniem dla przebywających tam ludzi. Wskutek braku funduszy i niechęci władz carskich, groziła mu katastrofa. Gdyby okiem widać było spękanie kopuły, runąłby fragment gzymsu. Na skutek interwencji administratora władze zamknęły kościół św. Franciszka. I właśnie nabożeństwa przeniesiono do tegoż kościółka Przemienienia Pańskiego na starym cmentarzu, wcześniej poddając go gruntownej odnowie. O tym mówią dokumenty parafialne z roku 1847. Możemy się nieco przy tej okazji dowiedzieć nie tylko, co podano reperacji, ale także jak wyglądał ów kościółek. Oto fragment dokumentu z dnia 3/15 kwietnia: *Gdy Kościół Krasnostawski z powodu iż dotąd reperacji Jego do skutku nie przysłała, a szczególnie Kopuła na tymże grozi niebezpieczeństwem zawalenia, z której to przyczyny Rząd Gubernialny Lubelski Re-skryptem Swoim 29 marca/10 kwietnia rb. zadysponował zamknięcie pomienionego Kościoła do czasu nastąpić mającej reperacji, zatem Dozór Kościelny*

wspólnie z Administratorem Parafii Krasnostawskiej Księdzem Bojarskim uznał za rzecz potrzebną po zamknięciu rzeczoności Kościoła przenieść nabożeństwa do Kościoła Drewnianego pod tytułem Przemienienia Pańskiego, a ponieważ tenże Kościół jest zdezelowanym, nie ma bowiem podłogi i okien całych, oraz brudny i zanieczyszczony tak iż Nabożeństwo w tymże Kościółku na żaden sposób odbywać się nie może należy tę świątynię wyreperować i odnowić. Zrobiony został także odrębny kosztorys tych prac na sumę 23,4 rubli srebrnych. Należy zatem, jak mówi wspomniany dokument: zrobić podłogi, oszalować kościół, przeprowadzić reperację chóru, postawić ganek koło kościoła, oszalować kopułę, wyreperować 5 okien i zrobić jedno nowe, wybielić kościół, urządzić trzy ołtarze w kościele. Ów remont przeprowadzono tegoż samego roku we wrześniu z funduszu pokładnego (pokładne - dochód uzyskany za plac wykupywany przez rodziny grzebiące swoich zmarłych). Pozostała suma z pokładnego, czyli 75 rubli (była to w tamtym czasie poważna suma zbierana przez szereg lat) miała być użyta przez burmistrza, który zarządzał owym funduszem, na reperację cmentarza. Jak wynika z notatki Dozoru z 1854 roku, dawny burmistrz krasnostawski Kossakowski, a ostatnio zamojski, zeszedł z tego świata, a fundusze nie zostały użyte na właściwy cel. Dozór zwraca się z prośbą o zabezpieczenie tej sumy na majątku Kossakowskiego, *aby familia go wcześniej nie wyczerpała*.

Wiemy, co stało się w maju 1849 roku. Nieremontowana kopuła kościoła św. Franciszka Ksawerego runęła do wnętrza świątyni, grzebiąc istniejące tam groby fundatorów świątyni, zakonników, biskupów. Dopiero wówczas władze carskie zgodziły się na stworzenie funduszu i zebranie odpowiedniej sumy, by budowlę kościelną zabezpieczyć. Tymi pracami zajął się niezwykle kapłan, ksiądz Andrzej Bojarski, administrator parafii. Tenże kościół podniósł z ruiny w przeciągu niecałego roku kosztem 60 tysięcy złotych złożonych przez parafian. Wówczas zaistniał jeszcze raz w historii naszego miasta ów skromny cmentarny kościółek Przemienienia Pańskiego. Donosił wówczas „Kurier Warszawski” z 29 grudnia 1850 roku. Otóż 30 listopada 1850 roku rozpoczęły się uroczystości poświęcenia odbudowanej, dawnej jezuickiej świątyni pod wezwaniem Świętego Franciszka Ksawerego,

a też i katedry w latach 1780-1826 pod wezwaniem Rozesłania Świętych Apostołów i Świętego Franciszka Ksawerego. Uroczystości zgromadziły bardzo wielu kapłanów diecezjalnych i zakonnych oraz tysiące wiernych, którzy przybyli nawet z odległych okolic. Podniesioną z gruzów świątynię poświęcił i pobłogosławił, z upoważnienia władzy diecezjalnej, ksiądz Feliks Kwiatkowski, kanonik katedralny. Następnie, duchowieństwo wraz z rzeszą wiernych udało się na dawny cmentarz przy ulicy Lubelskiej, do kościółka Przemienienia Pańskiego, skąd uroczystie i procesjonalnie przeniesiono Najświętszy Sakrament do odnowionej świątyni. Na jej ołtarzu, przy wystawionym Najświętszym Sakramencie sprawowano nieszpory, a kazanie wygłosił ks. kanonik Baranowski. Uroczystości trwały trzy dni aż do odpustu ku czci św. Franciszka Ksawerego 3 grudnia. Do spowiedzi i komunii świętej przystąpiło około 4 tysięcy wiernych.

Jak potoczyły się losy Szpitala św. Łazarza i kościółka Przemienienia Pańskiego - na razie dokładnie nie wiemy. Należy przypuszczać, że po powstaniu styczniowym, aresztowaniu wszystkich kapłanów naszej parafii i wywiezieniu ich na Syberię, władze carskie zabrały budynki i cmentarz. Dziś już po tych budowlach nie ma żadnego śladu, a na dawnym cmentarzu stoi szereg budowli: dworzec autobusowy - obecnie ciąg sklepów, Państwowa Straż Pożarna i jeszcze kilka budynków postawionych na ludzkich kościach. To niepowetowana strata dla ludzkiej pamięci, historii, wiary chrześcijańskiej, a też podeptanie prochów naszych przodków, którzy tutaj żyli, tworzyli wspólnotę człowieczeństwa, kultury i miłości.. Podczas wykopów pod fundamenty budynków, odkrywano ludzkie kości. Z pewnością wiele ich jeszcze kryje ziemia zmieszana z prochem ludzkich ciał. Tylko czasami w mroczne noce, po zakamarkach strychów i piwnic, błędzą zagubione dusze, wołając o modlitwę.

ks. Henryk Kapica

Opis Szpitala św. Łazarza, kościoła i cmentarza Przemienienia Pańskiego pochodzi z publikacji *Zakusy urzędu carskiego na parafialny cmentarz, kościół Przemienienia Pańskiego i Szpital św. Łazarza, „Boże Sieci” 2006, 4/16, ss. 41-48. Tenże artykuł został nieco poszerzony przez autora.*

Janusz Wanot

Ulica Mokra

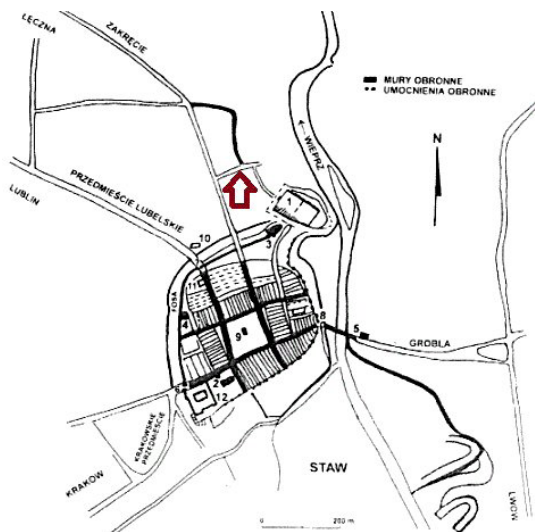


Przed kilku laty, późnym wieczorem siedziałem przed komputerem i błędziłem po Internecie. Szukałem spontanicznie różnych informacji. Wpisałem w Google także hasło „Krasnystaw” i między innymi znalazłem informację o wywiadzie krasnostawskiej dziennikarki z kilkoma mieszkańcami ulicy Gawryłowa. Na pytanie, dlaczego ulica nosi właśnie taką nazwę, nie potrafili odpowiedzieć. Brak odpowiedzi nie tylko mnie zaskoczył, ale także w pewien sposób zbulwersował.

- To ja, żyjący od kilkudziesięciu lat bardzo daleko od Krasnegostawu i tak naprawdę nigdy niezameldowany na stałe w tym mieście, potrafię odpowiedzieć na pytanie dziennikarki, natomiast osoby aktualnie mieszkujące tam, być może nawet potomkowie dawnych rodzin z tej ulicy nie wiedzą! Dlaczego...?! - powtarzałem sobie dość podekscytowany.

W ciągu następnych dni ta niesamowita dla mnie wiadomość ciągle powracała. Przed zamkniętymi oczami przesuwaly się dawne obrazy tej starej uliczki. W konsekwencji zacząłem pisać moje wspomnienia.

Z ulicą Mokrą w Krasnymstawie byłem praktycznie cały czas w jakiś sposób związany. Nie odpowiadała wprawdzie nigdy mojemu wyobrażeniu ulicy, ale raczej nieco utwardzonej żwirem i kamieniami szerokiej polnej drogi, „mokrą” była jednak na pewno, a szczególnie po większym deszczu lub w czasie przedwiosennych roztopów. Ulica nie miała więcej niż 250 metrów długości i rozciągała się w kierunku wschód-zachód począwszy od ulicy Kościuszki, a skończywszy na małej łączce nad Wieprzem. W dużych i nieco dziko wyglądających ogrodach stało kilka starych, drewnianych i najczęściej parterowych, mizernie wyglądających domków otoczonych równie starymi drewnianymi płotami.



KrasnyŃstaw w I połowie XVI w., 1 - zamek; strzałka wskazuje ul. Mokrą.

Idąc w dół ulicy Mokrej, po kilkudziesięciu metrach przecina ją ulica, a w zasadzie w tym miejscu jedynie bardzo niepozorna uliczka KiliŃskiego, która wcześniej nazywała się Szewska i tak naprawdę w tym miejscu miała wygląd nieco szerszej polnej ścieżki. Z rzadka przeciskała się tędy furmanka lub z trudem mały samochód. Właśnie tutaj, w narożniku ulicy Mokrej i KiliŃskiego znajduje się ogród, w którym kiedyś stał dom moich dziadków Jana i Marianny Rusinków. Był mały i niewiele różnił się od innych domów stojących przy tej ulicy. Stałby tam być może i do dzisiaj, gdyby nie bomba, która wpadła do niego w trakcie przechodzenia linii frontu pod koniec II wojny światowej. Na szczęście, w tym momencie wewnątrz nie było domowników, więc nikt nie zginął ani nawet nie został ranny. Rodzina Bieleszów, spokrewniona z Rusinkami, mieszkająca także pod tym samym dachem, dosłownie w ostatniej chwili zdołała się schronić w głębokiej piwnicy obok budynku. Dom został całkowicie zniszczony i nigdy go już nie odbudowano. Dziadkowie znaleźli mieszkanie niedaleko tego miejsca, a na Mokrej pozostał im tylko duży ogród ogrodzony długimi, okrągłymi, drewnianymi żerdziami, do którego wejście znajdowało się w jego narożniku - na przecięciu ulic.

Ten właśnie ogród był jednym z miejsc w Krasnymstawie, które często odwiedzałem, szczególnie w czasie letnich wakacji, kiedy miałem

kilka lat. Przypominam sobie nawet miejsce, gdzie widoczne były jeszcze kamienie z fundamentów zburzonego domu. Później i te ostatnie szczątki zostały całkowicie zlikwidowane, a teren ich zajęty pod różne uprawy ogrodowe.



Domy przy ulicy Mokrej - zdjęcia prawdopodobnie z lat 50. lub początku 60. XX wieku.

Wzdłuż ogrodzenia z drewnianych żerdzi rosły wąskim pasem różne kwiaty - najczęściej przypominające dziką kwitnącą łąkę. Gdzieś wystrzelały wysoko do słońca okazałe purpurowe malwy. W ich kwiatach brzęczały pracowicie liczne pszczoły, a czasami nawet bąki. Przeważającą część ogrodu zajmowały wysokie, podparte na palikach, krzaki pomidorów z dorodnymi owocami w różnych kolorach - od zielonego, poprzez żółty, różowy aż do dojrzałego koloru malinowego. Ten właśnie kolor zdradzał ich gatunek o nazwie - malinówki. Dziadek uprawiał tylko takie pomidory. Z wyhodowanych przez siebie owoców suszył małe pestki, później wyrastały na werandzie ich mieszkania w różnych doniczkach. Każdego roku miał około trzystu sadzonek, które wiosną pikował w ogrodzie. Obok pomidorów była duża grządka z pełzającymi po ziemi i ukrywającymi się między liśćmi zielonymi ogórkami. Z drugiej strony, w innej parceli, z dużych zielonych liści wyglądały dumne, białe kalafiory odcinające się swoim kolorem od rosnących obok mniej imponujących główek kapusty i małych kalarep. W rogu ogrodu mały zagon z ziemniakami. Na znacznym obszarze rosła zielona fasolka. Nie mogło również zabraknąć grządek z marchewką, cebulą, pietruszką i koperkiem. Gdzieś pojawiały się kępki pachnącej mięty. Ten wspaniały obraz ogrodu dopełniały malowniczo wyglądające słoneczniki, które swoje głowy obracały w poszukiwaniu słońca. Ogród nie odróżniał się specjalnie od innych ogrodów w okolicy - dla mnie był jednak prawdziwą zieloną oazą. Najpiękniejszą w tej okolicy.

Ulice Mokra i Kilińskiego leżały na trasie, którą w letnią upalną pogodę przemierzałem razem z najmłodszą siostrą mojej mamy Basią, podążając z mieszkania dziadków przy ulicy Poniatowskiego do naszej lokalnej plaży na pobliskich błoniach nad Wieprzem. W drodze powrotnej często zbieraliśmy w ogrodzie warzywa, które następnego dnia zazwyczaj służyły do przygotowania obiadu. Babcia i mama robiły z nich danie nazywane przez nas „bukiet jarzyn”. W jego skład wchodziły gotowane ziemniaki posypane obficie zieloną natką pietruszki i koperku, kalafior i zielona fasolka z przysmażoną na tłuszczu bułką tartą, oraz pokrojone w plastry pomidory - oczywiście malinówki, posypane dużą ilością białej cebuli. W oddzielnych salaterkach

intensywnie pachniała koperkiem mizeria z ogórków. Do tego podawane było zimne zsiadłe mleko lub kompot ugotowany przez babcię. Mimo, że nie jestem jaroszem, pozostało to moim ulubionym daniem, które zawsze przypomina mi gorące i beztroskie lata w Krasnymstawie. Obecnie, od czasu do czasu także gotuję taki „bukiet jarzyn”, ale, niestety, jedynie z warzyw kupionych w pobliskim sklepie, chociaż podobno są one także „bio”.

Działka wymagała pracochłonnej pielęgnacji, więc czasami, późnym popołudniem, kiedy nie było już tak gorąco, chodziliśmy tam silną rodzinną grupą trochę popracować. Plewienie grządek nie interesowało mnie wcale, ale podwiązywanie licznych krzaków pomidorów i wycinanie z nich tzw. „wilków”, trochę mnie nawet pasjonowało. Najwięcej pracy mieliśmy w upały, kiedy trzeba było również podlewać rośliny. W takie gorące dni ulica Mokra zamieniała się praktycznie w ulicę suchą i w dodatku pełną piaszczystego kurzu. Wodę, niestety, trzeba było w tamtych dawnych latach nosić wiadrami z hydrantu miejskiego, który znajdował się zaraz za skrzyżowaniem ulic Mokrej i Kościuszki. Przy takim dużym ogrodzie był to nie lada wysiłek dla całej naszej grupy. Dźwigaliśmy wielokrotnie po dwa wiadra wody równocześnie. Ale przecież, czego się nie robiło dla „bukietu jarzyn”!

Na ulicy Kilińskiego (wcześniej nazywanej Szewską) mieszkali podobno przede wszystkim szewcy i stąd wzięła się też ta nazwa. Duży, szeroki pas ziemi leżący wzdłuż ulicy Mokrej pomiędzy ulicami Kilińskiego i Kościuszki był kiedyś własnością mojego pradziadka Franciszka Kicińskiego, który również był szewcem i to podobno bardzo dobrym, gdyż nie zajmował się wcale naprawami, ale szył nowych butów na zamówienie. Teren ten został podzielony w rodzinie i dlatego ten ogród wniosła do rodziny Rusinków córka Franciszka a moja babcia Marianna z domu Kicińska. Bezpośrednio po sąsiedzku, przy ogrodzie dziadków, w domu pod adresem Kilińskiego 3 mieszkała wówczas rodzina Bieleśzów. Wchodząc do ich domu, po lewej stronie w kuchni pod oknem mieścił się warsztat szewski prowadzony przez tę rodzinę. Rodziny Rusinków i Bieleśzów były spokrewnione. Szewc Mietek i Zygmunt Bieleśza, który był lekarzem weterynarii, byli dalszymi kuzynami mojej mamy. W domu tym mieszkali w tamtych dawnych czasach także ich rodzice

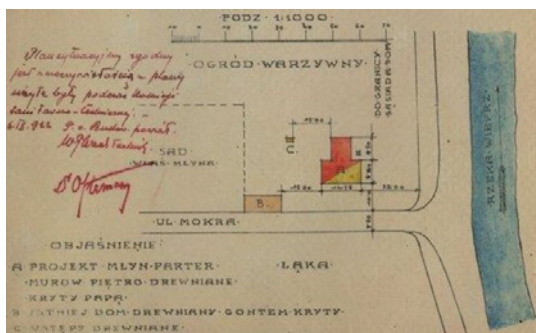
- senior Bieleśza był oczywiście także szewcem i pracował razem ze swoim synem w rodzinnym warsztacie pod kuchennym oknem. Powiązania rodzinne powiększyły się jeszcze bardziej, kiedy na weselu moich rodziców w Krasnymstawie, we wrześniu 1953 roku rodzona, młodsza siostra mojego taty Emilia Wanot (zwana Milą) poznała Zygmunta Bieleśzę i niedługo później także się pobrali i w ten oto sposób został on dla mnie także wujkiem. Dwa małżeństwa pomiędzy tymi rodzinami bardzo je łączyły na przyszłe lata. Później urodziła im się córka Teresa, która była moją bardzo bliską kuzynką i z którą bardzo chętnie spędzałem czas, mimo że była o trzy lata młodsza. Nasze rodziny utrzymywały ze sobą ścisły kontakt i to nie tylko podczas pobytu w Krasnymstawie, lecz również na Górnym Śląsku w Piekarach Śląskich, gdzie mieszkala prawie cała rodzina Wanotów oraz w Krapkowicach na Opolszczyźnie, w których zdomowali się Miła i Zygmunt Bieleśzowie.

Po sąsiedztwie u Bieleśzów byli także dzieci Mietka i Stasi - dwaj synowie: Andrzej nieco młodszy ode mnie i dużo młodszy Janek. Jak się więc zjechała cała rodzina, a zdarzało się to dwa lub trzy razy w roku, to na rogu ulicy Mokrej i Kilińskiego, oraz w mieszkaniu dziadków przy ul. Poniatowskiego kwitło bardzo bogate życie towarzyskie. My, dzieci bawiliśmy się najczęściej w ogrodzie na Mokrej i dookoła domu Bieleśzów, mając tam niczym nieskrępowaną swobodę w rozwijaniu naszej fantazji. Dodatkową atrakcją były różne zabudowania gospodarcze oraz ta pełniąca rolę schronu w czasie wojny - głęboka piwnica, które umożliwiały zabawę w chowanego. Szczególnie ulubionym przez nas miejscem była duża, otwarta z trzech stron drewniana wiata, która dołem wypełniona była słomą, a u góry suszyły się latem ponadziewane na druty duże liście tytoniu oraz gdzieś tam niezwykle intensywnie pachnąca mięta. Ponieważ wujek Zygmunt, z racji swojego zawodu posiadał prawie zawsze jakiś samochód osobowy, więc często zabierał nas, dzieci na różne wycieczki w okolice Krasnegostawu. Były to więc zawsze niezapomniane wakacje, które w dużej części rozgrywały się właśnie w tym zakątku miasteczka.

Ulica Mokra broniła dzielnie swojego romantycznego, wiejskiego uroku przez wiele lat. W dawnych wiekach z ulicy tej odchodził także dojazd do zamku, ale po jego zburzeniu duch czasu przechodził obok tej uliczki i jej prawie wcale nie zauważał. Zaraz po I wojnie światowej właściciel dużego ogrodu i sadu leżącego tuż przy samej rzece, Stanisław Kostrzanowski planował budowę młyna. W roku 1922 uzyskał nawet oficjalne pozwolenie na budowę młyna motorowego przy ulicy Mokrej 2. Miał on być wyposażony „w dwa złożenia kamieni, dwie pary walców i perlak”. Nie został jednak nigdy wybudowany. Być może rzeka pokrzyżowała te plany, gdyż jego planowana lokalizacja na zalewanej od czasu do czasu przez powodzie łące chyba nie była zbyt szczęśliwa. Więc dalej panował bez mała wiejski spokój na tej uliczce. Prawdziwa idylla.



Plan elewacji projektowanego młyna na ul. Mokrej (1922 rok).

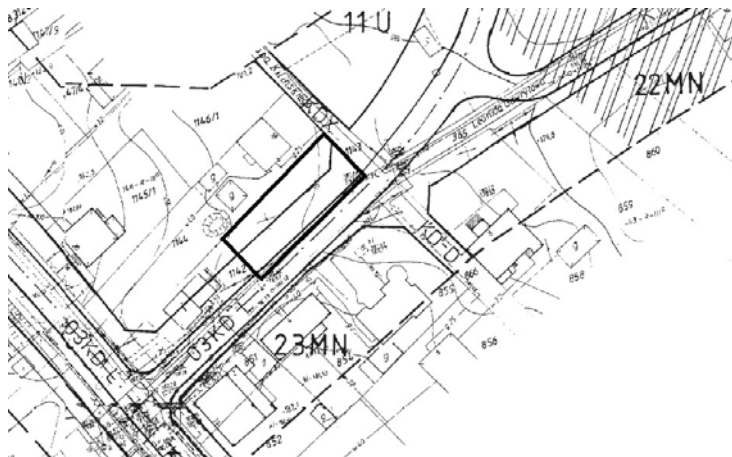


Lokalizacja planowanego młyna na ul. Mokrej (1922 rok).

Na początku lat sześćdziesiątych zeszłego wieku jednak nagle zawrzało. Dziadek przyniósł do domu wiadomość, że na Wieprzu ma być budowany nowy most i ulica Mokra ma być dojazdem do niego od strony lewego brzegu rzeki. Zaczęły się więc domowe rozważania o tym, co w konsekwencji stanie się z ich ogrodem. Dyskusje w rodzinie

trwały bardzo długo i cichły stopniowo razem ze zwalnianiem tempa planowania budowy w odpowiednich urzędach. W pewnym momencie zapanał znowu dawny spokój na tej ulicy, który trwał wiele dziesięcioleci. W tym długim czasie zniknęły niektóre domy. Niekonserwowane i tak naprawdę nikomu niepotrzebne drewniane płoty załamały się pod własnym ciężarem, a ogrody zdziczały, zarastając wysokimi krzakami i pokrzywami. Pozostał jedynie krajobraz głębokiej wioski i to kilkaset metrów od centrum Krasnegostawu.

Ze zdziwieniem przeczytałem w ubiegłym roku w Internecie, że znowu ruszają prace nad budową mostu w tym miejscu. Ciekaw jestem na jak długo tym razem wystarczy pieniędzy i zapału na podobne zamiary? O realnym planie jego budowy, jak na razie nic nie słyszałem. Przez tyle lat Krasnystaw się zmienił i nie jestem nawet tego pewien, czy ta bardzo stara lokalizacja mostu jest dzisiaj nadal optymalna dla miasta? Być może jednak wkroczy tam nowoczesna inwestycja i obraz tej starej uliczki zniknie bezpowrotnie. Jedynie w moich oczach pozostaną na zawsze te stare, zielone i przesycone słońcem obrazy.



Plan zagospodarowania przestrzennego 2005 - ul. Gawryłowa. Jeszcze istniejąca działka (ogród) zaznaczona grubą linią.

Przy ulicy Mokrej, dokładnie naprzeciw ogrodu dziadków, po drugiej stronie uliczki Kilińskiego stał także w dużym ogrodzie otoczonym

wysokimi krzewami dom drewniany z rozbudowanym poddaszem na pierwszym piętrze. Dom należał kiedyś do państwa Bednawskich. Na poddaszu, w skromnych warunkach mieszkał znany felczer i znachor Leonid Gawryłow, którego duże umiejętności lecznicze oraz działalność charytatywna znane były daleko poza Krasnymstawem. Jego życie i działalność wielokrotnie opisywano w różnych publikacjach krasnostawskich.

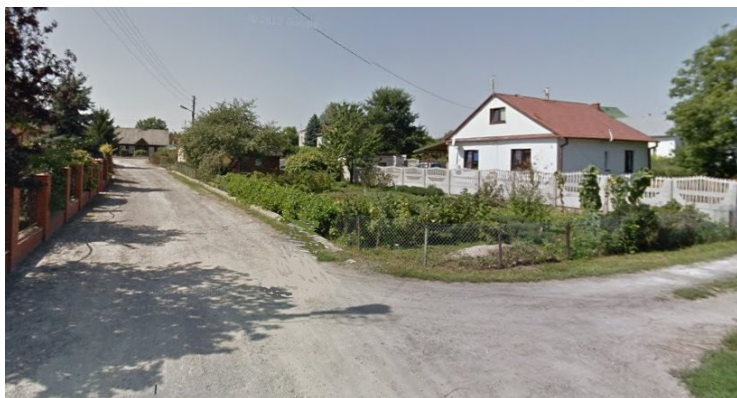
Leonid Gawryłow urodził się w 1901 roku w Rosji, w Petersburgu, w rodzinie szlacheckiej. Wraz z wybuchem rewolucji październikowej w 1917 roku, rozpoczęły się jego początkowo bardzo tragiczne losy. Rodzina jego została wymordowana, a on sam został siłą wcielony do armii bolszewickiej, gdzie zetknął się ze szczególną formą medycyny, gdyż pełnił w wojsku funkcję sanitariusza. Jego oddział wojskowy dotarł pod Zamość, gdzie Gawryłow został ranny i pozostał tam w miejskim szpitalu. Ze względu na jego rosyjskie pochodzenie oraz przynależność do bolszewickiej armii, traktowano go początkowo z dużą niechęcią. Po dojściu do zdrowia pozostał na zawsze w Polsce i zamieszkał właśnie przy ulicy Mokrej

w Krasnymstawie. Wybrał Krasnystaw na miejsce zamieszkania zainspirowany herbem tego miasta - dwóch równolegle i przeciwnie płynących ryb. Ponieważ sam urodził się pod zodiakalnym znakiem Ryb. Był to chyba nie tylko dobry omen dla niego, ale również dla wielu mieszkańców miasta. Zainteresowanie astrologią i układaniem horoskopów, doprowadziło do wyboru Krasnegostawu na miejsce zamieszkania i pracy - początkowo w Starostwie Powiatowym, a później w ośrodku zdrowia. Po ciężkiej chorobie gruźliczej, która zdaniem lekarzy była nieuleczalna, a z której sam

się wyleczył, korzystając z bogatej wiedzy o ziołolecznictwie, był coraz częściej odwiedzany przez okolicznych chorych mieszkańców, szukających również pomocy w jego zdolnościach ziołoleczniczych. Schorzenia diagnozował często z dłoni i żrenicy oka. Zajmował się także kręgarstwem.



Leonid Gawryłow



Dzisiejszy widok skrzyżowania ul. Gawryłowa (dawniej Mokra) i ul. Kilińskiego (dawniej Szewska) - widoczny ogród moich dziadków i dawny dom rodziny Bieleśzów. Betonowy i murowany płot to nowość na tej ulicy.

Z czasem sława Gawryłowa rosła i przybywało coraz więcej pacjentów z całego województwa, a nawet z różnych stron kraju. Podobno potrafił jednego dnia przyjąć do sześćdziesięciu pacjentów, od których nie pobierał opłat. Ludzie jednak zostawiali pieniądze, którymi on przede wszystkim wspierał różne organizacje charytatywne oraz fundował stypendia dla ubogich studentów. Niektóre osoby z mojej rodziny również leczyły się albo przynajmniej zasięgały u niego porady medycznej. Pomógł mojemu wujkowi Zygmuntowi Bieleśzy, który mieszkał po sąsiedzku, w ukończeniu studiów weterynaryjnych. Fascynował się wiedzą i kulturą Tybetu, co przejawiało się codzienną medytacją i ćwiczeniami jogi. Jego metody diagnozowania i leczenia chorób nie były akceptowane przez wielu lekarzy tamtych czasów i z zazdrości traktowany był często jako dziwak, a nawet szarlatan. Po wielu latach przeprowadził się ze swojego mieszkania na poddaszu przy ulicy Mokrej do małego mieszkania w bloku przy ulicy Okrzei 30. Do końca był aktywny i ofiarny w niesieniu pomocy potrzebującym. Zmarł w roku 1983.

Dom, w którym mieszkał Gawryłow na ulicy Mokrej już nie istnieje. W dowód pamięci po nim miasto Krasnystaw zmieniło jednak nazwę ulicy Mokrej na ulicę Gawryłowa. Ta niepozorna ulica pasuje chyba bardzo do jego osoby, a ulicą mokrą - szczególnie w deszczowe dni, pozostała ona i tak do dzisiaj.

dr Janusz Wanot
Zdjęcia ze zbiorów autora.

Bibliografia:

1. E. Sobczuk, *Średniowieczny i nowożytny system obronny Krasnegostawu*, Czasopismo artystyczne „Nestor”, 1(3) 2008, ss. 9-10.
2. K. Stolecki, *Krasnystaw rys historyczny*, wydanie czwarte, Wydawnictwo „ROMAR”, Krasnystaw 2018.
3. Krasnystaw młyn motorowy ul. Mokra 2 Stanisława Kostrzanowskiego - Projekt z 1922 roku. Skan z Archiwum Państwowego w Lublinie. <http://rzeczpospolitamlynarska.pl/mlyny/lubelskie>.
4. A.D. Misiura, *Gdy Mistrz odchodzi - wspomnienia o Leonidzie Gawryłowie*, Mała Oficyna Wydawnicza „Elipsa”, 1983.
5. M. Szymaniak, *Genialny lekarz spod znaku Ryb*, Czasopismo artystyczne „Nestor”, 1(3) 2008, ss. 11-14.
6. A.D. Misiura, *Fenomen Gawryłowa*, Czasopismo artystyczne „Nestor”, 1(3) 2008, ss. 15-17.
7. Uchwała Nr XXVI/202/2005 Rady Miasta Krasnystaw z dnia 9 marca 2005 r. w sprawie uchwalenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego ciągu komunikacyjnego ulic Polewana-Kościuszki-Gawryłowa-Nieczajka w Krasnymstawie.

Startuje Wakacyjna Akademia Kultury 2020

Centrum Kultury w Siennicy Różanej kontynuuje wieloletnie tradycje artystyczne ziemi sienickiej. Z początkiem lipca uruchamia Wakacyjną Akademię Kultury 2020. W ramach tegorocznej edycji proponuje warsztaty literackie, teatralne, wokarno-ruchowe, fotograficzno-filmowe oraz plener malarski dla czterdziestu uczestników.



Owoce warsztatów w postaci wystawy i pokazów artystycznych zaprezentowane zostaną 12 lipca w Centrum Kultury w Siennicy Różanej. Znajdą swoje miejsce również w specjalnym wydawnictwie będącym podsumowaniem projektu. Efektem warsztatów literackich, oprócz pracy merytorycznej nad wierszami, będą również indywidualne tomiki poetyckie wydane uczestnikom zajęć.

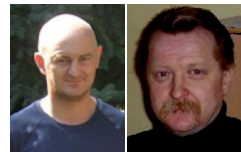
Środki na realizację WAK w wysokości 62 000 zł pozyskane zostały z programu Kultura-Interwencje 2020 zarządzanego przez dyrektora Narodowego Centrum Kultury. Wsparcia finansowego udzielili również Urząd Gminy w Siennicy Różanej oraz Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Siennickiej. Czasopismo artystyczne „Nestor”, jako patron medialny Wakacyjnej Akademii Kultury 2020, więcej informacji przedstawi w następnym wydaniu.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Dofinansowano ze środków
Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu
„Kultura – Interwencje 2020”

Karol Kwiatkowski
Henryk Sieńko



Start 1944 Krasnystaw Część VI

„Futbol ma sens, jeśli w pamięci pozostają mecze, ludzie i zdarzenia”.

Autorzy



Z **Romanem Zdunem** rozmawialiśmy we dwóch. Karol Kwiatkowski jest wychowankiem Startu Pawłów. Po studiach wyjechał do Anglii. Wpada do Krasnegostawu, kiedy jest w Polsce. Dzisiejsze jego hobby, to odwiedzanie futbolowych miejsc kultu - a to Camp Nou, a to Wembley, stadion Liverpoolu widziany godzinę po meczu, a to miejscowość urodzin i dzieciństwa Cristiano Ronaldo. Argentyna czy Azja... A to Krasnystaw i czasy lat sześćdziesiątych tamtego wieku na początek. Kolejny odcinek „ballady” napisaliśmy wspólnie.

- **Który mecz zapamiętałeś jako pierwszy, jako dziecko, kiedy to w chłopaku rodzi się chęć rywalizacji. Jak się tego bakcyła łapało? - zapytaliśmy pewnego dnia Romana Zduna...**

- Oo! To jest bardzo ulotne i trudne do wyjaśnienia. W każdym, młodym chłopcu ten bakcył

pojawia się niespodziewanie. Tego słynnego meczu z sierpnia 1944 nie pamiętam, byłem za mały. W moim przypadku - tak wspominając czas - chyba mogę powiedzieć o jakimś symbolu. Początek lat pięćdziesiątych to lata dzieciństwa. Wiały wichry powojennych przemian... A nam się chciało grać, po prostu grać. Może podświadomie uciekaliśmy od klimatu skażonego wojną. Sport dawał namiastkę wolności. Powtarzam - to było podświadome, bo dzieci niewiele pojmowały z tego, co się dzieje.

- A słynny mecz z Kolejarem Lublin, po którym Start zdyskwalifikowano. Po kolei wszystkich piłkarzy i działaczy. Na młodych adeptach, dzieciach, kibicach zdarzenie to musiało wywrzeć wrażenie, emocje...

- Miałem jedenaście lat, to chyba też jakiś symbol, bo urodziłem się w 1943 roku. W piłce symbolem kary jest karny z 11 metrów. A tu jedenaście lat po urodzeniu taki dramat. W 1954 roku przeżyłem ten mecz z Kolejarem Lublin, bo niemal zlikwidowano drużynę, koledzy się podłamali, niektórzy nasi idole nie mogli grać. Start Krasnystaw, czołowy klub Lubelszczyzny zdegradowano do najniższej ligi. A my, dzieciaki, już marzyliśmy od dawna o grze w Starcie. Zwiertzyliśmy swoją szansę w niedługiej przyszłości. Jeśli powiem, że ganialiśmy po placach i łąkach, to nie będzie przesady. Dziś trudno uwierzyć, ale niektóre mecze kończyły się wynikiem 40:40, czasem nierozstrzygniętym z konieczności, bo nikt nie widział niektórych goli. Nie mogło być inaczej - mecze kończyły się około północy. Trudno nas było ściągnąć z boiska. Nocnymi okrzykami obiecywaliśmy sobie srogie rewanże. Mecze Grobla-Zastawie, czy inne były czasem codziennie. A rewanże mogliśmy grać od razu. Zaraz po północy, sęk w tym, że piłki nie było za bardzo widać.

- Na poważnie rozpoczynał Pan pewnie na przełomie lat 50. i 60. U których trenerów?

- Trener Mieczysław Kacprzak był facetem nieodgadzionym. Po powrocie do Krasnegostawu Tadeusza Zieleńczuka - już gwiazdy lubelskiej piłki, który grał w Lublinianie - i Witolda Kulawiaka - też rodem z Krasnegostawu, który grał w Lubli-

niancie i Hetmanie, i który strzelał gole Legii Warszawy, Start odzyskiwał pozycję po dramacie roku 1954. Ja miałem w 1960 roku 17 lat, wówczas już był bakcył nie tylko ganiań i trenowania, ale i pragnienie gry w seniorach, u boku Zieleńczuka i Kulawiaka. Byłem szybki wśród rówieśników, wielu starszych kolegów chwaliło mnie, to także działało na wyobraźnię i ambicję trenowania. Wprawdzie nie było radia i telewizji, a prasa rzadko o nas pisała, ale był taki „ówczesny Internet” - wieść gminna, czasem plotka, informacje szybko się rozchodziły, a w środowisku sportowym małego miasteczka jeszcze szybciej. Były przecież pijalnie piwa, bary, msze, wesela, chrzciny, szkoły, urzędy. O piłce gadało się wszędzie.



„Piłka nożna ma sens, kiedy w pamięci pozostają mecze, ludzie i zdarzenia” (autorzy).

- Później był turniej stolic? I gościnne występy w barwach Chełma. Jakie wrażenia zostały w pamięci. Przecież graliście przeciwko najlepszym?

- Z Krasnegostawu było nas tam czterech - bramkarz Stasio Stojański, obrońca Stasio Karpiński, Józio Orkiszewski i ja. Moje piłkarskie „akcje” wzrosły, jak zawsze pokazałem szybkość i przebojowość. Byłem jeszcze nastolatkiem i znów mnie chwalono wśród dorosłych. Jak miałem z rywalami kłopoty z lewej strony ataku, przechodziłem na prawą. Czulem się dowartościowywany, zyskiwałem w oczach starszych, mówiono, że będę następcą najlepszych.

- Na początku lat 60. Start wywalczył z roku na rok dwa awanse, do których poprowadził trener Janusz Hernik?

- Świetny fachowiec. Dobre lata. Ja miałem ledwie osiemnaście lat, bakcył związany z futbolem już działał. Już za trenera Kacprzaka potrafiłem się obrażać na cały świat, kiedy trener nie wystawiał mnie do składu. Mówiłem, że kończę karierę, jak każdy chłopak, kiedy ktoś podrażni jego ambicję. Pamiętam, że kiedyś strzeliłem hattrick, trzy gole w jednym meczu. Byłem wniebowzięty, już pewny, że nikt mi nie podskoczy i w kolejnym meczu zagram w składzie. A tu trener Kacprzak pominął mnie. Ja się normalnie rozplakałem jak bóbr! W moim przypadku walka o awanse ligowe stała grała z emocjami odejścia do wojska.



Start Krasnystaw na obozie zimowym. Trzeci od prawej leży Roman Zdun. To podczas wyjazdu na ten obóz doktor Tadeusz Bis testował „Mariańcia” na odwagę.



Start Krasnystaw - Motor Lublin / lata 60-te

- Czym dla was była wówczas piłka?

- Tym, czym jest dzisiaj dla młodych. Pasją. Na początku lat sześćdziesiątych Polska walczyła z Jugosławią i ZSRR o awans do mistrzostw świata w Chile. 21 maja 1961 roku zorganizowano nam wyjazd na stadion X-lecia na mecz z ZSRR. Dzisiaj to żaden problem, wówczas taka wycieczka była marzeniem...

START Krasnystaw 1964 (III liga)



* Stoją od lewej:
Jan Winiarski,
Jan Kowalczyk,
Janusz Smolka,
Janusz Karolczak,
Włodzisław Pałk,
Ryszard Kucharski,
Stanisław Karolczak,
Wojciech Koles.

* Leżą:
Ryszard Kucharski,
Marcin Smolczak,
Roman Zdun,
Andrzej Pałk,
Roman Kulek,
Włodzisław Kucharski,
Tadeusz Kucharski.

- Niech pan przerwie, coś panu pokażę. Daje do przeczytania relację z meczu kolegi reportera z Lublina Henryka Szymczyka... Też wspomina mecz z ZSRR...

Łza się w oku kręci, kiedy wspominam rok 1961 i rozegrany na Stadionie X-lecia w Warszawie mecz Polska-ZSRR. Na trybunach zasiadło ponad 75 tysięcy kibiców, a gdzieś u góry trybuny ja wraz z grupą kolegów ze Starego Miasta. Pogoda była nie najlepsza, mżawka i niewielka mgła utrudniająca widoczność. Kibice przynieśli na stadion ileś tam butelek alkoholu i każdy odpowiednio chciał się przygotować do obejrzenia meczu. Nikt z tych 75 tysięcy widzów nie miał wątpliwości, kto wygra. Takie to były czasy. Nikt też nie wiedział, dlaczego arbiter tego spotkania podyktował rzut karny - zresztą słusznie - dla naszych piłkarzy.

Do jedenastki podszedł Ernest Pol, a w bramce stał sam Lew Jaszyn. Seryjnie bronił karne na stadionach świata i był pewny swego. Arbiter gwizdnął i piłka znalazła się w siatce. Kibice oszaleli ze szczęścia, a Jaszyn nie zdążył nawet oderwać nóg od murawy boiska. Po latach, kiedy zakończył przygodę z piłką, rozmawiałem z nim osobiście w jego niewielkim moskiewskim mieszkaniu. To był czas, kiedy zabrano Ałoszcze mieszkanie, puchary, medale, dyplomy i proporczyki. Podobno do Muzeum Sportu. Był wtedy kompletnie załamany. Tylko kibice o nim pamiętali. Było przy tym zawsze dużo, aż nawet za dużo alkoholu. Odwiedzałem go kilka razy, zaraz po tym, jak przeżywał swój dramat. W rozmowach powracaliśmy do meczu w Warszawie. Powiedział: „Obronilem

w życiu wiele karnych, których nie potrafili mi strzelić najlepsi piłkarze świata. Nie wiem, jak to się stało, że po strzale Ernesta zobaczyłem piłkę dopiero w siatce. Ten Pol miał niesamowite uderzenie”.

Ciekawe, czy jeszcze ktoś pamięta, że w przedmeczu tego spotkania zmierzyły się jednastki Lublina i Warszawy. Na trybunach, jak wspominałem, zasiadło 75 tysięcy kibiców. Do dzisiaj nasza reprezentacja nie zagrała przed taką publiką. Wynik miał być tylko jeden. Zdecydowanym faworytem była Warszawa. W dolnych rzędach trybuny „zdzierali” gardła siatkarze pierwszoligowej Lublinianki, a wysoko siedzieli kibice ze Starego Miasta. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, gdyż Lublin wygrał aż 6:1! Przepięknego gola, jednego z dwóch, uderzeniem głową w samo okienko zdobył Jan Janda. Czy to nazwisko lubelskim sympatykom futbolu dzisiaj jeszcze coś powie?



Jan Janda - wychowanek Technika Zamość, ale najlepsze lata grał w Hetmanie Zamość (rys. Eugeniusz Marchewa).

Nieliczni kibice z Lublina oszaleli po meczu ze szczęścia, a ci ze Starówki uczcili to paroma butelkami miodu pitnego z wizerunkiem Bramy Krakowskiej na etykiecie. Kibice spoza Warszawy nagrodzili zwycięstwo lublinian serdecznymi braunami. Należy podkreślić, że bohaterem meczu był zaledwie 17-letni lubelski junior, bramkarz Ruchu Izbica, Adam Suszek. Popisywał się niesamowitymi interwencjami, broniąc z najbliższej odległości m.in. trzy dobitki. Kibice czekający na pojedynek Szymkowiak - Jaszyn wołali: „Suszek do kadry!”.

Pomimo niewątpliwego talentu, Suszek do kadry nigdy nie trafił. Grał w Wiśle Kraków, Czarnych Radom, Starze Starachowice, odnosził także sukcesy w bramce Motoru Lublin. Aż 23 spotkania rozegrał w kadrze juniorów, w tym w pięciu oficjalnych spotkaniach międzypaństwowych. Występował z takimi piłkarzami jak Włodzimierz Lubański, Zygmunt Anczok, Andrzej Jarosik, Zygmunt Maszczyk i inni, którzy trafili do pierwszej ligi, a Suszek był na dalekim zapleczu. Był też mistrzem kolejarki w 1960 roku. Ten niespełniony talent, o którym mówiono, że miał zastąpić Szymkowiaka, zmarł tragicznie.

Siedemdziesiąt tysięcy ludzi śpiewało „Sto lat!”. Wracające z meczu autokary śpiewały po swojemu. Rywal był ówczesnym mistrzem kontynentu. Dla nas było to niesamowite wrażenie, przecież nie było telewizji, czasem tylko słuchało się radia, kiedy był Wyścig Pokoju. Te relacje z wyścigu też wpłynęły na życiorysy wielu kolegów. Przecież sekcja kolarska w Starcie była jedną z najlepszych w województwie. A ten mecz na stadionie X-lecia jest jak film, który bierze się z szuflady, wkłada do głowy i ogląda. A na stadionie, obok mistrzów Europy grali bohaterowie lokalnej piłki z Lublina - Adaś Suszek i Jaśko Janda. Grywali przecież w Krasnymstawie, w Izbicy, w Zamościu. Czytałem przed chwilą i jakbym po raz kolejny przeżywał lata sześćdziesiąte.

- Start grał nadal w B Klasie. Wreszcie przyszedł dobry sezon, ale awans przegraliście. W 1961 awansowaliście, były reorganizacje, wreszcie znaleźliście się w Klasie A. Październik 1961. Polska przegrywa w Warszawie z RFN w eliminacjach olimpijskich 0:2. Jedną z bramek strzela legendarny dzisiaj piłkarz Helmut Haller. Tego samego dnia w niedalekim Łopienniku wódz Władysław Gomułka otwiera kanał Wieprz-Krzna, budowany od 1954 roku... Tymczasem Krasnystaw świętuje wygraną z Hetmanem Zamość, który przyjechał w najmocniejszym składzie - mimo, że oficjalnie był to team rezerwowy. Z rezerwowych Hetmana zagrało tylko czterech graczy. Zamość miał nie dopuścić do awansu. Do przerwy było 1:1, a gole wbili Zieleńczuk i Dybała dla Hetmana. Po przerwie Zieleńczuk strzelił gola na wagę wygranej. Po siedmiu latach Start ponownie

zdobywa awans. Pamięta pan? W relacji dla „Kuriera” „telefonia” przeinaczyła nazwisko bohatera meczu - z Zieleńczuka zrobiono Zielonkę.

- Co to był za mecz! Graliśmy w czołówce, a Zieleńczuk był snajperem numer jeden - razem strzelił ze 30 goli. Pamiętam, że w świetnym meczu z Wisłą Puławy, w którym strzeliłem jedną z bramek było 5:2. Tego roku wybornie zagrali Władek Patyk i Kulawiak. A kto wówczas grał w Hetmanie? Słynny „Parada” w bramce, czyli Walter Bluszcz, Czesław Gajdek, o którego walczyły wszystkie kluby w województwie. Oczywiście z wielką pomocą partyjnej prasy. Marian „Maryśka” Skonecki, który później zostanie naszym trenerem, Jerzy Styczyński, Stanisław Dybała. Pierwszy Hetman chwilami był wiceliderem w walce o II ligę. Nie wiem, może to otwarcie kanału Wieprz-Krzna poniosło nas do tej wygranej. Trwała reorganizacja, każdy mecz i każde miejsce w tabeli mogło dać awans. Tak jest do dzisiaj.

- W sezonie 1962/63 w meczu z Technikiem w Zamościu 6:2, strzelił pan 3 gole, Zieleńczuk dołożył dwa, Rysio Bombolewski jednego.



Do Łopiennika przyjechał „partyjny wódz” Władysław Gomułka.

- Wygraliśmy też ze Stalą Kraśnik 1:0 po голу Zieleńczuka, Gwardią Lublin, Chełmianką. To był świetny rok. To był ten sezon, kiedy reformowano nadal rozgrywki, które to reformy rozpoczęto w 1961 roku. Z rund wiosna-jesień, nasze piłkarstwo przedstawiało się na jesień-wiosna. Nade mną wisiało widmo „pójścia w kamasze”. Czasem udawało się odroczyć służbę, ale mundur czekał. A tu przytrafił się awans po słynnym meczu z Lewartem Lubartów. Wygraliśmy 3:0 po golach Zieleńczuka, Szewczaka i Kołcza. Co to była za radość! To była III liga na III poziomie rozgrywek. Dla przykładu dzisiaj Start gra w V lidze na VI poziomie rozgrywek. Święto, wiwaty, całe miasto było szczęśliwe. Temat piłki wciskał się wszędzie.

- Niestety, dzisiaj już patrząc z perspektywy, można powiedzieć, że sukces bez zaplecza organizacyjno-finansowego, to raczej porażka (?).

- Tak, bo jesteśmy mądrzejsi o perspektywę czasu. Bo w każdym dziesięcioleciu był sukces, a nie mogliśmy tego przekuć na normalność. Ja musiałem w końcu odbębnić wojsko. Trafiłem na Wybrzeże. Chodziłem na mecze Arkonii Szczecin, poznałem defensora Arkonii Gogacza, świetny kolega. W różnych okolicznościach miałem kontakt z Flotą Świnoujście. Start Krasnystaw tymczasem po spadku z III ligi, która okazała się za silna, pałętał się po niższych klasach. Najzdolniejsi piłkarze szybko odchodzili do mocniejszych firm. Po Lublinie, najsilniejszym ośrodkiem szkoleniowym był Kraśnik. Tam też trafił Jurek Zaprawa, w pewnej chwili największy talent bramkarski w województwie. Próbował sił w Stali Jurek Furgała, na stałe osiadł tam Rysio Dyjak. Stał w latach 60. biła się o II ligę, była blisko awansu - niestety, Kraśnik to było niepokorne politycznie miasto. Podobnie jak Krasnystaw w latach 50.

- W przestrzeni historycznej Start nie osiągnął wymiernych i porównywalnych z ówczesnymi wyników. A przecież ma szersze możliwości treningu i rozwijania umiejętności.

- Polska się zmieniła, dzisiaj jest inaczej i chyba tak samo trudno zbudować porządną zespół

ligowy. Służby wojskowej nie ma, piłka jest inna, transport na mecze inny. Ale dzisiaj też niemal każdy piłkarz w każdym miasteczku zdobywa wykształcenie. Uczy się, studiuje... Wnosi do drużyny wszechstronne umiejętności sportowe i intelektualne.

- Wówczas na przykład problemem był transport, wyjazdy na mecze... Jan Soroka z Włodawianki opowiadał mi, że na przykład z Włodawy do Szczepieszyna jechali koleją. Nocowali w stodole u sołtysa. Start też jeździł z przegodami?



Podróż na mecz - dzisiaj do Tarnobrodu jedzie się godzinę, wówczas trzeba było wstawać o czwartej rano.

- Oj, czasem były kłopoty z transportem. Kiedy prezesem był Zieńkowski, który pracował w milicji, było łatwiej. Bo człowiek czekał na kolejny mecz przez tydzień i nagle obwiał się, że nie pojedzie na mecz, bo nie było transportu. A wiadomo, asfaltu nie było na lokalnych trasach, „kocie łby” i samochody ciężarowe z plandeką. Czasem stało się pod plandeką kilka godzin i później trzeba było grać na nogach „z waty”.

- Boiskowe przyjaźnie z kolegami i rywalami?

- Zostają na zawsze, choć jak wszędzie ludzie rozjeżdżają się po świecie. Będąc w wojsku, kolegowalem się z Gogaczem, wówczas świetnym obrońcą Arkonii Szczecin. W Arkonii grał wówczas też Marian Mańko, wyśmienity napastnik, który wyjechał do USA.

- Jak wspomina pan trenerów?

- Każdy trener czegoś nowego nauczył. Kacprzaka wspominam jako trenera numer jeden. Wprowadził mnie i przeprowadził przez dorosły futbol. Dał szansę gry w seniorach, kiedy Witek Kulawiak „Dziadek” złamał nogę. Nawet to, że się przez niego rozbeczałem, dzisiaj wspominam z sympatią. Kiedyś w meczu mogła być jedna zmiana, dzisiaj cztery. Kacprzak szybkimi piłkarzami rozgrywał mecze taktycznie. Cekał, kiedy rywal się męczył i wpuszczał nowego, szybkiego, który zrobił różnicę. Przy obecnych czterech zmianach, tymi zmianami i świeżością graczy też się rozgrywa taktycznie wynik. Janusz Hernik też wielki fachowiec i skuteczny motywator.

- A kolegów? Matraszek, Kożuszek, Dworakowski, Zieleńczuk, Kulawiak, Gołąbek, Pieszek, Kołcz, Kozyrski, Kowalczyk, Bombolewski, Szewczak, Patyk, Majdan, Sokołowski, Czwóróg, Żukowski, Barański, Matysiak, Stojański, Hołysz, Gołębiowski, później Furgała, Zaprawa, Zaworski, Żurawski... Tak w jednym zdaniu...

- Każdy z nich to inna opowieść sportowa i życiowa. Matraszek ożenił się tutaj i wrócił do Lublina, Kożuszek wyjechał, grał trochę w Wiśle Płock, Kołcz był pierwszym rodem z Izbicy, który zagrał w Starcie. Pewnie, że w Izbicy posądzano go o zdradę, tak jak Figo, kiedy zmieniał kluby w Hiszpanii. Normalne. Rewelacyjnie bronili chwilami: Truszyński, Stojański, Gołębiowski. Zieleńczuk i Kulawiak, wówczas już legendy. Grywali przeciwko najlepszym w kraju - ŁKS-owi, Legii Warszawa. Gdybyście chcieli wszystko spisać, trzeba by było kilku książek. Żurawski to osobna historia - grał w II lidze w Gwardii Lublin. Na tamte czasy to styl jego pracy pasuje mi do stylu, który później w siatkówce stosował Hubert Wagner. Kondycję zdobywaliśmy w lesie. Męczył nas, ale wiedział, co robi.

- Sezon 1966/1967. Trwają nadal próby podniesienia się po spadku z III ligi.

- Podniesienia się. Wszyscy byli mądrzy, trwały kłótnie, intrygi, obrażali się wszyscy na wszystkich. Przecież w Krasnymstawie pojawił się Pionier Krasnystaw. Ale co tam, w Chełmie zniena-

cka powołano klub Radar Chełm. W październiku 1966 roku był już liderem A Klasy, pokonał Pioniera 1:0. W Pionierze grali najlepsi ze Startu Krasnystaw. Grał więc w środku tabeli, Start liżał rany, stać go było na granie i stała ucieczkę przed ostatnim miejscem. Fakt, jak teraz wspomina człowiek ten czas, trochę szkoda. Pionier pozyskał sponsora w „osobie” Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej. Radar i Pionier trochę ubarwiły tabelę. Już nazwy klubów brzmiały dumnie.

- Historie prawdziwe... Anegdoty... Emocje, takie które piszą wspomnienia i książki. Na przykład derby z Gwardią Chełm czy Ruchem Izbica. Roman Gołąbek opowiadał mi, że jak sędzia chciał go wyrzucić z boiska, bo przecież czerwonych kartek nie było, to przedrzeźniał go: - „di di, gołąbek, odfrun!”

- Romek Gołąbek był trudny na boisku, nie chciał go opuszczać, ja ze swoim nazwiskiem też miałem kłopoty, zdun to był solidny zawod. Porównywano mój charakter twardego faceta do charakteru tych, którzy wykonywali ten zawód. Tyle, że ja na boisku byłem bardzo szybki. Każda decyzja o wygonieniu kogoś z boiska oznaczała „stan zapalny”. A derby? Oo, to były wydarzenia, ulice pustoszały! „Koziarze” rywalizowali z „woziwodami”. Święte wojny były jak w Krakowie Cracovia-Wisła. Ale powiedzmy sobie, który powiat miał już wówczas dwa kluby z III-ligowym doświadczeniem. Jak Gołąbek mówił, żeby psychicznie podenerwować rywali, a kibice kozy wyprowadzali na boisko przed meczem, to tak było. A sympatycy Ruchu nas obrażali od „woziwodów”. Wszystko można było przeboleć, byle wygrać. A w tym najważniejszym momencie to rywale nas wykiwali i utrzymali się w III lidze naszym kosztem. Był szok, bo do końca nic nie wskazywało, że spadniemy. Przegraliśmy wszystkie ostatnie mecze. Trzy albo cztery, a wystarczyło jeden zremisować.

- Kolejny sezon uporczywej walki o powrót na lokalne salony piłki nożnej po roku 1965 i spadku z III poziomu.

- Sezon 1968/1969. Było jak było, graliśmy w tle uporczywej walki Stali Kraśnik o II ligę. To

było coś nienaturalnego, Stał ciągle ocierała się o II ligę. Kiedy była blisko, to coś przeszkadzało. Chyba ich wielkość polegała na trzech rodach piłkarskich: Pulikowskich, Leśniewskich i Dworzeckich. No, ale to miasto chyba miało krechę u jakichś dygnitarzy, zawsze coś przeszkadzało. Nie wiem, może i to, że próbowali grać fair. A tam była przecież polityczna sprawa budowy kościoła, słynna sprawa pomnika żołnierzy Batalionów Chłopskich i pomnika pochłapanego przez ludzi, byli bezczelni do tego stopnia, że potrafili zdobyć kamerę, żeby filmować mecz, bo nie wierzyli sędziom. A z sędziami nikt nie wygra. Walka Stali Kraśnik o II ligę to temat na osobną opowieść. A stała za nimi fabryka łożysk. Była historia i sukcesy w Pucharze Polski, gdzie postawili się mistrzom Polski Polonii Bytom i to na ich boisku. Stać ich było na zabieranie małym klubom najlepszych zawodników. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych i na przełomie z siedemdziesiątymi trafili do Kraśnika: Jurek Zaprawa, wówczas bramkowski talent w regionie na poziomie dzisiejszego Przemka Tytonia, Jurek Furgała, później Rysio Dyjak.

Był na sprawdzianach Rysio Horecki z Ruchu Izbica. Zaprawa i Dyjak zostali w Kraśniku na stałe. Powtarzam - to były inne czasy. Kiedy nam się wydawało, że Józio Orkiszewski zbudował już team nad inne, najlepsi odchodzili, trzeba było łątać dziury, nie zawsze to się udawało. Trzeba było czasu. Dziś jesteśmy mądrze, bo mamy dystans do czasów i przesileń społecznych tamtej ery. A inny bramkarz Witek Mazurek, przecież został wicemistrzem Polski juniorów w Stali Kraśnik. Czasem w gazetach - w poniedziałkowych gazetach można było poczytać, potrafił zagrać jak szalony. Późniejszy awans do reprezentacji Polski Tomka Pomiana, to w gruncie rzeczy efekt podpatrywania talentu i pracy wcześniejszych bramkarskich gwiazd Startu - Zaprawy i Mazurka.

- Zaklików, Janowianka, Tęcza Kraśnik - kibicom chyba się z czasem znudziły jazdy po wertepach...

- Na przykład za Biłgoraj, do Tarnobrogu... To nie było tak jak teraz, kiedy wsiada się do swojego auta i za godzinę lub półtorej jest się na miejscu. Pod koniec lat 60. w Klasie A dobrze grała Unia

Hrubieszów. Była Opolanka Opole Lubelskie, Ruch Izbica... Tam potrafili uratować III ligę w 1965 roku i było im łatwiej, oni rzadko korzystali, zresztą tak jak i my z „obcokrajowców”. Fenomenem jest to, że tak szybko potrafili po rocznych słabościach się podnosić. Zacierala się też powoli wrogość na linii „kozia-rze” - „woziwody”. Po Kołczu przyszedł Orkiszewski, który został trenerem, później Józio Majdan.

- Raz graliście w grupie południowej Klasy A, innym razem w innej.

- Nie, nieraz grupy miały inny skład, a podczas kolejnych rozgrywek inny. W sezonie 1967/68 brylowali piłkarze Tura Milejów. Jeździło się do Urzędowa, Niedrzwicy, Zaklikowa. Stać nas było na środek tabeli.

13. LZS Milanów	9:30	25:70
GRUPA POŁUDNIOWA! Orion		
Niedrzwica — Opolanka 2:3, Tęcza Krasnik — Sokół Zamość 3:2, Roztocze Szczębrzeszyn — Tomasovia 3:0 (v.o.), Hetman II — Sanna Zaklików 0:0, Zadrzew Zawadowska — Janowianka 1:0, Ruch Izbica — Start Krasnystaw 1:2.		
1. Start	40:18	64:27
2. Opolanka	37:11	94:29
3. Ruch	36:12	84:26
4. Sanna Z.	23:23	45:43
5. Hetman II	23:25	43:42
6. Tomasovia	23:25	44:48
7. Tęcza Kr.	22:26	42:44
8. Zadrzew Zaw.	22:26	44:77
9. Roztocze	21:25	40:54
10. Orion N.	19:29	38:59
11. Janowianka	18:36	34:52
12. Sokół Z.	15:33	41:59
13. Orzeł U.	9:30	16:47

Rewanż w Izbicy zgromadził ok. 4 tysięcy kibiców. Start ponownie wygrał 2:1. Wywalczył awans do klasy okręgowej.

- Jednak była to tylko Klasa A...

- Zaraz, zaraz, była I liga i I poziom rozgrywek, II liga i II poziom rozgrywek, III liga i III poziom rozgrywek, Klasa Okręgowa i IV poziom rozgrywek. To znaczy, że klasa A, była piątym poziomem rozgrywek. A na którym poziomie gra teraz Start? Na szóstym. Mając piękny stadion i czołowe w województwie zakłady pracy, zakłady geograficznie ogólnostanowowe - Cersanit, OSM Mleczarnia, cukrownia jest w powiecie, Energoremont, Kartodruk... A tu nie można zebrać pieniędzy na grę w IV lidze.

- Temat do rozważań socjologicznych?

- Na pewno. Bo nie można mówić, że młodzież mniej zdolna, że kibiców nie ma, albo trzeba oszczędzać. Żółkiewka pokazała, że niewiele trzeba, żeby grać w III lidze. Na pewno na dłużej nie stać było gminy na III ligę, ale złote zgłoski w historii się pojawiły. W powiecie tylko Krasnystaw jest przygotowany na grę w IV i III lidze. Tutaj są szkoły, zakłady, orliki... Miasto i powiat mają budżety i powiedzmy sobie szczerze, że ważne inwestycje są zrobione. Młodzieżą, piłką, sportem, ale przede wszystkim pojmowanymi jako profilaktyka zdrowotna, powinny się interesować władze. Krasnystaw to bogaty powiat. Pokażcie mi drugie takie, które ma tyle wielkich zakładów opartych na własnym surowcu, jak mleczarnia, cukrownia, Cersanit. Nie ma ani w Chełmie, ani w Zamościu, ani w Lublinie, że o... wspomnianej Żółkiewce nie wspomnę. Przepraszam z uszczypliwością.

- A przypomina pan sobie mecz życia, taki który powraca we wspomnieniach, który się będzie wnukom opowiadało. Już się opowiada. W przypadku napastnika na pewno takie były. Przecież rozpląkał się pan, kiedy trener Kacprzak posadził pana na ławce?

- Pewnie. Graliśmy z Hetmanem w Zamościu. Hetman wówczas był świetny - grał w nim Janek Jaśko Janda. Kim był dla Hetmana, nie muszę mówić. Grunt, że strzelał gola jak chciał i czasem tyle ile mu się podobało. Jak chciał strzelić pięć to tyle strzelał. Mieli nas w Zamościu skałeczny dwucyfrowo. A tu do przerwy konsternacja - prowadzimy 3:0. Jest git myślałem, żeby chociaż remis był, już wstydu nie będzie. I tak było - najpierw było 3:1 dla nas, później 3:2. Żeby chociaż remis zwycięż - myślałem - to już sukces. A tu 3:3 i cisną nadal... Po co mi były te trzy gole na 1, 2 i 3:0 - dumałem... Wolałbym nie strzelić żadnego, ale wygrać, a jak przegramy to będzie wstyd cholerny. I wówczas po raz pierwszy poszedłem na przebój prawym skrzydłem, bo czasem zmieniałem pozycję. Wyszła mi centra marzenie, w tempo do Ziełęczuka. Strzelił z woleja pod poprzeczkę. Zanim dojechaliśmy do Krasnegostawu, wszyscy znali

wyniki, podrzucano nas. W tamtych czasach kierowcy autobusów kursowych wozili wyniki na kartkach, wyrzucali z okien. Podobne kartki wypadały z okien pociągów. Zawsze ktoś czekał i podawał dalej. To był ówczesny Internet.

- Legendarny piłkarz i trener Opolanki Opołe Marian Drański, rywal z boiska opowiadał mi, że dzielił dobę na trzy części - osiem godzin snu, osiem godzin piłki i osiem godzin pracy. Oczywiście wiele czasu „kradła” rodzina. A przecież w sezonie były jeszcze podróże na mecze...

- Oj tak, podróże bywały romantyczne. Przede wszystkim nie było takich dróg jak teraz, nie było aut, połowa uczestników jezdni to były chłopskie furmanki, latem załadowane zbożem, wyminąć lublinkiem taki zestaw z koniem, to była sztuka. Ale nawet dobry kierowca musiał mieć wyobraźnię, bo konie się ploszyły, bywały nerwowe. Mówi pan, że piłkarze Włodawianki jechali dzień wcześniej do Szczecbrzeszyna pociągami, nocowali w stodole sołtysa w słomie jęczmiennej. Przecież wyjazd do Białej Podlaskiej, czy Tarnobrodu trwał czasem pół dnia. Stało się na pace, czasem przenikliwie zimno było, pierwszeństwo do siedzeń mieli seniorzy, inni stali pod plandeką po kilka godzin, chwytając się żelaznych drutów trzymających plandekę. A później trzeba było grać... A nogi po takim staniu były jak z waty. Tak, słyszałem, że najlepiej było za prezesa Henryka Zierkowskiego, policjanta. Jemu nie odmawiano transportu, nie było najważniejszego - strachu o to, że nie będzie w ogóle czym pojechać. Pal licha kilkugodzinne stanie pod plandeką i nogi jak z waty, pal licha przegraną. Najważniejsze, że się pograło, strzeliło czasem gola, obroniło karniaka. A inne podróże? Na przykład do Izbicy szło się na kamasz, powrót był czasem połączony z zabawą po drodze, z gorącymi dyskusjami w rezerwacjach podczas zabaw. Ale co tam!? Przecież na taki mecz czekało się miesiącami.

- Trudno było mi spotkać pana. Praca w Triticarrze wymagała dyscypliny i obowiązkowości. Zawsze, kiedy jechałem rowerem na trasie Krasnystaw-Stężycza, Krupe-Siennica Nadolna-Krasnystaw, nie odpuszczałem. Ciągnęło mnie

do Wojciecha Kołcza w Małochwieju lub Józefa Orkiszewskiego w Izbicy, po drodze był Marian Szymczak, Władysław Patyk, pani Stępkowska. Romana Zduna spotkałem w 2015 roku na Serbinowie, mijaliśmy się co jakiś czas, bo zamieszkał obok... Nie muszę zasuwać rowerem do Krupego. Wreszcie los nam dopomógł. Już wymiana kilku zdań kazała mi przerwać - nie opowiadaj pan, bo drugi raz tak samo pan nie opowie o Starcie. - To jest samograj - pomyślałem. Wystarczy go „włączyć”, na przykład zadając jakiekolwiek pytanie i później spisać nagranie. Siedemdziesiąt lat plus, a głowa i ciało 50-latk. Mieli rację inni: - Ale ten Zdun się trzyma...

- Nazwisko zobowiązuje. A pożartować też zdrowo. Nie było czerwonych kartek, sędziowie używali różnych forteli, żeby usunąć takiego zapalonego jak Gołąbek piłkarza z boiska. Żartem rozładowywali napięcie, które przecież unosiło się od pierwszej do ostatniej minuty. A w Starcie grał i Kluch, i Zdun, i Gołąbek. Był Kożuszek i Patyk - z każdego nazwiska można było zażartować. Teraz Zdun musi myśleć o młodszych, wnuki to sama radość. Na starość mieszkam na Serbinowie, może dlatego nadal czuję się młodo. Stadion blisko, zapach wsi już w nazwie dzielnicy, He..., choć tak naprawdę przecież takowej w Krasnymstawie nie ma. W żadnym dokumencie nie ma wpisu „Serbinów”. Ja już polubiłem Serbinów. No i jakoś pan mnie spotkał, co się wcześniej nie udawało.

- Młodość też miała swoje prawa. Karierę piłkarskie, zawodowe plany i doświadczenia czasem kłóciły się z prawami sportu, młodości, przecież chłopak też ma uczucia, a te nie zawsze kierują się rozumem.

- Zdecydowanie nie zawsze, powiem nawet, że rzadko kierują się rozumem. W wielu przypadkach pierwsze miłości nie miały szans z piłką, w innych było odwrotnie. Pojawiały się nowinki techniczne, kołchoźniki zastępowały kolorowe odbiorniki radiowe, a tam przeboje. Mój szlagier to „Anna Maria” Czerwonych Gitar. Byłem w wojsku na Wybrzeżu, a wiadomo, to było królestwo muzyki młodzieżowej. „Z brzytwą na poziomki” Klanu nuciło się na łąkach. Zaraz konkurencja nagrała

przebój „Asfaltowe Łąki”. Wiele łąk dzisiaj zamieniło się w betonowo-asfaltowe dzielnice. Przecież Serbinów też kiedyś tonął w błocie, dzisiaj pachnie perfumami i asfaltową trawą. Ale obstaję nadal przy swoim - mój szlagier to „Anna Maria” Czerwonych Gitar.

- Początek lat siedemdziesiątych to nadzieje na lepsze jutro. Ale w sezonie 1973/74 w składzie nie spotykamy już Romana Zduna. Czyżby po zdobyciu awansu do ligi wyższej w 1973 roku, kiedy to pod okiem Józefa Orkiszewskiego Start zanotował 16 wygranych i 6 remisów i wygrał Klasę A. Miałeś 30 lat.

- Przed rozpoczęciem wiosennej rundy 1970 Start został osłabiony. Znow Kraśnik odebrał graczy... Trener Zenon Wesołowski miał do dyspozycji następujących graczy: Jerzy Zaworski, Karpiński, Roman Kokotowski, Stanisław Kokotowski, Perestaj, Zdun, Basiński, Antoniak, Janusz Zaworski, Furgała, Bobryk, Jabłoński, Czajka, Patyk, Słupianek. Zapowiadała się twarda walka o obronę pobytu w Klasie O. Pierwsze mecze ponownie zaskoczyły kibiców. Start, w strugach ulewnego deszczu pokonał u siebie Lewart 1:0 po голу Basińskiego. W Kraśniku ze Stalą II padł remis 1:1 (gol Zaworskiego na 1:0). Wyrównał Anders. Kłęska w Hrubieszowie była do przewidzenia. Unia przegrała przecież u nas 0:4. Trzy tygodnie później Unia miała okazję jeszcze bardziej upokorzyć naszych graczy. U siebie rozgrywała mecz o Puchar Polski. Lecz tym razem Start wygrał po dogrywce 2:1. Jak zwykle, takie mecze nadwyrężają mocno kondycję zawodników, toteż w kolejnym arcyważnym meczu Start przerznął z Turem Milejów (u siebie) 0:1. Spadł na trzecie miejsce od końca tabeli. Strach przed spadkiem zaczął zaglądać naszym w oczy, a przerażenie sięgało zenitu przed meczem z Motorem II Lublin. Gdyby został przegrany, mógł pozbawić naszych zawodników zupełnie motywacji i chęci walki o przedłużenie ligowego bytu. Ściągnięto z Ruchu Izbica Janusza Kossę, który miał wzmocnić ofensywę. Motor przyjechał w zestawieniu, z którym poradziłby sobie i w II lidze - z Mikuliczem, Wilkoszem, Kozłowskim, Famulskim i Garbcem. Ale tego dnia nasi byli nie do ogrania. Emocji nie brakowało, co widać po historii

bramek: 1:0 Furgała (35'), 2:0 Antoniak (50'), 2:1 Mróz (60'), 3:1 Koss (80'), 4:1 Zaworski (86'), 4:2 Mróz (87'). Zaraz później Opolanka ograła nas bezlitośnie 5:0! (ach ta przekora sportowa - po co było im prezentować ten awans?). Jednocześnie trzeba było rozegrać mecz pucharowy z Hetmanem Zamość, wówczas solidnym zespołem III ligi. Czerwcowy mecz o wejście do czwórki najlepszych zespołów PP na szczuble województwa zgromadził w Krasnymstawie komplet kibiców. Przecież Hetman grał o rzut kamieniem od Krasnegostawu. Goście przybyli w najmocniejszym zestawieniu z Wężykiem i Jandą na czele. Ale tego dnia nasi przejechali się po gwiazdach Zamościa i okolic i wygrali 3:2, prowadząc do przerwy 2:0. Bramki strzelili: Henryk Mazurek, Furgała i Basiński. Po sąsiedzku - Chełmianka w innym półfinale przegrała ze Stalą Kraśnik 0:1, a gola wbił Pulikowski. Los połączył zaraz Start ze Stalą w walce o finał. Mecz rozegrano w Krasnymstawie, a ulewa sprzyjała lepszym technicznie gościom. Mimo anormalnych warunków, nasi zagrali świetnie, ale tak świetnie, że tego dnia mogli strzelić tylko jednego gola. Bo pech i wszelkie inne licho uwzięło się tego dnia na Start. Napastnicy bombardowali bramkę, a gole strzelali goście. Na uderzenia Kaczana, Pulikowskiego i Wyrwy Start odpowiedział tylko trafieniem Henryka Mazurka. Szansa awansu odjechała, ale emocje i znakomita postawa Startu w pucharach zostały zapamiętane i zapisane w kronikach. Bo był to znakomity sezon dla naszej piłki. W meczach pucharowych z pewnością wyróżniał się Henryk Mazurek, błyskotliwy skrzydłowy. Później ten utalentowany piłkarz zostanie prezesem znanej w kraju Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Kasiłanie. Start, pokonując w Świdniku Avię II 1:0 (gol Antoniaka) zapewnił sobie ligowy byt.

- Następny sezon był lepszy?

- Wiosenną rundę 1972 w Klasie A rozpoczęliśmy od 3:0 z RKS Rejowiec.

- Przypomnę, korzystając z notatek - później było jeszcze lepiej. Z jedenastu spotkań, Start wygrał aż osiem, między innymi: 7:0 z Famegiem Zwierzyniec, 7:2 z LKS Modliborzyce, 6:1 z Sanną Zaklików. Trzy

remisy: z Zadrzewiem Zawadówka 1:1, Ruchem Izbica 0:0 (cienka zemsta!) i Janowianką Janów Lubelski 2:2 dały zespołowi pierwsze miejsce w tabeli i awans do klasy okręgowej. Drugi w tabeli Zadrzew zanotował 8 punktów mniej. Trenerem tego zespołu był Józef Orkiszewski, a jego barwy najczęściej reprezentowali wówczas: Witold Mazurek, Jerzy Zaworski, Józef Majdan, Roman Kokotowski, Adolf Kaczmarek, Waldemar Miller, Andrzej Sidor, Jerzy Basiński, Ludwik Antoniak, Jerzy Furgała, Waldemar Mojski, Zbigniew Mandziak, Bogdan Słupianek, Tadeusz Sawa, Roman Zdun, Andrzej Haluch. Start nie przegrał żadnego meczu, notując 16 zwycięstw i 6 remisów. Stosunek goli 67-16.

- Kończyłem karierę ze Stanisławem Karpińskim, który od czterech lat był kapitanem drużyny. W 1973 roku nie grał przez cały sezon, niemniej miał udział w powtórny awansie Startu do Klasy O. Jednocześnie nasi gracze świetnie grali w Pucharze Polski, awansując aż do finału na szczelbu województwa lubelskiego. Byli więc w czwórce najlepszych zespołów tej rywalizacji, eliminując po drodze kilka wyżej notowanych przeciwników. Start pokonał Tomasiów 3:1, Farneg Zwierzyniec 4:0, trzecioligową Avię Świdnik 1:0, wreszcie także trzecioligową Wisłę Puławy 4:2, a rozstrzygając zawody już w pierwszych 45 minutach, kiedy to gospodarze wpakowali gościom trzy gole, nie tracąc ani jednego. Bramki w tym spotkaniu strzelili: Ludwik Antoniak - 2, Jerzy Basiński i Tadeusz Sawa. W Krasnymstawie zapanała wielka radość, Start był o krok od sprawienia wielkiej niespodzianki w historii rozgrywek w Pucharze Polski. Jego przeciwnikiem w walce o finał był rezerwowy zespół Avii Świdnik, a więc Avia II. Oczywiście ów rezerwowy team trzecioligowców wzmocnił się kilkoma graczami wcześniej wyeliminowanymi przez Start, na co zresztą prawie zawsze zezwalały przepisy PZPN. Start zagrał znakomity mecz i o mały włos pokonałby Avię II. Jeszcze przy stanie 0:0 nie wykorzystali kilku wyborczych okazji. Tymczasem jedna z kontr Avii zakończyła się przypadkowym strzałem późniejszego gwiazdora Lucjana Oskroby. Marzenia o finale zostały brutalnie przerwane. Pech!!! Nie pomogła rewelacyjna forma bramkarza Jerzego Zaworskiego.

- Obyło się bez pożegnania?

- Kiedyś trzeba było powiedzieć koniec. Lepiej odejść w chwale, po sukcesie niż po cichu i ukradkiem. Kończył też grę Stasio Karpiński, razem spędziliśmy na boisku kilkanaście lat. Młodzi napierali, zespół był rozwojowy... Nie zostawialiśmy spalonej ziemi. Dzisiaj wielu uznaje, że lata siedemdziesiąte były najlepsze w historii, ale prawda jest taka, że każde dziesięciolecie miało swoich bohaterów, gwiazdy, sukcesy. Każde dziesięciolecie zapisało swoją historię. Każdy trening, każdy mecz, każdy sezon, awans, porażka... Historia Startu to ważny fragment historii miasta i powiatu. To przede wszystkim sport, zdrowie, emocje, pasja, także miłość, przyjaźnie, uczucia, kibice, to różne koleje losu drużyny. Setki sportowych opowieści, przygód, problemów. Zdaję sobie sprawę, że opowiadam o małym fragmencie tej historii, ale wiem, że wielu ludzi to zacieka, też zechcą popowiadać.

Zdzisław Mróz: *Byłem jednym z twórców sukcesu lubelskiej piłki nożnej w 1967 r. Wówczas, jako jedyny z drużyny, byłem studiującym (na Wydziale Zootechnicznym AR Lublin) piłkarzem RKS Motor Lublin, a gra w piłkę była moją wielką pasją, a nie drogą do zdobycia fortuny. Nie miałem ani indywidualnego toku studiów, ani jakichkolwiek środków finansowych, bo ówczesne prawo zabroniło zatrudnienia mnie w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie, jak to było w przypadku moich kolegów z drużyny. Stąd moja kariera zawodnicza nie trwała długo. W latach 1974-1977 ukończyłem także AWF w Warszawie i zajmowałem się szkoleniem młodzieży w RKS Motor Lublin. Moimi wychowankami są m.in. były reprezentant Polski - Modest Boguszewski, Marek Leszczyński czy Jerzy Gieroba.*

Po ukończeniu studiów pracowałem na Uniwersytecie Przyrodniczym (dawna nazwa Akademia Rolnicza) w Lublinie, gdzie w 1978 r. uzyskałem stopień doktora nauk przyrodniczych.

Od początku lat 80. w zasadzie porzuciłem zawód trenera w RKS Motor Lublin i po kilku latach wyemigrowałem najpierw do Norwegii, Anglii, aby na stałe osiedlić w Holandii. Tam pracowałem na-

ukowo na Uniwersytecie Wageningen - w Centrum Badań Doświadczalnych Lelystad i dzięki temu zrobiłem wspaniałą karierę naukową, poznałem praktycznie cały świat i jestem autorem kilku setek publikacji naukowych, a także patentów.

Jestem obecnie na emeryturze i wiem, że młodość przygoda z piłką dała mi wiele wzruszeń i pozwoliła ukształtować twardego charakter. Mam obecnie jeszcze wiele energii i uprawiam sport rekreacyjnie praktycznie codziennie. Pozdrawiam wszystkich swoich kolegów z ówczesnej reprezentacji Lublina i RKS Motor, którzy w latach 60. i 70. budowali ze mną podwaliny późniejszych sukcesów lubelskiej piłki nożnej.

Oby obecni piłkarze umieli kierować się tak wielką pasją, jaką mieli ich dziadkowie!



Z lewej Zdzisław Mróz, jeden z aktorów wspomnianego meczu, w środku inż. Jerzy Chrzanowski - trener Avii Świdnik i „bulionowych chłopaków”, którzy zdobyli złoty medal OSM 1967.

- Przypominasz sobie taki mecz?

6 czerwca 1971 (sezon 1970-1971) Start Krasnystaw - Motor Ib Lublin 4:2. Bramki: 1:0 Furgała (35'), 2:0 Antoniak (50'), 2:1 Mróz (60'), 3:1 Koss (80'), 4:1 Zaworski (86'), 4:2 Mróz (87'). Sędziował Włodarczyk (Lublin). Widzów 1000.

Start: Mazurek, Patyk, Roman Kokotowski, Karpiński, Bobryk, Zdun (Jabłoński), Jerzy Basiński, Zaworski, Antoniak, Furgała, Strawa (Koss).

Motor: Mikulicz (Szablowski), Szewczyk, Wilkosz, Kozłowski, Mróz, Mazik, Pasek, Iwanek, Buda, Famulski, Garbiec.

Rezerwy Motoru w takim zestawieniu były naprawdę silnym teamem. Pierwszy zespół Motoru grał w tym samym czasie z Unią Racibórz, był w górnej połowie tabeli II ligi. Wówczas był taki dziwny zaciąg „obcy”, którzy chcieli wywalczyć I ligę. Byli: Śpiewok, Kaczewski. Buda... Takie sławy jak Famulski, Mikulicz i Garbiec musiały pogrywać w zespole rezerw. Także złoty medalista Spartakiady Zdzisław Mróz.

Po pierwszej, raczej niemrawej połowie, w drugiej emocje rozgrzały widownię. Nie tylko na liczbę strzelonych goli, ale przede wszystkim wysoki poziom gry i piękne gole. Sprawozdawca wyróżnił w zespole gospodarzy bramkarza Mazurka oraz Patyka i Romana Kokotowskiego.

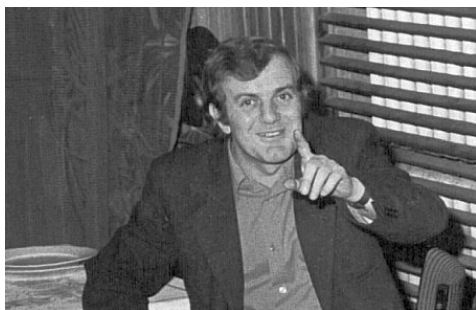
- Dzisiaj można powiedzieć, że w tym meczu zagrało wielu, którzy tworzyli piłkę w Krasnymstawie i Lublinie. Różnie się potoczyły losy aktorów meczu.



Start - Furgała, Koss, Sidor, Strawa, Karpiński

- Do emerytury pracowałem w Triticarrze. Chodziłem twardo po ziemi, jak widać Zdzisław Mróz też zrozumiał, że i w życiu, i w piłce są priorytety.

- Trudno było cię spotkać. Jeździłem rowerem na trasie Krasnystaw-Stężycza-Krupe... kilka razy, może kilkanaście, bo zdrowie się domagało pedałowania. Nigdy Zduna nie zastałem, ale już za pierwszym razem „wstąpiłem” w drodze powrotnej do Wojciecha Kołcza, później Mariana Szymczaka, później do Władysława Patyka, Józefa Zaprawy. Tak powstawała książka o Starcie. Aż tu nagle Zdun zamieszkał po sąsiedzku na Serbinowie i sam mnie zaczął.



Pierwszym kandydatem na trenera Startu po Józefie Orkiszewskim był Janusz Zaworski.

- No, ciekawie układają się drogi piłkarskich przygód. Pamiętam, że jak pierwszy raz się spotkaaliśmy, nie chciałeś, żebym ci opowiadał o Starcie.

- Bo po kilku zdaniach stwierdziłem: - jesteś samograjem, co oznacza, że opowiadasz tak, że wystarczy słuchać, nagrać, a później tylko przenieść na papier.

Krzążające się przy rozmowie wnuki zaraz podchwyciły temat: - Dziadek, ty byłeś „Beksa”?

- Gdyby Robert Lewandowski był już najlepszy i trener by go nie wstawił do składu, pewnie też by się rozbechał - zakończył Roman Zdun, jeden z tych którzy „pisali” historię Startu Krasnystaw.

*Karol Kwiatkowski
Henryk Sieńko*

Zdjęcia z archiwum autorów i „Startu 1944 Krasnystaw”.

Jan Orłowski

Pieśń o świętym Janie Pawle II

Przez wierny naród umiłowany,
święty Jan Paweł, syn polskiej ziemi,
drogie jej imię w świecie rozślawił,
ducha umocnił w nas i odmienił.

Refren: Umiłowany święty Patronie,
niech nas wspierają modlitwy Twoje,
przez Twoje prośby niech na nas spłyną
łask Chrystusowych obfite zdroje.

Tyś wzywał naród ducha nie gasić
i świętą wiarę w sobie odnowić,
w bezbożnym świecie Kościół ożywić,
do serc otworzyć drzwi Chrystusowi.

Nasz święty Pasterz budził odwagę
w świecie zwątpienia, triumfu złych mocy,
uczył jak trzeba z pomocą Bożą
zgasłej nadziei progi przekroczyć.

Kiedy przybyłeś do nas, Pielgrzymie,
powiew wolności przez kraj nasz przeszedł,
naród powtarzał Twe wielkie imię
i szły za Tobą rodaków rzesze.

Dziś znów nasz święty Orędowniku,
trzeba nam mocy Twojego słowa,
żaru Twej wiary, by świat dzisiejszy
na wiek od zguby i zła uchronić.

2020

Wadowice

Wadowice - ciche miasto nad Skawą,
od czasów Wadowity Marcina

nikt w nim nie zasłynął.
I pewno nadal w świecie
nikt by o nim nie słyszał,
gdyby tu Karol Wożyła
na świat nie przyszedł.
Któż wiedzieć to mógł,
że ów kapłan z Wadowic
wzniesie się na tron Piotrowy
i że światową okryje sławą
swe miasto rodzinne nad Skawą.

„Ducha nie gaście!...”

„Musicie być mocni mocą wiary...” -
to było Papieża Polaka wołanie,
gdy jako pielgrzym przed nami stanął.
Słowa do głębi serc zapadały
i z mocą dzwonów rozbrzmiewały -
„Ducha nie gaście!...”
A owoc wydały za lat kilkanaście...

Jan Paweł II i Ali Agba

Jak trudno nam wciąż pojąć
ten czyn zbrodniarza,
który ogromem podłości
i absurdem zła przeraża.
Kim przeto był ów szaleniec?
Czy chciał być sławnym bandytą,
czy za złecone zadanie
dano mu zapłatę sowitą?
Czy z nienawiści ślepej
celował w Papieża serce?
Papież cudem ocalał, w więzieniu
odwiedził niedoszłego mordercę
i jego grzech mu przebaczył.
Czyn ten nie każdy pojąć może...
A świat zdumiony zobaczył,
jak można być CZŁOWIEKIEM
na podobieństwo Boże!

Dar niebios

Niezapomniany święty Rodaku,
Ty chyba według Bożego planu
byłeś nam w naszej wielkiej potrzebie
jako dar szczodry z niebios posłany.

W braku nadziei, w zwątpieniu ducha
naród nasz pragnął serc pokrzepienia,
Ty rozbudziłeś w rodakach wiarę
w bliską odnowę ojczystej ziemi.

I ona przyszła, święty Pasterzu
i nasz Zwiastunie dobrej nowiny.
My zaś w swych sercach zachować chcemy
błogosławione Twe słowa i czyny.

Papież i młodzież

Spływała radość do serc i duma,
jak rzesze młodych szły za Papieżem.
Może ten zapal nie całkiem umarł,
ale czy wszyscy wytrwali w wierze?

Krzyczeli chórem: „Zostań z nami!”,
ale czy teraz u swoich dzieci
potrafią płomień niedawnej wiary
w ich młodych sercach rozniecić?

Na drodze dobra i świętości

Nasz Wieki Papież w życiu swoim
u bardzo wielu ludzi
świętobliwością swoją
szczerzy podziw i szacunek budził.

Życiem swym świadczył, ile dobra
dokonać każdy z nas może,
gdy tego chce i gdy jest natchniony
mocą Opatrzności Bożej.

Pielgrzymki Papieża do ojczyzny

Wielokroć jak do swego domu
przybywałeś do nas Pielgrzymie.
Tu wiarą wiekową ożywione
miliony serc wielbiły Twe imię.
Przybywałeś głosić pasterskie słowo,
umacniać wiarę w żywot wieki
i byłeś miłością tu napelniony
w sercu swym jak biel anielska czystym.

Po odejściu Jana Pawła II

Była z nami ufność i nadzieja,
kiedy nasz Papież
żył z nami na ziemi,
ale gdy odszedł do Domu Ojca,
zostaliśmy wtedy
jakby stokrotnie osieroceni.
Gdy do nas przybywał,
znikały nasze troski przyziemne,
kiedy mogliśmy ujrzeć
Jego oblicze dobrocią
i świętością promienne.
To było wielkie szczęście,
że był wśród nas,
że był wciąż taki polski
i taki nasz.

ks. Henryk Kapica

Ksiądz Prałat Piotr Kimak



Ks. Prałat Piotr Kimak urodził się 30 kwietnia 1931 roku w Obroczy, parafii Zwierzyniec, miejscowości rodzinnej ojca Jana Kimaka. W tej to parafii został ochrzczony 10 maja 1931 roku. Był najstarszym dzieckiem rodziców, Jana i Bronisławy z domu Pupiec. Młodsze rodzeństwo to dwie siostry: Zofia (ur. 1936 r.) i Józefa (ur. 1944 r.) oraz najmłodszy Henryk (ur. 1946 r.). W roku 1938 rozpoczął naukę w Szkole Powszechnej w Obroczy. W maju roku 1939 przenieśli się do rodzinnej miejscowości matki - do Potoczka, parafii Krasnobród.



Ks. Piotr Kimak - młody kapłan.

Rodzice pracowali w gospodarstwie, uprawiając 4,96 ha ziemi, w tym 3,5 ha ziemi ornej. W Potoczku Piotr kontynuował naukę w szkole podstawowej do roku 1943, kiedy nastąpiła pacyfikacja Zamojszczyzny i wysiedlenie przez Niemców do obozów pracy. Niemcy wywozili mieszkańców Zamojszczyzny jako niewolników do pracy w Rzeszy, a bardziej niebezpiecznych (według nich) do obozów koncentracyjnych. Rodzina Kimaków uciekła z obozu do lasu. Szczęśliwie się złożyło, że przed wojną dokonała się komasacja Potoczka i rodzina zamieszkała w Kolonii Potoczek, która nie była naniesiona na mapy. Wrócili do swojego domu, przez nikogo niezamieszkałego i całą rodziną pracowali u nasiedleńców niemieckich. Byli to przybysze pochodzenia niemieckiego z Węgier i Rumunii. W czasie II wojny światowej

do I Komunii św. przygotowała go nauczycielka i w zwykły dzień tygodnia przyjął Ją wraz z grupą dzieci z rąk księdza Michała Popiel-Popielca w Krasnobrodzie. Po wojnie, w roku 1946 ukończył szkołę powszechną w Suchowoli.

Z racji ciężkich warunków powojennych, naukę kontynuował w domu, a w 1947 roku w gimnazjum dla dorosłych. Po ukończeniu pierwszej klasy przeniósł się do Państwowego Liceum Ogólnokształcącego im. Hetmana Jana Zamojskiego w Zamościu, a w ostatniej klasie przeszedł kurs nauczycielski. Świadectwo dojrzałości otrzymał w roku 1951.

W tymże roku zdaje egzamin na świeckiej uczelni w Łodzi i zostaje przyjęty na studia. Jednakże wstępuje w niego duch Pana i rozpoczyna studia w lubelskim seminarium duchownym. Proboszcz parafii Krasnobród, ks. prałat Ludwik Liwerski, o kandydacie do kapłaństwa napisał pozytywną opinię: *Piotr Kimak pochodzi z pobożnej rodziny, w której się wychował i wziął silną wiarę i umiłowanie Kościoła. Polecam go jako młodzieńca dobrych obyczajów, pobożnego, pracowitego i posłusznego.* W roku 1954, na IV roku studiów seminaryjnych odbył trzytygodniową praktykę duszpasterską w zakresie katechizacji w parafii Targowisko. Tamtejszy ksiądz proboszcz wystawił mu bardzo pochlebną opinię, którą przekazał do seminarium duchownego w Lublinie. Piotr na zakończenie tej religijnej edukacji zorganizował specjalną akademię, na którą zaprosił nie tylko dzieci, ale także rodziców i parafian. Podobnie, bardzo dobrą opinię o alumnie Piotrze Kimaku przesłał krasnobrodzki proboszcz ks. prałat Ludwik Liwerski przed święceniami subdiakonatu, diakonatu i święceniami kapłańskimi, podkreślając, że Piotr jest *młodzieńcem dobrych obyczajów, pracowity, obowiązkowy, posłuszny i pilny.*

Święcenia kapłańskie otrzymał w katedrze lubelskiej z rąk biskupa Piotra Kałwy 22 grudnia 1956 roku. Prymicje sprawował w sanktuarium rodzinnym w Krasnobrodzie w Boże Narodzenie, a na św. Szczepana w kościele filialnym w Potoczku. Msza św. prymicyjna w parafii urodzenia i chrztu św., czyli w Zwierzyńcu, miała miejsce 6 stycznia 1957 roku.

Jako wikariusz pracował w czterech parafiach. Najpierw otrzymał nominację do para-

fii św. Józefa w Markuszowie. Tam pracował od 04.01.1957 do 10.06.1961 roku. Jak wspominał ks. Piotr i starsi tamtejsi parafianie, pracował gorliwie i wiele, a to z racji podeszłego wieku tamtejszego proboszcza. Dość krótko, bo tylko rok, był wikariuszem w parafii Matki Bożej Szkaplerznej w Łabuniach, a mianowicie od 10.06.1961 do 2.07.1962 roku. Następne dwa lata jako wikariusz służył wiernym w parafii św. Mikołaja w Hrubieszowie - od 02.06.1962 do 01.07.1964 roku. W tymże roku zostaje przeniesiony do parafii św. Mikołaja w Szczepieszynie i tam jest wikariuszem aż pięć lat, do 23 czerwca 1969 roku. W tym czasie rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym KUL-u w roku 1968. Ukończył je 18 marca 1975 roku, otrzymując tytuł magistra teologii.

23 czerwca 1969 roku ks. Piotr Kimak otrzymuje nominację na administratora parafii w Targowisku. Jest w tej parafii krótko, bo tylko półtora roku. Pamiętają go parafianie z czasu, gdy jeszcze nie był księdzem, a w tej parafii katechizował dzieci. Szybko zyskuje zaufanie i przychyłność społeczności parafialnej. Postanawia wraz z radą parafialną, by odnowić wnętrze kościoła. Tak też się dzieje, kościół został pomalowany. 13 maja 1970 roku ksiądz Piotr zostaje powołany na wicedziekana dekanatu turobińskiego.

Historia mocno przyspieszyła, bowiem w listopadzie 1970 roku umiera proboszcz Turobina ks. Wincenty Feliks Pawelec. Ks. Piotr Kimak otrzymuje 29 grudnia nominację na administratora parafii Turobin i równocześnie na dziekana tegoż dekanatu. Pracę w nowej parafii rozpoczyna od spotkania z radą parafialną, która życzliwie i z nadzieją przyjęła nowego proboszcza. Nowy gospodarz parafii widzi wiele potrzeb natury materialnej i liczy na pomoc rady i parafian. W pierwszym roku społecznie zostaje ogrodzony cmentarz, bowiem stare drewniane ogrodzenie uległo dezolacji. Druga inwestycja, niezwykle ważna, to ogrzewanie kościoła. Rada parafialna propozycję ogrzewania świątyni przyjęła z rezerwą, jednakże dynamizm nowego proboszcza pozwolił ją szybko zrealizować. W kościele stanęły elektryczne piecyki, a w serca parafian wstąpiła radość i nowa energia inwestycyjna.

Ten rok był niezwykle ważny duszpastersko dla naszej diecezji, bowiem rozpoczęła się pere-

grynacja obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej. Nawiedzenie NMP odbywało się w symbolach: płonącej świecy, ewangeliarza i pustej ramy. Obraz był już wcześniej aresztowany przez Służbę Bezpieczeństwa. W Turobinie nawiedzenie odbyło się 30 i 31 października 1971 roku. Przygotowanie tej uroczystości wymagało wiele trudu i szło podwójnym torem - duchowym i materialnym. Zorganizowano misje parafialne, a potem same uroczystości, które zgromadziły wielu kapłanów i zmobilizowały całą parafię do czynnego uczestnictwa. Symbole Matki Bożej prowadzone były z Gilowa przez konną banderę liczącą 300 koni, każda wioska była prezentowana przez nieco odmienne stroje, wierni parafii ofiarowali wiele darów służących liturgii. W peregrynacji NMP brali udział członkowie Kościoła narodowego. To świadczy o otwarciu nowego proboszcza na posoborowe idee ekumeniczne. W uroczystości powitania symboli NMP brało udział około sześciu tysięcy wiernych. W głównej mszy św. brało udział wielu kapłanów pod przewodnictwem ks. biskupa Bolesława Pylaka.

W roku 1972 ksiądz dziekan Piotr Kimak z parafianami podjął się dużego wyzwania, którym była przebudowa niezwykle błotnistej drogi na cmentarz. Władze państwowe dały materiał, natomiast parafia wykonała prace ziemne i pomocnicze. Prace posuwały się wolno, ale skutecznie i w 1975 roku oddano do użytku całą drogę.

W roku 1973 kościół został odnowiony zewnętrznie i wewnętrznie. Zakonserwowano dach, wewnątrz odnowiono dwa boczne ołtarze i wykonano nowy ołtarz soborowy.

Ksiądz dziekan przykładął wielką wagę do duszpasterstwa młodzieży i rodzin. Wspomagał go wydatnie wikariusze. Zorganizował kurs dla lektorów, nawiedzenie relikwii Drzewa Krzyża św. i inne uroczystości ożywiające duszpasterstwo w parafii i dekanacie. W roku 1974 przeprowadził generalny remont plebanii.

Po śmierci ks. doktora Wacława Kowalskiego w parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, ksiądz biskup proponuje na to stanowisko księdza Piotra Kimaka. Niestety, władze wojewódzkie w Chełmie nie zgadzają się na tę propozycję, wystosowując do kurii biskupiej zastrzeżenie (04.08.1975 r.). Ks. biskup Bolesław Pylak pisze odwołanie. Niestety, nadal kuria otrzymuje

pismo, w którym wydział wyznań nie zgadza się na nominację księdza Piotra Kimaka do Krasnegostawu. Ksiądz biskup nie rezygnuje i nadal pisze odwołanie. Wreszcie, 6 grudnia władze wojewódzkie uchylają owo zastrzeżenie. To były ważne pertraktacje, świadczące dobrze o poglądach księdza Piotra, który prezentował postawę niezwykle odważną i kościelną w działalności duszpasterskiej w Turobinie. 12 grudnia 1975 roku ks. Piotr Kimak otrzymuje nominację na proboszcza parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie i równocześnie na dziekana dekanatu Krasnostaw.

Kapłan ma przed sobą wielkie wyzwania. Duża i rozległa parafia miejsko-wiejska, wiele szkół i katechezy (oczywiście katecheza poza szkołami, w punktach katechetycznych), wielki dekanat, czasy trudne, komunistyczne i wiele zadań chociażby natury materialnej. Zarówno kościół parafialny jak i kościółek św. Trójcy oraz dwa budynki mieszkalne pod nadzorem konserwatora wojewódzkiego, potrzebują remontów. Świątynia św. Franciszka Ksawerego generalny remont przechodziła jeszcze pod koniec XIX wieku.

Nowy gospodarz z wielką energią zabiera się do pracy, najpierw przy świątyni parafialnej. W pierwszym roku urzędowania położono w kościele nową instalację elektryczną i rozpoczęto prace konserwatorskie polichromii i sztukaterii. Prace konserwatorskie wewnętrznych ścian i sufitu trwały do roku 1983. W 1981 roku, na fali solidarnościowego wrzenia ks. dziekan Piotr otrzymuje pozwolenie na budowę nowej plebanii, a potem kaplic w Małochwieju, Wólce Orłowskiej i Białce. Prace trwają przy wszystkich obiektach niemal w tym samym czasie kilka lat. Nieco później wzniesiono kaplicę w Białce. Równocześnie parafia zaczyna się dzielić. Pierwsze decyzje zapadają przy udziale księdza Piotra Kimaka. Powstaje parafia w Sienicy Nadolnej z kaplicą w Bzitem, Trójcy Przenajświętszej oraz Matki Bożej Pocieszenia z kaplicą w Jaślikowie.

W roku 1986 ks. dziekan odnowił figurę Matki Bożej na placu kościelnym, a w następnych dwóch latach wielki ołtarz. Przy tak wielu pracach brakowało funduszy na porządną konserwację. Następne prace, niezwykle kosztowne, w latach 1991-1993, to renowacja elewacji zewnętrznej kościoła i remont organów. Odnowienie i konser-



Poświęcenie fundamentów plebanii w 1981 r.

wacja trzech bocznych ołtarzy w kościele: św. Agaty, św. Mikołaja i ołtarza Ukrzyżowania były zwieńczeniem wielkich prac materialnych księdza prałata Piotra Kimaka.

Podsumowując, trzeba wyraźnie stwierdzić, że ksiądz prałat Piotr Kimak zapisał się w historii parafii złotymi zgłoskami, podejmując w tak trudnych czasach kosztowne wyzwania materialne, dbając o piękny wygląd pojezuickiej, bogatej architektonicznie i malarsko świątyni, dawnej katedry chełmskiej i lubelskiej. Ponadto przybliżył Boga wielu rodzinom, a zwłaszcza starszym ludziom, budując wiejskie kaplice.

Był kapłanem nie tylko gospodarnym, niezwykle pracowitym w płaszczyźnie materialnej, ale także duchowej. Inicjował wciąż nowe wydania o charakterze duszpasterskim, liturgicznym, wspólnotowym. Rozwijał i zachęcał do działania stare, istniejące w parafii stowarzyszenia i inicjował nowe. Namawiał wikariuszy, by rozwijali duszpasterstwo młodzieży. Zakładał nowe stowarzyszenia, jak chociażby Legion Maryi, Akcja Katolicka, Oaza Domowego Kościoła, Ruch Rodzin Nazzaretańskich czy Świecka Rodzina Franciszkańska. Zorganizował w parafii poradnictwo rodzinne służące pomocą całemu dekanatowi. Wprowadzał także nowe nabożeństwa: do św. Maksymiliana Kolbego, Matki Bożej Nieustającej Pomocy, Matki Bożej Fatimskiej. Zapraszał często biskupów, ka-

planów profesorów i kaznodziejów z posługą duszpasterską, aby modlitwa i Słowo Boże poruszały serca wiernych i zachęcały do wierności Bogu. Sam prowadził wiele pielgrzymek do sanktuariów w Polsce i Europie.

W nowej rzeczywistości po roku 1989 ksiądz prałat Piotr Kimak dawał przestrzeń i zachęcał do działań na polu kultury, często też był współgospodarzem wielu wydarzeń z dziedziny kultury chrześcijańskiej. W kościele św. Franciszka Ksawerego, z jego inicjatywy odbywały się Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Zwieńczeniem remontu organów był pierwszy koncert „Gloria Vitae”, kontynuowany potem co roku, goszczący największych artystów, muzyków i śpiewaków. W tej pięknej świątyni odbywało się wiele koncertów, nawet międzynarodowych, wiele wystaw plastycznych i przedstawień organizowanych przez szkoły. Tutaj odbywały się koncerty uczniów szkoły muzycznej, chóru miejskiego i Młodzieżowej Orkiestry Dętej. Rozwijały się też parafialne formacje, schole, młodzieżowe zespoły i chór parafialny. Ksiądz Piotr był otwarty i zachęcał liderów społeczności krasnostawskiej do działania, otwierając szeroko wrota świątyni i domu parafialnego. Organizował lub współorganizował wiele uroczystości o znaczących wymiarach: misje parafialne, obchody 300-lecia świątyni, nawiedzenie figury Matki Bożej Fatimskiej, prymicje księdza biskupa Mieczysława Cisło, uroczystości 600-lecia założenia miasta Krasnostaw, uroczystości dziękczynne za beatyfikację ks. Zygmunta Pisarskiego, wizytacje biskupie itp.

W czasie przełomu dziejowego po roku 1989, kiedy wylaniała się nowa rzeczywistość polityczno-społeczna, tworzyły się nowe władze w powiecie i mieście, ks. dziekan Piotr łagodził wszelkie napięcia społeczne, stawał się pomostem, był postacią, do której zwracano się, by pomógł wyciszyć nabrzmiałe emocje i zażegnać ostre spory. Był autorytetem dla wylaniających się z powszechnych wyborów władz samorządowych i innych instytucji miasta. Był człowiekiem o dużych zasobach empatii, wspomagał biednych, tworzył w dekanacie i w parafii struktury Caritas. Nawet jako emeryt wspomagał biednych studentów, dokładając się do Funduszu Jana Pawła II.

W roku 1993 został powołany przez kościelne władze na dyrektora okręgu Caritas. Pełnił tak-



50-lecie kapłaństwa, 2006 r.



Jubileusz 50-lecia kapłaństwa. Z rodziną w Potoczku.



Jubileusz 50-lecia. Życzenia od młodzieży.

że inne funkcje o wymiarze diecezjalnym: członek Komisji d/s. Gospodarczych Seminarium Duchownego (07.03.1978), diecezjalny ojciec duchowny (11.07.1997), członek Rady d/s. Ekonomicznych (09.09.1991), członek Komisji d/s. Struktur Diecezjalnych (18.07.1997), członek Archidiecezjalnej Komisji do Spraw Personalnych (02.04.2001), ojciec duchowny kapłanów okręgu Krasnystaw (17.04.2008).



60-lecie kapłaństwa.

Należy wspomnieć także o jego postawie pełnej patriotyzmu. Współorganizował uroczystości patriotyczne w tutejszej świątyni i mieście upamiętniające wojenne formacje Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej. Na prośbę członków AK został powołany przez księdza arcybiskupa na kapelana Krasnostawskiego Koła Rejonowego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (09.09.1991). Patriotyzm wyniósł z doświadczeń własnych okrutnej wojny i z tradycji rodzinnego domu.

Władze kościelne szybko dostrzegły pracowitość księdza diekana, wielkie zaangażowanie w życie Kościoła i wiele razy okazywały to, obdarzając księdza Piotra Kimaka wielu godnościami. W roku 1983 został kanonikiem honorowym Kapituły Kolegiaty Zamojskiej, w roku 1989 kanonikiem gremialnym tejże Kapituły, w roku 1992 otrzymuje kanonię honorową Kapituły Archikatedralnej Lubelskiej, a rok później kanonię gremialną Kapituły Kolegiaty Chełmskiej. W roku 1999 otrzymuje godność prałata honorowego Ojca Świętego. Władze

naszego miasta uhonorowały także księdza prałata odznaczeniem „Złote Karpie” w roku 1998, za podjęcie prac przy odnowie świątyni św. Franciszka Ksawerego.

15 maja 2001 roku ksiądz prałat Piotr Kimak przechodzi na emeryturę. W podziękowaniu, jakie otrzymał od księdza arcybiskupa Józefa Życkińskiego czytamy: *Czas przejścia na emeryturę oraz przekazania pełnionych obowiązków proboszczowskich i dziekańskich następcy, jest okazją do złożenia serdecznych podziękowań za ofiarą, pełną zaangażowania pracę kapłańską dla Kościoła i archidiecezji lubelskiej. Parafie, w których pracował Czcigodny Ksiądz Prałat od święceń kapłańskich, odnotowują w swoich kronikach wielką gorliwość Księdza, kulturę ducha, szacunek dla każdego człowieka, talent organizacyjny oraz pełną lojalność wobec własnego biskupa. Za wszelkie dobro, będące owocem gorliwej służby kapłańskiej wyrażam wdzięczność i uznanie.* Ksiądz arcybiskup przypomniał główne dokonania Księdza Prałata podczas pracy w Krasnymstawie, jak to wyżej opisano i na zakończenie podsumował słowami: *Bez zdolności organizacyjnych, umiejętnej współpracy z parafianami oraz wielkiego poczucia odpowiedzialności za wiernych powierzonych duszpasterskiej trosce nie byłoby możliwe wykonanie tylu zadań, które pozostaną trwałym dobrem dla następnych pokoleń. Duszpasterstwo, czyli budowa żywego Kościoła, to najważniejsze dzieło Opatrzności Bożej spełnione przez wytrwałą i konsekwentną posługę kapłańską Księdza Prałata w parafii i dekanacie.*

Po ludzku sądząc, emerytura Księdza Prałata była długa, bo aż 18 lat, dłuższa niż praca proboszcza następcy. Służył nadal parafii i dekanatowi na ile mu zdrowie pozwalało. Pełnił rolę ojca duchownego dla kapłanów dekanatu, był spowiednikiem Sióstr Franciszkanek Krzyża w Żułowie, w parafii gorliwie spowiadał w konfesjonale, spra-



Chmielaki 2000.

wował msze św. oraz prowadził wspólnotę Ruchu Rodzin Nazaretańskich. Jako jego następca, pragnę dać bardzo pozytywne świadectwo o księdzu Prałacie Piotrze. Był człowiekiem o dużej kulturze, otwartym na ludzi, wrażliwym na biedę i wspomagającym. Był także kapłanem rozmodlonym, interesującym się życiem Kościoła i Ojczyzny. Jego końcowe lata pracy jako proboszcza i dziekana, a szczególnie czasy emeryckie znaczone były chorobami i cierpieniem. Zwłaszcza ostatnie lata życia były swoistą drogą krzyżową. Nie poddawał się chorobom, ale z nimi walczył, dając piękne świadectwo cierpliwości, umiejętności znoszenia cierpienia i nieustannie dziękując za opiekę zarówno swojemu następcy jak i lekarzom, pielęgniarkom, a też wiernym naszej parafii. Dziękował Bogu za życie, ale też za to, że może dołączyć swoje cierpienia do Chrystusowego Krzyża.

Ksiądz Prałat Piotr zmarł po wielkich cierpieniach w szpitalu w Krasnymstawie 9 listopada 2019 roku. Pogrzeb zorganizował obecny proboszcz i dziekan ks. kanonik Jarosław Wójcik. 12 listopada wieczorem mszę św. żałobną sprawował ks. biskup Mieczysław Cisko, wikariusz naszej parafii w pierwszych latach swojego kapłaństwa i rodak Księdza Prałata z Krasnobrodu. W koncelebrze uczestniczyło około 50 kapłanów. Ks. biskup wygłosił żałobną homilię, po części opartą na te-

stamencie Księdza Prałata. Hołd oddali zmarłemu Kapłanowi parafianie, wypełniając naszą świątynię po brzegi.

13 listopada mszę św. sprawowało ponad 150 kapłanów pod przewodnictwem ks. arcybiskupa Stanisława Budzika. Na początku ksiądz arcybiskup przypomniał testament Księdza Prałata. Kazanie wygłosił emeryt tejże parafii ks. Henryk Kapica. Po mszy św. przemawiali: poseł na sejm Teresa Hałas, starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk, burmistrz Krasnegostawu Robert Kościuk, ks. Andrzej Kosieradzki, kolega z roku święceń ks. Prałata, ks. Roman Sawic - proboszcz parafii św. Ducha w Krasnobrodzie, przedstawicielka Rady Duszpasterskiej Danuta Bąk i brat Księdza Prałata Henryk Kimak. Księdzu arcybiskupowi i wszystkim uczestnikom pogrzebu podziękował miejscowy proboszcz i dziekan ks. kan. Jarosław Wójcik. W pogrzebie uczestniczyła rodzina Księdza Prałata, siostry zakonne, przedstawiciele szkół, różnych organizacji społecznych, wielka rzesza parafian i mieszkańców Krasnegostawu. Ostatnia stacja miała miejsce na cmentarzu komunalnym Rońsko, gdzie wcześniej grób sobie przygotował zmarły Kapłan.



Ks. prałat Piotr Kimak.

ks. Henryk Kapica
Zdjęcia ze zbiorów autora.

Artykuł ukazał się w: „Memoranda. Wiadomości Archidiecezji Lubelskiej”, nr 4 2019, ss. 907-915.

Irena Iwańczyk

Słowo pożegnalne



Kochana Haniu, najserdecznieszka Przyjaciółko, przyszło mi Ciebie pożegnać w czasie, gdy nasze życie jest zagrożone pandemią wirusa, który zbiera ogromne żniwo w całym świecie. Taką sytuacją jesteśmy przerażeni i przestraszeni, dlatego mniej ludzi uczestniczy w pogrzebie.

Kochana Haniu, nie doczekałaś wiosny ani Świąt Wielkanocnych, które tak pięknie organizowałaś, nie tylko dla swojej tak licznej rodziny, ale i dla przyjaciół. Tragiczna wiadomość o Twojej śmierci porusza wielkim bólem i rozpaczą nasze serca.

Przez całe życie, żyliśmy jak w rodzinie. Ubogacałaś nas swoimi talentami i swoją osobowością. Byłaś nie tylko wyjątkową i wspaniałą nauczycielką, ale także artystką w różnych dziedzinach sztuki, takich jak: malarstwo, poezja, literatura, sztuka kulinarna i innych.

Niezwykle zdolna, wyjątkowa i pracowita z ogromną empatią błyszczałaś w każdym towarzystwie. Potrafiłaś w aktorski sposób przekazywać wszelkie wiadomości, zabawić, rozśmieszyć, pocieszyć, pomóc w każdej sytuacji, dlatego zyskałaś popularność, przyjaźń i szacunek w całym mieście. Byłaś ulubioną i podziwianą nauczycielką nie tylko przez dzieci i młodzież, ale także przez przyjaciół i zupełnie obcych ludzi.

Dzięki Tobie, Twój dom tętnił życiem, radością, szczęściem, a spotkania w nim urozmaicone wyjątkowym poczęstunkiem, troską i przyjaźnią, przyciągały do Twojego pięknie urządzonego domu i sadu, licznych gości. W każdym calu byłaś najwspanialszym człowiekiem. Dziękujemy Bogu i rodzinie, że mogliśmy mieć kontakt z tak wyjątkową osobowością, jaką była nasza ukochana Hania. Utalentowana i niezwykła, wzniosła się wysoko ponad przeciętność.

Kochana Przyjaciółko, wraz z Twoim odejściem, odchodzi część nas, cząstka naszego życia, które było ubogacane przez Ciebie, bez Ciebie nasze życie będzie uboższe i smutne, w każdej chwili

li nasz czas może się skończyć i zbyć. Żyjemy pośród ciągłego umierania, aby ono i nas toczyło. Świat i ludzie przechodzą przez nas i odchodzą, wkrótce i my do nich i do Ciebie dołączymy.

W tych najcięższych chwilach życia, wspólnie Rodzinie: mężowi, córkom, wnukom i zięciom. Kochani, jesteście z Wami, cierpimy i płaczemy. Wiem, że zrobiliście wszystko, by ratować życie ukochanej Wam Osoby, która bez reszty kochała rodzinę, tak że już więcej nie można.

„Cierpienie ludzkie jest tajemnicą, trudno się przedrzeć przez jego mrok. Dotyka czasem niewinnego baranka”. Tak powiedział papież Jan Paweł II.

Kochana Haniu, dziś żegnamy Cię z bólem. Żal i smutek przeżywamy wszyscy, bo zabrakło Ciebie. Niech krew Twoja w drzewie zakwitnie. Niech w wędrownie w zaświatach towarzyszy Ci srebrny blask księżyca, rokrocznie rozwijająca się przyroda i muzyka wiatru w gałęziach drzew. Pokój Ci, Haniu.



rys. Maria Anna Bracha

Irena Iwańczyk

*Dla mojej Ukochanej Przyjaciółki
świętej pamięci Marii Anny Hani Brachy*



Pożegnanie

Ból cierpienia dławi
i poraża serca
od tragicznej wieści przemijania,
bo życie pękło w czasie drogi.
Skończyło się i nie idzie dalej,
i nie da się cofnąć.
Zegary bezradne już nie liczą
Twoich godzin,
bo Ciebie nie ma wśród nas.
Odeszłaś i już nie wrócisz.
A byłaś jak źródło na pustyni,
z którego czerpaliśmy wszyscy.
Znikasz nam z oczu, i choć Cię
nie widać, prowadzić nas będziesz
za sobą, ale zostawiasz nam
dzieło swych rąk, galerię obrazów,
tomik poezji i skarbnicę wspomnień,
do których ciągle będziemy wracać,
i zbierać z pamięci fotografie
Twojej twarzy i obrazy zdarzeń,
gdy byłaś z nami.
Zamknięta milczeniem,
stopiona ze wszechświatem
z autografem miłości do Boga
weszłaś w ramki nieba.
Żegnam Cię krzyżami
przy drodze, oddechem wiatru
i łzami, które w krzemień wrosną.
Nie odeszłaś jednak na zawsze,
bo nie umiera ten, kto trwa
w sercach żywych.
Rozłąka jest naszym
przeznaczeniem,
a rozstanie nadzieją.

Maria Anna Bracha

Pielgrzymowi świata



Stawałeś w oknie z podniesioną ręką.
Błogosławiłeś wszystkie narody,
doprowadzałeś do braterskiej zgody.
Witał Cię dzionek słońcem zlany
i gołąb biały siadał
na Twojej głowie,
bez bojaźni
bo i on ufał Tobie.

Pielgrzymie Święty,
przekraczałeś ziemskie mile
głosząc pokój i pojednanie.
Niosłeś Dobrą Nowinę,
kładąc swą rękę na głowie czarnej,
skośnookiej,
czerwonej i białej dziecinie.

Dziś Cię już nie ma.
Odszedłeś do Ojca Niebieskiego,
pozostawiając ból
i żal niepowetowany.
Ojczyźnie świętej - tak bardzo Cię kochamy.

Orędowniku Pokoju,
pamiętaj o nas w Boskich Niebiosach.
Napełnij rozum i serca nasze
miłością i wiarą.
Abyśmy kroczyli Twymi drogami,
aż do spotkania z Tobą.

Krasnystaw, 10 kwietnia 2005 roku



Zdjęcie z archiwum rodzinnego Ireny Iwańczyk.

Stanisław Nyczaj

Bujny twórczo czas Longina Jana Okonia (1927-2020)



ZMARTWYCHSTWARZAJMY ZAPOMNIANY CZAS

„Świat nie-i- jest. Świat się wiecznie zaczyna!” -
obwieścił rewelator Julian Przyboś.

Zawtórowały mu zbawczo przynaglone Wspomnienia:
- Odmilczmy, cała przeszłość niedomówiona przed nami!

Zmartwychstwarzajmy krzywdząco zapomniany czas
i w różnobarwnym na powrót jego rozkwitaniu

- my, wciąż żywi, z nieposkromioną nadzieją w sercach -
poetujemy żal odnawiającym się urzeczeniem.

I

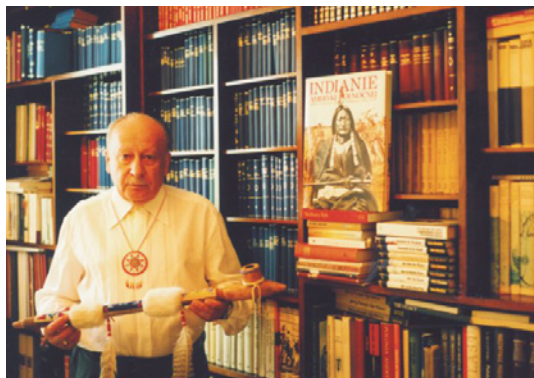
Druzgocąca serce seria ostatnich pożegnań-pisarzy-przyjaciół powiększa się i dług mojej (i jakże nas wielu!) wdzięczności wzrasta, ogromnieje. Pragnąłbym, by tak został odczytany mój przytoczony na początku wiersz. Odeszli niedawno znani mi bliżej:

Jacek Kajtoch - krytyk literacki, zasłużony wieloma funkcjami w Zarządzie Głównym ZLP i Krakowskim Oddziale ZLP, w ostatnich latach życia członek Kieleckiego Oddziału ZLP;

Eugeniusz Kabatc - powieściopisarz, nowelista, eseista, tłumacz licznych utworów z jęz. włoskiego, prezes Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC), sukcesor w tej zaszczytnej funkcji po śmierci Józefa Szajny;

Bohdan Gumowski - pisarz (autor nowel i opowieści), członek Kieleckiego Oddziału ZLP oraz radiowiec w wielu rolach (m.in. twórcy cenionych słuchowisk, interpretatora czytanych w odcinkach powieści z polskiej klasyki, docenianego nie tylko przez słuchaczy Radia Kielce)

i - przed minioną Wielkanocą, 3 kwietnia - równie nieodżałowany **Longin Jan Okoń**: poeta (autor m.in. wyborów wierszy „Łowienie świtu” z 1969, „Połysk bursztynu” z 1993), nowelista (autor m.in. głośnego zbioru „Miłość silniejsza niż śmieć” z 1988 w nakładzie 30 tys. egz., tomu „Imiona miłości” z 1997), eseista, historyk literatury chełmskiego regionu, antologista, ale znany prze-



Longin J. Okoń w swojej bibliotece w Chełmie,
z kalumetem i naszyjnikiem Mohawków (2002).
Fot. Ryszard Kaczmarek.

de wszystkim z cyklu prawdopodobnych historycznych powieści indiańskich: „Tecumseh” (1976, 1981, 1986, 1989 w łącznym nakładzie 390 tys. egz., uhonorowanej w 1977 Nagrodą Literacką II st. im. B. Prusa i Nagrodą Ministra Oświaty i Wychowania I st.), „Czerwonoskóry generał” (1978, 1982, 1984, 1989 w łącznym nakładzie 470 tys. egz.), „Śladami Tecumseha” (1981, 1983, 1987, 1989 w łącznym nakładzie 370 tys. egz.), „Płonąca preria” (1986, 1980 w łącznym nakładzie 150 tys. egz.), „Przełęcz Grozy” (1990, w nakładzie 30 tys. egz., 2006 z rys. Jana Bijoka w niewielkim nakładzie staraniem naszej Oficyny Wydawniczej „STON 2”), „Przekleństwo Inków” (1998, staraniem jw. z fragmentami opinii krytyków, również w skromnym nakładzie).

Ukazałem, jak niespodzianie osłabła sprzedaż powieści indiańskich w latach 90. ubiegłego wieku, rozchwytywanych wprost z półek księgarskich w poprzednich dekadach. Nie udało nam się powtórzyć przy dużej staranności edytorskiej (ilustracjach, inicjałach) nakładu większego od 1 tys. egz. W nocy do wspaniałego dzieła „Przekleństwo Inków”, którym jako pierwszy czytelnik maszynopisu i następnie redaktor byłem zafascynowany, pt. „Krytycy o powieściach indiańskich Longina Jana Okonia” dowiodłem wszak niesłabnącego uznania dla trudu pisarza, który obmyślając trzymające w napięciu fabuły, bardzo dbał o wiarygodność w odniesieniu do historycznych faktów. Ucisnąłby Mu z pewnością rękę, gdyby się gdzieś odnalazł, późny wnuk Antoniego Jakuba Sadowskiego, urodzonego w 1669 w obecnym Ostrowcu Świętokrzyskim (założyciela miasta Sandusky), Pola-

ka wspierającego swego czasu moralnie Indian, zmarłego w 1736 w Amityville (Pensylwania), zwanego przez wodzów plemion Sa-un-dus-tee (jego portretem pędzła A. Szyka otworzyliśmy nasze drugie wydanie „Przełęczą grozy”).

To w sprawie ich publikacji i naradzania się względem sposobów z roku na rok coraz trudniejszej (wymagającej strasznego uciemienia!) dystrybucji - kiedy nawet nam wydawcom nietego szło w próbach współpracy z organizatorami wiosek indiańskich w Uniejowie czy Zaborzu - zwielokrotniły się moje odwiedziny Longina w Lublinie (jego willi „Okoniówka” przy ul. Uroczej 88, skąd później przeprowadził się do Chełma).

Co do opinii, przytaczam dla przykładu fragmenty dwu: wspomnianego na początku Jacka Kajtocha i równie cenionego przeze mnie za kompetencje (a także pasję sienkiewiczowską) prof. Lecha Ludorowskiego z lubelskiego UMCS.

Longin Okoń jest odważnym pisarzem - pisał J. Kajtoch w roku 1987 na łamach „Gazety Krakowskiej” - przeciwstawił się stereotypom, zakwestionował tak popularny gatunek, jak western, przekreślił powielany przez dziesięciolecia obraz szlachetnych i bohaterów białych pionierów cywilizacji, atakowanych w sposób nierycerski przez niewiedzących gdzie dobro dzikusów. To jest właśnie jego pierwsza zasługa: inne rozłożenie akcentów pozytywnych i negatywnych. W „Płonącej prerii” nosicielami wartości godnych uznania są Indianie [...]. Druga zasługa Longina Jana Okonia to przekreślenie epitetu „dziki”, stawianego na ogół w westernach dla określenia Indian broniących praw do swojej ziemi. Pisarz, w wyniku studiów historycznych i etnograficznych rekonstruuje kulturę indiańską. Przekonuje, że nie była ona mniej rozwinięta, niższa, tylko po prostu - inna [...] Przeciwny Amerykanin nie traktował Indian jako ludzi, należeli do obcej rasy, wyznawali odrębną religię. I tu trzeci walor utworu. Książka Longina J. Okonia przestrzega przed rasizmem i nietolerancją.

I ważna opinia prof. Lecha Ludorowskiego pochodząca z roku 1993 (przy ocenie jednej z prac magisterskich): *Sztuka pisarska najpopularniejszego pisarza Lubelszczyzny i jednego z najbardziej znanych twórców historycznych powieści westernowych we współczesnej literaturze polskiej - Longina Jana Okonia - przyciąga raz po raz uwa-*

gę krytyków i młodych adeptów filologii [...] zyskała sobie w pełni zasłużoną poczytność [...]. Trzeba jeszcze dodać, że lubelski ośrodek badań nad powieścią historyczną [...] przyczynił się w znacznym stopniu do poznania i zgłębienia pisarstwa Longina Jana Okonia, m.in. w Zakładzie Teorii Literatury UMCS powstały dwie prace magisterskie o twórczości autora „Tecumseha”. Dodam, że na różnych uczelniach w kraju obroniono takich prac 13.

A zatem wniosek niezupełnie deprymujący: załamanie się dystrybucji rynkowej nie kończy życia książek. Dostępne powszechnie w bibliotekach dzięki pozyskiwaniu w latach prosperity fascynują nadal krąg prawdziwie nimi zainteresowanych. Wchodzą w kanon lektur bez mała obowiązkowych. Zaś sam L.J. Okoń miał trwałą satysfakcję - także jako znawca historii podboju kontynentu amerykańskiego i eksterminacji narodów indiańskich - z wkładu w Międzynarodowy Ruch Obrony Praw Indian i wstąpienia w roku 1993 do elitarnego grona Polskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Indian.

W rozmowie dla „Świątokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” (2017, nr 1-4) zapytałem Go:

- Z dystansu wielu minionych lat jak oceniasz odbiór krytyków? Na ile, w twoim głębokim odczuciu, był wnikliwy? Czy - kiedy powstawał powieściowy cykl indiański - ich osąd w jakimś stopniu oddziaływał, był w promowaniu ci pomocny? Czy sądzisz, że z uwagi na podobieństwo losu Indian z losem Polaków znajdujących się w śmiertelnym zagrożeniu, powiodłyby się zachęty krytyków i popularyzatorów dobrej, wartościowej literatury (bibliotekarzy, polonistów, nauczycieli historii), aby do ulubionych przed laty indiańskich lektur wrócić? Czy jej passa, szlachetna „moda na nią” bezpowrotnie przeminęły?

- Passa lektur indiańskich nie przeminęła! - zachnął się niemal na powątpiewania Longin. - Ale, odpowiadając na drugą część pytania, nawiążę przez chwilę do Ludwika Powidaję, który w 1864 ogłosił w lwowskim „Dzienniku Literackim” szkic pt. „Polacy i Indianie”. Przedstawił w nim, wzmiankowane przez ciebie, podobieństwo losu historycznego Indian i Polaków. Polska wtedy była w niewoli rozbiorowej. Esej ten wywołał żywą polemikę. Dziś, po bestialstwach drugiej wojny światowej, szkic Powidaję jawi się jak ostrzeżenie dla naszego narodu.

Według moich obserwacji - kontynuował po chwili namysłu - indiańską tematyką interesują się zarówno młodzi, jak i dorośli czytelnicy. Jednak niewiele jest utworów godnych wznawiania. Zdecydowana większość powieści to albo „kalekie” artystycznie, albo przedstawiające plemiona indiańskie jako zbrodniarzy polujących na skóry białych Europejczyków. To wszystko kłamstwo. Lektura tych książek była dawniej orężem w walce o zagarnięcie terenów poszczególnych plemion. Indian przedstawiono jako dzikusów i złoczyńców zrywających skóry z głów europejskich osadników.

- A jak wygląda prawda, którą chwalcom strategii kolonizatorów należałoby uświadamiać?

- Dla ilustracji przytoczę okrutny historyczny fakt. William Penn, gubernator angielskiej Pensylwanii, wydał dekret o skupywaniu skór Indian - wojowników, kobiet i dzieci. Powstawały więc bandy białych łotrów polujących na indiańskie skóry. Indianie zatem odwzięczali się podobnie. Rządy kolonialne, później rząd Stanów Zjednoczonych, nie przestrzegały żadnych umów zawieranych z indiańskimi plemionami; złamano ponad 370 traktatów. Osadnicy i wojsko USA nie uznawali granic w stosowanym bestialstwie wobec Indian. Dawne powieści z tzw. Dzikiego Zachodu nie nadają się na lekturę, bowiem dalekie są od prawdy i etyki. Nowych jest niewiele. Warto było do tego problemu powrócić, zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, bo los narodów indiańskich przypomina holokaust stosowany przez barbarzyńskich najeźdźców, co szczególnie boleśnie odczuł naród polski. Można jedynie wymienić Alfreda Szklarskiego, Norę Szczepańską, Wiesława Wernica, nieskromnie zaliczam sześć powieści swoich, dwie dawne Bolesława Zielińskiego i paru innych pisarzy. Nawet Karol May nie jest wolny od zakłamań. Winnetou, wódz Apaczów, to postać szlachetna, bo wpływa na nią Niemiec Old Shatterhand, który jest niedościgniętym we wszystkich poczynaniach. Prócz tego cała twórczość Maya jest całkowitą fikcją.

W Polsce działa Stowarzyszenie Przyjaciół Indian i są koła miłośników westernów. Szukają książek i czekają na filmy o tej tematyce. Gdyby wydawcy zainteresowali się tym problemem i podjęli określone działania, to nastąpiłby powrót do indiańskich lektur.

II

Przeglądam antologię „44. Warszawskiej Jesieni Poezji” z 2015 pod hasłem-mottem „I to jest nasze życie”, zaczerpniętym z wiersza Jarosława Iwaszkiewicza (inc. „Letnia muzyka...” z tomu „Mapa pogody”). Końcowa zwrotka tego wiersza brzmi:

*I to jest nasze życie: mgła strach złote cienie
i oczy które wszystko na wylot przejrzały
i ponad walki rozpoczął prerażenie
pałą się pomarańcze i kwitną migdały.*

Występujemy w tej antologii obaj na sąsiednich stronach wierszami mówiącymi o życiu. Mój „W pojedynku z Losem” puentuje strofa ironiczno-buńczuczna: *Wciąż jeszcze,/ krnąbrna, uparta Nadziejo,/ nie mam w sobie dość sił,/ żeby się poddać.* I Longina pt. „Prośba” jest wyrazem pogodzenia się z Losem, obdarzającym przemienienie radością piękna i bólem z powodu utraty osób sercu najbliższych. Spomiędzy *dławiących ciemnością ścian samotni* dobywa się pokorny szepł błagania: *proszę ucisz kipieli/ i rozplomień różaniec życia przy całkowitej ufnosci w dar wszechmocnej łaski.*

- Tak się składa z uwagi na alfabetyczne sąsiedztwo nazwisk - dopowiedział Longin we wspomnianej rozmowie ze mną - że występujemy obok siebie, co mnie cieszy, w wielu jeszcze innych publikacjach zbiorowych, prócz wspomnianej antologii 44. WJP, np. w almanachach poetyckich „W ogrodach ognia” (Lublin 1990), „Bazar 7” (Kielce 1998) czy kilku aforystycznych, jak „Aforyzmy polskie” (Kęty 2001), „Księga aforystyki polskiej XXI wieku” (Katowice 2002), „Wielka księga myśli polskiej” (Warszawa 2005).

- Ze wzruszeniem wspominam, Longinie - potwierdziłem - moje przyjazdy z Kielc na spotkania autorskie w siedzibie Lubelskiego Oddziału ZLP, któremu w latach 1995-1998 prezesowałem. Pamiątką po jednym z nich 10 kwietnia 1997, kiedy wypełniony poezją czas szczęśliwie się do późna zatrzymał, jest autograf w sprezentowanym mi tomiku „Muszla cykad”.

Longin, dbał zapobiegliwie o rozwój lubelskiego środowiska. Pamiętam dokładnie także wcześniejszy o siedem lat piękny wieczór nieopodał siedziby Oddziału ZLP na lubelskim Starym Rynku, w muzeum, z udziałem poety Dominika Opolskiego, zagorzałego polemisty, podczas którego to zdarzenia wypowiadałem się publicznie - z okazji 20-lecia Nauczycielskiego Klubu Literackiego im. Józefa Czechowicza - o twórczości poetów skupionych w tym klubie. Zostało to utrwalone w zbiorze „W ogrodach ognia” (Lublin 1990)¹. Oto fragment z passusu tytującego poezji Longina:

[...] *Głównym walorem zjednującym pocie czytelników jest dar sugestywnego zespalania elementów wrażliwości muzycznej z malarską, dzięki czemu naturalnym tokiem inspiracji biegną - jedne po drugich - proste, bezpretensjonalne ś p i e w n e o b r a z y, oparte przy tym na łatwo przyswajalnych motywach lirycznej tradycji („piany liści”, „włócznie kominów”, „srebrny pył”, „ognista miłość”, „kwiatów twarze”, „pragnień złocisty deszcz”), lecz i niepozabawione - chwilami - zaskakujących pomysłowością skojarzeń:*

*A pola puste -
niczego tutaj nie wypatruj,
jedynie szczotka rżyska
czyści
niewidoczne kudły jesiennych wiatrów.*

(Z wiersza „żniwa”)

Większe jednak wrażenie niż takie wykwyty wyobraźni wywiera zaśluchanie się i zapatrzenie w magiczną wspaniałość natury, w owładnięty, przepojony nią ludzki los.

Wpisanie człowieka w odwieczny i szczerobliwy porządek natury, nadającej aktem biologiczno-genetycznej cyrkulacji sens wszelkiemu istnieniu, znajduje najpełniejszy wyraz w cyklu wierszy osnutych na utworach indiańskich, na pieśniach

Komanczów, Dakotów, Apaczów. Ludzka przemoc (białych wobec czerwonoskórych) pociąga za sobą niepokój przyrody. Osiągnięta na powrót sprawiedliwość (zemsta na tych, co „połtukli na pył kryształ górskiego powietrza”) w przypowieści pieśniarza Nawadahy uwieczniona zostanie odrodzeniem tak oto namalowanej harmonii natury:

*Wtedy człowiek będzie człowiekowi bratem.
Zazielenią się prerie,
zahuczą dostojnym spokojem puszcze,
strumienie rozbłyszczą łuską ryb,
mocarz stępu - brodą bizon -
wróci rozkoszować się soczystością traw.*

Przyswojenie poezji polskiej pieśni indiańskich jest niebagatelną zasługą pisarza. W sumie potrafił on - zaprzeczając opłotkowości regionalizmu - z równą energią ukazać piękno dzikiej prerii i duchowy świat włóczonych w rezerwaty Indian, co pejzaż podchełmskich pól i kulturowe uwarunkowania rodzimych stron.

I właśnie wtedy, w roku 1990, nastąpiło to nasze autentyczne wzajemne zaangażowanie się we współpracę. Wynikły z niej opracowania książkowe, wydane tomiki, np. „Za siódmą skórą” (wiersze 1965-1995) Henryka Makarskiego z moim posłowiem (1996), tak jak również niemało wynikało z kontaktów na niwie powiązań literatury i filozofii z dr Bogumiłą Truchlińską (późniejszą prof. UMCS), że wspomnę chociażby o jej ciekawych szkicach w „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” czy wydanym przez nas jej eseistycznym zbiorze „Między afirmacją a sceptycyzmem” („W kręgu literatury i filozofii”) z 1995 r.

- Jak utrwalił się w twojej pamięci tamten nasz bujny w dokonania okres?

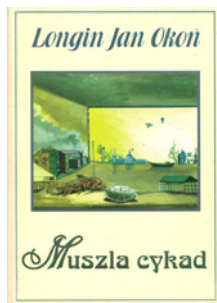
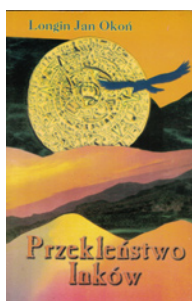
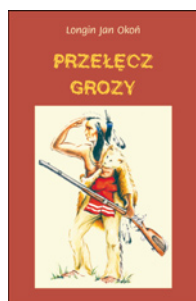
- Także, jak ty, z sentymentem wspominam wspólnie spędzone w Lublinie chwile ważnych rozmów w siedzibie ZLP, połączone z prezentacją twórczości, i te u mnie w domu, kiedy jeszcze żyła moja żona, Maria Janina, która wniosła duży wkład w fabularyzację „Przekleństwa Inków”. Dzięki stworzonej przez nią atmosferze, w tym przytulnym domu mogły powstać wszystkie moje utwory poetyckie, opowiadania i powieści.

Po jej śmierci osamotniony w piętrowej willi, załamany, postanowił przenieść się do rodzinnego

¹ W zbiorze tym ukazał się także esej Stanisława Rogali z Kielc „Wierni sobie i swojej ziemi” (O prozie członków NKL w Lublinie). S. Rogala ma wobec Longina szczególną zasługę, bowiem wydał poświęconą Jego życiu i twórczości małą monografię w serii „Sylwetki współczesnych pisarzy” Agencji Wydawniczej Gens pt. „Longin Jan Okoń”, Kielce 1997, wyd. 2 poszerzone 1982.

Chelma (urodził się w pobliskim Świerszczowie). Pozostały między nami już tylko kontakty telefoniczne i listowne. Kiedy zorientowałem się, że podniósł się na duchu, nakłoniłem Go do przywołanego tutaj fragmentarycznie wywiadu, który był dla Niego - jak orzekł - „bezcenną przyjacielską nagrodą”. *De facto*, moim zdaniem, pamiętnym dorobkiem wynagrodził nieprzeliczony zastęp swoich fanów, bowiem osiągnął w rozmiarze do pozazdrosczenia nimb czytelniczej popularności. Dowodzą tego nie tylko imponująco wysokie nakłady książek, co w tym wspomnieniu, wdzięczny Mu, starałem się uzmysłowić.

Stanisław Nyczaj



Drzewo jest z człowiekiem od zawsze. Pliniusz Starszy (23-79 r. n.e.) w swojej „Historii naturalnej” stwierdza, że drzewa były dla człowieka pierwszymi świątyniami. Jako najpotężniejsze wśród roślin, drzewo było przedmiotem czci, być może dlatego, że wpisywało się w trójpodział istnienia: połączenie doczesności (pień) z siłami podziemia (korzenie) i niebiańskich sfer (korona), albo odpowiednik ciała, umysłu i duszy. Drzewo, nomen omen, urosło do rangi symbolu: płodności, mądrości, długowieczności, czy po prostu schronienia. To również temat eksplorowany przez poetów. Któż z nas nie pamięta lipy z fraszki Kochanowskiego, w której cieniu można znaleźć wytchnienie, albo modrzewia ze „Świtezianki” Mickiewicza, pod którym dusza młodzieńca będzie jęczeć na wieki, albo „Laury i Filona” Karpińskiego spotykających się pod umówionym jaworem? U Broniewskiego „Brzoza” jest symbolem smutku po śmierci córki, u Twardowskiego „Drzewa niewierzące” nie muszą uczyć się religii, bo samym swoim istnieniem i pięknem sławią wielkość i potęgę Boga, u Asnyka „Limba” symbolizuje indywidualizm, „Wysokie drzewa” Staffa są symbolem przyrody danej człowiekowi, u Poświatowskiej w „*** (dlaczego nie drzewem)” - symbolem trwania i przemijania zarazem, a „Drzewo” Różewicza wraz z człowiekiem jest świadkiem wojny i doświadcza jej okrucieństwa.

Moje drzewo to „Drzewo” Miłosa:

*Jestem małym ptaszkiem w ogromnym szczęśliwym drzewie,
A to drzewo nie rośnie w lesie, bo samo jest całym lasem.
W nim mój początek, pamięć i zaniemówienie,
Bo nie chce być nazwane żadnym wyrazem.*

Elżbieta Petruk

Moje drzewo



Na moim podwórzu stoi jesion. Wielki i rozłożysty. Dostojnie góruje nad wszystkim, co wokół. Patrząc na niego, popadam w zadumę i myślę: w jaki sposób tu się znalazł, ile ma lat, czego był świadkiem, czyjemu życiu towarzyszył?

Wszyscy wiemy, że las tworzą drzewa, ale Miłosz obu motywom nadał znaczenie topiczne. Idea drzewa jest tożsama z ideą lasu. Zupełnie jak jednostkowego istnienia z istnieniem w ogóle. Genialny czterowieś, gdzie słów niewiele, a każdy wers brzemienno treścią. Moje drzewo to wszystko, co mam najlepszego, bo jedynie możliwe. To wszystko i wszystko w nim: prawda zmysłów, zdarzeń, przeżyć, biegu czasu i tajemnica - wielka, niepojęta, nienazwana. Ten wiersz jest jak mantra, modlitwa, koan.

Elżbieta Petruk

Saturnin Naliwajko

Fretka - tragifarsa



autoportret

Fretka. Nazywali ją „Fretka”. Wszyscy w Miasteczku inaczej na nią nie mówili. Prawdopodobnie nikt już nie pamiętał jej prawdziwego imienia i nazwiska. Przewisko „Fretka” przylgnęło do niej jak za ciasna bluzka.

Zanim została Fretką, miała przewisko „Łasica”. Będąc w gminnym liceum zaczęła się łączyć do wszystkich chłopaków, bez wyjątku ładny czy brzydki, szczupły czy grubas, młodszy czy starszy... ważne, aby nosił spodnie. Łasiła się też do nauczycieli. Było ich niewiele. Odrzuciła tych w wieku przedemerytalnym, więc wybór miała bardzo ograniczony. Łasiła się więc namiętnie, nie pozwalając chłopakom na gesty bardziej poufale. Bała się. Po prostu się bała... Szybko dostała nowy pseudonim „Tchórzofretka”. Niby ta sama rodzina łasicowatych, lecz gatunek inny. „Tchórzofretka” nie była orłem w dziedzinie matematyki i fizyki. Jak się można domyślać, zdanie matury granoczyło z cudem. Poszła więc na korepetycje do profesora matematyki i fizyki w jednej osobie, człowieka niby pobożnego, ale z przenikliwie świdrującym spojrzeniem i szelmowskim uśmiechem. Po kilku lekcjach usłyszała od profesora: „jak dasz, to maturę zdasz”. Odważyła się i - dalej poszło gładko. Już się nie bała... Straciła pierwszą część pseudonimu „Tchórz-”. Została „Fretka”.

W latach licealnych poznała starszego od siebie o rok aktywistę organizacji młodzieżowej Józefa. Józef, bardzo zaangażowany w pracę organizacji, manifestował swoją przynależność czerwonym krawatem. Zdejmował go chyba tylko do spania. Małomówny, gburowaty w obejściu, na zebraniach był bardzo aktywny. Najgłośniejsze ze wszystkich uczestników bił brawo. Po ukończeniu 18 roku życia Józef wstąpił w szeregi partii. Chcąc się przypodobać starszym towarzyszom, zresztą jako młodszy wiekiem, prosił: „mów mi Józik”, mając na względzie większą poufalskość, wiążącą się z przyszłymi profitami. Zebrania partyjne to całkiem inna bajka niż pogaduchy młodzieżówki. Na każdym zebraniu był prelegent

z wyższego szczebla, ktoś nikomu nieznany, czytający lub wygłaszający mowy szkoleniowe z należytym pietyzmem. Dla dodania większego prestiżu, robił przerwy na łyk wody z dyżurnej szklanki stojącej na mównicy. W tym czasie Józik wstawał i zaczynał bić brawo tak donośnie, że wszelkie robactwo zasiedlające salę konferencyjną uciekało w popłochu. Prelegent nie tylko miał czas by łyknąć odrobinę wody celem przepłukania gardła, ale był w stanie wypić jej całe wiadro. Tyle bowiem trwała owacja Józika i to na stojąco. Zastanawiam się czy takie brawa otrzymał kiedykolwiek zespół Czerwonych Gitar lub Skaldów podczas tournée po Polsce. Nie mogło to pozostać niezauważone. I w krótkim czasie, młody, wyróżniający się i bardzo aktywny członek partii został przedstawiony do awansu. Awans polegał na objęciu ważnej funkcji w Firmie Handlowej w Miasteczku. Czekalo już na niego małe mieszkanko... Inni mieszkańcy Miasteczka starali się o mieszkanie po kilkanaście lat, a tu proszę, mieszkanko jest... Jak mu oświadczył sekretarz gminny:

- Józik, robotę i mieszkanie załatwiłem ci w Miasteczku, żonę załatw sobie sam, i to szybko... bez żony nie pojedziesz...

Wobec czego Józik ruszył w teren szukać żony. Każda dziewczucha z gminy chciała się jak najszybciej wyrwać do Miasteczka, więc znalezienie kandydatki na żonę nie było trudnym zadaniem. Ale jak tu się pokazać w Miasteczku z pospolitą wiejską dziewczuchą? On, towarzysz z nominacji, z byle kim... Nie do przyjęcia. Idąc przez wieś, natknął się na wracającą z gościnnych występów w sąsiedniej wsi Fretkę. Zerknął... Całkiem ładna... Duże oczy, szczupła, w mini... Na miastową się nadaje - pomyślał. Chyba pierwszy raz w życiu uśmiechnął się do kogoś. Fretka spojrzała podejrzliwie, ale odwzajemniła uśmiech. Józik przystanął, zmierzył ją spojrzeniem dostojnym jak przystało na awansowanego towarzysza i zapytał:

- Fretka, chcesz mieszkać w Miasteczku?

- No pewnie - szybko odpowiedziała - ale tam się długo czeka...

Nie pozwolił jej dokończyć i wypalił:

- Mieszkanie już w Miasteczku gotowe, robota też, tylko... muszę jechać z żoną...

Zdziwiona, bardziej otworzyła swe wielkie oczy i jaskając się, spytała:

- Józik... ty... mnie... prosisz... o rękę?...

- Oj tam - odrzekł - jakie prosił, po prostu chcę się z tobą ożenić, aby mieszkania i roboty szlag nie trafił... To co? Chcesz, czy mam szukać dalej?...

- Józiczku! Jasne, że chcę... Tylko jak z księdzem zagadać by szybko udzielił ślubu...

- Z jakim księdzem? Pójdziemy jutro do USC i gotowe... Sekretarz każe i kierownik ślubu udzieli... łaski nie robi...

Zadowolony z siebie Józik zrobił zwrot na pięcie i maszerował w kierunku swego domu. Fretka, ochłonęła już z pierwszego szoku, doskoczyła do swego prawie już męża, wzięła go pod rękę i szepnęła:

- Chodźmy do rodziców oznajmić im dobrą nowinę.

- Idź sama - burknął Józik - ja muszę pogadać z sekretarzem, żeby wszystko było jak należy, bo czasu mało... W Miasteczku czeka na mnie dużo pracy, czym szybciej pojedziemy, tym lepiej...

I Józik poszedł do sekretarza także oznajmić mu dobrą nowinę. Pogadali, wypili po kielichu... Sekretarz zadzwonił do kierownika USC i ustalił datę ślubu na dzień jutrzejszy, na godzinę 12.

Tak oto Fretka z dnia na dzień stała się żoną towarzysza i obywatelką Miasteczka. Przyszłość rysowała się wspaniale...

Józik objął obiecane stanowisko głównego mechanika w Firmie Handlowej, która notabene prowadziła handel artykułami przemysłowymi i metalowymi i nie posiadała na stanie ani jednego urządzenia mechanicznego. Jedynymi urządzeniami, które posiadały części obrotowe były zawiasy w drzwiach i kasetki na pieniądze, do których klucze posiadali sprzedawcy sklepików rozrzuconych po okolicznych wioskach. Wykształcenia technicznego brak, urządzeń mechanicznych nie ma - stanowisko głównego mechanika jest. Ot, taki paradoks albo myślenie perspektywiczne zarządu firmy.

Mieszkanko było wprawdzie nieduże, wg ówczesnych norm lokalowych, jednakże dla młodego, bezdzietnego jeszcze małżeństwa wystarczające. Umeblowane skromnie meblościanką z przydziału komitetu partii. Fretka i Józik kupili kilka talerzy, sztućców i oczywiście zestaw kieliszków, bo na parapetówkę przychodzili miejscowi notable.

Józik otrzymał także przeniesienie do zakładowej organizacji partyjnej, ale nie omieszkiał

zameldować się w komitecie i zaoferować ewentualną pomoc. Było to miłym zaskoczeniem dla towarzysza sekretarza i otrzymał zapewnienie, że jego pomoc niebawem będzie potrzebna. I słowo ciałem się stało. Telefon z komitetu wyrwał zapracowanego głównego mechanika z odrętwienia po kilkugodzinnym siedzeniu w jednej pozycji przy pustym biurku. Otóż sekretarka sekretarza zaprasza Józika na wieczorną prelekcję pt. „Wyższość socjalistycznego proletariatu nad kapitalistyczną klasą robotniczą”. Uradowany, wystrojony w swój czerwony krawat pomaszerował Józik na prelekcję. Jak to miał w zwyczaju, każdą przerwę prelegenta wykorzystywał na soczystą owację. Po prelekcji towarzystwo przeszło do salki bankietowej. Józik kierował się do wyjścia, ale został zauważony przez sekretarza.

- Jak to, towarzyszu, nie podyskutujecie z nami o dzisiejszym referacie? Jesteście tu nowi, warto poznać towarzyszy, a przy kieliszku czegoś mocniejszego, to i przyjemniej się rozmawia, i zdobyte wiadomości łatwiej się utrwala. Bo wiecie, informacje wpadają najpierw do ucha, a gdy wyjdziecie bezpośrednio po ich usłyszeniu na dwór, wiatr je normalnie wywieje. I tylko pozostanie uczucie zmarnowanego czasu. A informacje pokropione dobrym trunkiem, wnikają w człowieka i zostają rozprowadzone po całym organizmie. I przyjemne to, i pożyteczne. Uwierźcie mi, wysłuchałem parę tysięcy referatów, ale wiedza ta została należycie ugruntowana. Posłuchajcie starego towarzysza zaprawionego w boju.

No i został przekonany. Dał się namówić na utrwalanie wiedzy. Towarzysz sekretarz przedstawił zebranym Józika jako młodego aktywistę, oddanego sprawie... chętnego do wzmożonego wysiłku w budowaniu... etc., etc. Zebrani podchodzili kolejno z kieliszkami w dłoniach, jeden dla Józika drugi dla siebie, wypijali brudzia i klepali go po plecach, mówiąc, że takiej owacji dawno nie słyszeli. Fakt faktem, że z tego wieczornego zebrania niewiele pamiętał. Bolała go głowa od gorzałki, bolały dłonie od bicia brawa, bolały go plecy od poklepywania. Ale wiedział, że idea wymaga ofiar.

Fretka urządzała mieszkanie. Po swojemu upinała firanki, ustawiała bibeloty, prała i sprzątała. Aż wreszcie, chyba zmęczona domowymi pracami stwierdziła przy kolacji, że z największą przyjemnością podejmie pracę zarobkową, aby nie czuć się

pasożytem społecznym. Poszedł więc Józik do komitetu, z nadzieją, że towarzysze załatwią jej posadę. Ot, jakąś robotę przy biurku, niezbyt odpowiedzialną, bo przecież nie ma jeszcze doświadczenia zawodowego. I nie zawiódł się. Towarzysze pomogli. Załatwili Fretce zajęcie w księgowości firmy skupującej owoce. Wprawdzie robota sezonowa, ale gdy się wykaże zaangażowaniem, to w przyszłości może przejść do innej firmy pracującej na okrągło przez cały rok. W formie podziękowania Fretka i Józik zaprosili niektórych, bardziej wpływowych towarzyszy do swego mieszkanka na wódeczkę. I w ten oto sposób Fretka poczuła przyjemność z picia gorzałki.

Mijały miesiące, potem lata, a Józik i Fretka dalej mieszkali tylko we dwoje. Józik chodził na partyjne zebrania, z których zawsze wracał późno i w stanie wskazującym na duże spożycie. Fretka miała też swoje nadgodziny w pracy i do domu wracała w podobnym stanie. O powiększeniu rodziny nie było nawet mowy, bo i jak po pijaku rozmawiać o spłodzeniu potomka. Józikowi w międzyczasie strasznie spuchły nogi, tak że większość roku chodził w sandałach, bo sklepy nie dysponowały odpowiednim rozmiarem obuwia całorocznego. Tłumaczył to sobie w ten prosty sposób, że informacje zdobyte w czasie partyjnych szkoleń, zabezpieczone gorzałką przed ulotnieniem się, jako cięższe opadają na sam dół organizmu i na razie medycyna jest bezsilna w temacie podniesienia wiedzy na wyższy poziom.

Aż tu którejś pięknej niedzieli, Fretka oznajmiła Józikowi nowinę:

- Będziemy mieli dziecko! Małomównemu i tak Józikowi na tę wieść całkowicie odjęło mowę. Stał z otwartą buzią, wytrzeszczonymi oczami, nieobecny dla realnego świata, jakby w innej rzeczywistości... Wreszcie wydusił z siebie:

- Nie pamiętam abyśmy... tego... czynili starania... no wiesz... o dziecko...

- Wielu rzeczy Józiczku nie pamiętasz - spokojnie odpowiedziała Fretka - nie będą ludzie gadać, że my tylko pijemy... A pamiętasz jak mi obiecałeś, że kupisz Malucha? Nie pamiętasz, bo ty tylko na te zebrania latasz... co partia powie, to pamiętasz... a co mnie obiecałeś to już wcale... I Fretka załała się łzami...

Po obligatoryjnych dziewięciu miesiącach Fretka urodziła syna. Uważała to za swój wielki sukces. A jak mawiają - sukces ma wielu ojców. Tak, że męska część elity Miasteczka z niepewnością, ale i z ciekawością zaglądała do wózka prowadzonego przez Fretkę. Zastanawiali się do kogo jest ten malec podobny. Problem nie został rozwiązany. Stwierdzili jednogłośnie, że Józik nawet „palców nie maczał” i nie ma z tym faktem nic wspólnego. Wytypowanie prawdziwego ojca było trudne, szczególnie na tym etapie rozwoju dziecka. Opatulony w czapeczkę, z wielkim smoczkiem w buzi, mógł być podobny do każdego faceta nie tylko z Miasteczka lecz z całego województwa. Pokątnie szeptano, że dopatrzone się podobieństwa do towarzysza sekretarza, ktoś inny widział w nim księdza, jeszcze inni mówili, że podobny jest do Stacha Ogryzka, sadownika, który dużo jabłek i gruszek odstawiał do skupu. Karuzela kręciła się i każdego dnia ktoś inny był na celowniku opinii publicznej. Fretka paradowała po Miasteczku z wózkiem i tylko uśmiechała się trochę szyderczo, trochę pobłażliwie. Nie pisnęła ani słówka w nurtującym wszystkich temacie.

Józik coraz wolniej chodził, nogi coraz bardziej puchły. Już tak często nie chodził do komitetu, za to coraz więcej pił w domu. Przestały go boleć dłonie i plecy, ale nogi nie...

Mijały lata. Syn Fretki i... no właśnie, kogo?... dorastał. Zdał maturę i pojechał do województwa na studia. Do domu przyjeżdżał rzadko, bo i po co. Fretka wpłacała mu pieniądze na konto, miał z czego żyć, a w domu co? - codzienne pijaństwo nierozmawiających ze sobą rodziców... Nie było sensu przyjeżdżać.

Któregoś dnia, po ustawowym spożyciu flaszki, Józik próbował przejść od stołu do łóżka, ale po dwu posuwistych krokach upadł i... dokonał żywota.

A Fretka, dalej mieszkała w tym małym, otrzymanym z przydziału komitetu, mieszkanku, dalej chodziła po Miasteczku ze swoim szyderczo-pobłażliwym uśmieszkiem... Postarzała się jak każdy. Jej duże oczy zrobiły się jeszcze większe i strasznie wylupiaсте, włosy przerzedziły się i posiwiały...

Jedno tylko się nie zmieniło - piła dalej...

*Saturnin Naliwajko
Wrocław, kwiecień 2020*



Ja Cię kocham, a Ty pisz!

2020

XIII Konkurs Twórczości Miłosnej
im. Mariusza Kargula

Jury XIII Konkursu Twórczości Miłosnej
„Ja Cię kocham, a Ty pisz!” im. Mariusza Kargula
w składzie:

Dorota Ryst (przewodnicząca)
Jadwiga Demczuk
Marcin Jurzysta

po przeczytaniu 271 zestawów,
w dniu 28 stycznia 2020 r. postanowiło przyznać
następujące nagrody i wyróżnienia:

Kategoria I - młodzież

2 równorzędne wyróżnienia otrzymują:

Aleksandra Majówka (Chełm)
i **Joanna Wyrzykowska** (Siedlce)

Kategoria II - dorośli

I miejsce - **Łukasz Barys** (Pabianice)
II miejsce - **Anna Piliszewska** (Wieliczka)
III miejsce - **Czesław Markiewicz** (Zielona Góra)

4 równorzędne wyróżnienia:

Urszula Sikora (Kowale)
Małgorzata Hrycaj (Szczecin)
Damian Dawid Nowak (Warszawa)
Emilia Marniok (Katowice).

Kolejny już raz mam przyjemność być jurorką w konkursie „Ja Cię kocham, a Ty pisz!” im. Mariusza Kargula. I kolejny raz przekonuję się jak ogromna jest potrzeba pisania o uczuciach, a zarazem jak trudna jest to sztuka. 271 zestawów, około 600 utworów... Każdy przecież kochał, kocha lub kochać będzie.

I tylko szkoda, że autorzy tak często sięgają po środki poetyckie użyte już tak wiele razy, że zbanalizowały się aż do bólu. Często rozmawiając z początkującymi poetami, zwracając im uwagę na banały w tekstach, słyszę w odpowiedzi: „ale ja tak czuję!”. Nie ośmieliłabym się polemizować

z uczuciami, tym bardziej ich negować, ale wiem, że najłatwiej jest sięgnąć po dobrze znane, by nie rzec - oczywiste, symbole i metafory. Wszak już na bardzo wczesnym etapie życia uczymy się, że aby na rysunku przedstawić słońce wystarczy narysować żółte kółko i kilka odchodzących od niego „promyków”, człowieka zobrazujemy kilkoma kreskami, różnicując nawet pleć (!), itd. Więc czemu nie przenieść tego do wierszy? I w ten sposób kartki zapełniają serca, dusze i róże - nie wątpię, że jest to szczere i prawdziwe. Ale istotą sztuki jest nie tylko prawda, ale przede wszystkim siła poruszania odbiorcy. A czy coś, co dobrze znamy, może poruszyć? Tak naprawdę głęboko i prawdziwie? Owszem, może być miłe, zwłaszcza jeśli jest skierowane bezpośrednio do nas, ale to jeszcze za mało, by zrodziła się prawdziwa poezja.

Tym bardziej doceniamy tych, którzy o uczuciach potrafią mówić w sposób niebanalny, zaskakujący. W tym roku jury było wyjątkowo zgodne - niemal jednogłośnie wskazaliśmy zestawy zasługujące naszym zdaniem na wyróżnienie. Tak swoją drogą, czyż nie zaskakującym jest, że trzy osoby w różnym wieku, z innymi doświadczeniami poetyckimi zgodnie wybierają z kilkuset prac kilka? Świadczy to przede wszystkim o tym, że nagrodzone zestawy naprawdę wyróżniały się wśród nadesłanych na tegoroczny konkurs.

Najistotniejszą cechą wszystkich wyróżnionych wierszy, tym co je łączy, jest chyba uważność, przyglądanie się światu - czułe, skupione. Autorzy obserwują świat, odczytują i rejestrują drobne zdarzenia, szczegóły. A potem zapisują, tworząc sugestywne obrazy. Wszak pamięć ludzka najłatwiej zapamiętuje właśnie obrazy, również te zbudowane słowami. Co nie znaczy, że wszystkie te zestawy cechują długie, bogate opisy. Ależ nie - często szkic narysowany kilkoma kreskami jest bardziej sugestywny niż obraz z mnóstwem szczegółów. Ważne, żeby był to obraz, nie schemat. Nie ma zresztą jednej recepty. Tak jak w malarstwie - jedni wolą Vermeera, inni van Gogha, a jeszcze inni Pollocka czy Malewicza. Ważne, że nagrodzeni autorzy nie powielają - tworzą własne obrazy, opowiadają własne historie (niekoniecznie przez siebie przeżyte).

Obserwujemy więc świat - uważnie, czule. I kochamy się - jak mówi w jednym z nagrodzonych wierszy laureat I nagrody Łukasz Barys: „Trzeba się kochać, na zapas, na oślep, na zaś. Kochać się zamiast ptaków na ostatnim drzewie, zanim weźmie i spleonie”.

Dorota Ryst

I nagroda

Łukasz Barys

Morze

Poranna sól na rzęsach: to ktoś stoi za oknem i prószy nam kryształki do oczu. Mewy na drzewach, uderzenie wiatru, śnieg: biała pościel, lecz półmrok, biała piana, lecz czarny pies wbiegł za patykiem do wody, zabrał ze sobą dziecko, o którym myśleliśmy, śpiąc, że w gęstym morzu ukrywa przed nami twarz, zamiast się urodzić. Pod prysznicem oglądaliśmy ciała o gładkich ścianach, stopniały nam w palcach. Wróżka, dawna miss Bałtyku, samotnie wybrała się na cocktail, poszliśmy wspólnie na plażę, obcięła nam włosy i zamknęła w bursztynie: sprzeda go innym zakochanym. Byliśmy łysymi dziećmi i nie chciałaś, bym nazywał cię księżyc, ale mówiłem ci księżyc, więc schowaliśmy się w muszli, żeby tulić się niczym małże. Mielśmy siebie w rytmie fal, zamiast powietrza perłowy blask i skromne szept, żadnego szumu.

Gniazdo

Wdrapaliśmy się na drzewo, ponieważ zostało ostatnie, i szkoda byłoby zmarnować. Tobie omsknęła się stopa, niezdaro, musiałem cię wciągnąć, ale w końcu udało się: zamieszkaliśmy w gnieździe zamiast ptaków, łowiliśmy sobie larwy, wtedy zacząłem mówić do ciebie „robaczku”, właśnie wtedy. Stroiłaś się w piórka, całe dnie spędzaliśmy na przebierankach i zrzucalaś winę na ptasi mózdzek, chociaż to nie mózdzek był winny. A kiedy bywałem smutny, bo się napatrzyłem na łąki, lasy i rzeki, to mówiłaś mi: nie patrz na pożary, bo popsujesz sobie wzrok, kładłaś mi na oku płatek bławatek. I mówiłaś mi czule, że trzeba się kochać w gnieździe, zamiast ptaków. Trzeba się kochać, na zapas, na oślep, na zaś. Kochać się zamiast ptaków na ostatnim drzewie, zanim weźmie i spłonie.

Bar

Patelnia syczy: nasz Wietnamczyk smaży warzywa, ale nie całuję cię w usta, bo przykro mi za dzieci i żonę, którzy zostali w biednym Wietnamie. Światło tłuste jak oliwa, rozlewa się na skórze. Przez maleńkie okno zagląda

osiedle, i jednak całuję cię w usta, ponieważ między nami są automatyczne pocałunki i puchną mi wargi od moralności przechodniów. Nasz Wietnamczyk czegoś się domyśla, ociera łzę, obwinia o rozpacz cebulę. My także płaczemy, zapraszamy go z żoną i dziećmi na kawę, kiedy ich ściągnie, poza tym przychodzimy codziennie na ryż. Mówisz, że mnie kochasz i chciałabyś dzielić się tą miłością z każdym i każdemu mówić, że upolowałaś mnie, ściągnęłaś z zagranicy. I kiedy czasami udaję kota i śpię na kredensie albo świerszcza, żeby przejść od łokcia do pępka, to łapiesz się za brzuch, próbujesz mnie złapać, położyć sobie na języku.

II nagroda

Anna Piliszewska

deszczowy kwiecień

woda marszcząc, odbija tekturowy latawiec z koślawym, kredowym sercem - tę krede wzięłaś po lekcjach - widziałam cię, gdy ją kradłaś.

widok z mostu jest inny, niż gdy stanać przy brzegu. jeśli zechcę,

to skoczysz, choć woda jest tuż po burzy mętnej - na burym grzbiecie niesie śmieci, korzenie.

obiecujesz, że jutro pokażesz mi radio dziadka albo gniazdo szerszeni, albo miejsce w ogrodzie, gdzie się grzebie zwierzęta, albo broszkę prababki - będę mogła wybierać.

za balonową gumę i sześć wodnych naklejek pokażę ci moje mleczne zęby - mam je w blaszanej puszcze po angielskiej herbacie. poproś, a pobiegniemy

do sadu księdza - na raub: dźwigane pod koszulami, niedojrzałe czereśnie, jedzone chyłkiem za szopą, są słodsze od czekolady i miękają, gniecione w palcach.

wyryjemy na desce gwoździem pierwsze litery naszych imion, a potem schowamy je nocą w dziupli - w zagajniku, pomimo, że tam straszny wisielec.

boję się, lecz niech będzie - a więc dzisiaj, na strychu! tam się
ze mną
zaręczysz, chociaż matka powtarza, że taki deszczowy
kwiecień
to nie pora na miłość...

deszczowy maj

dopadnij mnie - prędzej, prędzej!, biegnij w klapkach, chłostany
biczami ciepłego dżdżu -

za łąkami sołtysa, za siódmą wierzbą i miedzą, przycupnęły
jak wiedźmy chrome krzaki czerwemchy - pędźmy,

pędźmy co tchu! - już nieważne kto pierwszy, byle zdążyć
gdy błyska jak rozmiążdżone szkło wiosenna, krótka

ulewa. ukryjemy się, dysząc! z mokrych koszul i włosów
nie sposób wyżyć wilgoci. niech się turla,
niech kapie

śmiej majowy - jak perły, zanim potrząsniesz śliską
czerwemchową gałęzią: obsypani po uszy opilkami kryształu
będziemy świecić.

deszczowy czerwiec

w koralikach z odpustu i w kaloszach po siostrze
przyklekam na mokrym brzegu - szkliste jest lustro
stawu i w zaroślach wiatr trzeszczy.

od pocałunku rośnie nagle magia - jak tęcza. masz takie
nerwowe
ręce. szepczesz coś - nie rozumiem. następnie na wędkę stryja
nadziewasz sprawnie robaka. czekanie na wielką rybę

ciągnie się w nieskończoność - wzdychasz. czekam
wśród mżawki - i nadstawiam policzek, i plecy w mokrej koszuli
na prężnie nieskończoności.

plaska tafla paruje. w piachu jest pełno łusek. kłęń
na haku dygocze. i coś płacze bezgłośnie, kiedy sięgasz po nóż.
wycieka

światło słoneczne wielkim sitem gałęzi i ciepłowie rozświetla
usiane
piegami nosy. jest południe. w oparach śmierci oraz miłości,
poza czasem
siedzimy w kukki

na lśniąłym brzegu. ciało ryby
tężeje, zachodzi mętławą rdzą - spójrz! kiedyś, choć o tym nie
wiem,
tak będziemy umierać...

III nagroda

Czesław Markiewicz

Nagi na dworcu czytam Llose

kiedy pantaleon *pantoja* ściga mundur
wszystkie peruwiańskie prostytutki każą
na siebie wołać wizytantki

obok zasypia dziewczyna z kotem
podróżnym na piersiach
chciałbym być paznokciem
jej cierpnących sutków

posiąść wszystkie bezwonne z dworca
tak żeby natychmiast zostały ofiarami
deformacji mojego podręcznego becona

Oni

mężczyzna mówi jestem ostatnią deską gatunku
kobieta powtarza jesteś ostatnią brzytwą ratunku
on o sobie ona o nim
i nigdy nie pozamieniają się zaimkami

ona wkłada spodnie skracza włosy
ale od rana do wieczora
od początku do końca
będzie tylko ewą z jabłkiem w wyciągniętej dłoni

on zdejmuje pasek goli brodę
ale nawet po północy
przed snem i tuż po przebudzeniu
będzie zawsze józefem z siekierą na gotowym ramieniu

jeden jedyny raz ona będzie górą
kiedy on będzie zajęty zdobywaniem szczytu

Receptura Ericha Fromma. Repetytorium (z)goła miłosne

prawdziwą kobietą była matka każdego z nas. każdy z nas musiał odchorować pierworodne. czekając na kobietę która pierwsza poda jabłko. głód opanował najpierw okolice płochliwe. na ogół. nikt z nas nie pocił się śliniąc palce pod stołem. przylapywanych pozbawiano deseru z wisienką. następne kobiety niedojadały. albo żarły się ze wszystkimi. wydzielały dźwięki po kropli potu. otwierały usta jak pełną lodówkę. zamiast z nami chodzić. odchodziły. zazwyczaj twarze pierwszych nigdy nie były twarzami ostatnich. więc

przyjdzie nam wracać do ziemi. albo uwierzyć matce. albo skarłać pragnienie nazwać głodem -

Wyróżnienie

Urszula Sikora

Miłość ZERO WASTE

zrobił mi handpoke'a ze słonecznikiem chociaż bolało a igła
niesterylna

ale teraz mamy takie same więc romantycznie
po uczelni na grzańce do tej nowej wegańskiej gdzie słomki są
metalowe i mówią na ty
wesole rozmowy o Gruzji których nikt potem nie pamięta nie
szkodzi

jest tam nasz stolik z wydrapanymi inicjałami
graliśmy na nim w pokera ziemami słonecznika
i miałam małego strita więc powiedziałam wchodzę
teraz nasze wspólne konto na Spoti znaczy więcej niż ciche
kocham cię i dotyk

te czasy psują mi wzrok ale wystrzają zapach i smak
więc zrobię swoje własne perfumy z róż w doniczkę które
podaś mi na miesięcznicę
(rocznic nikt już nie oczekuje)
tylko żeby butelka była szklana a dyfuzor z plastiku z dna
oceanu

żeby wiedzieć żeby dbać żeby mówić o tym jak ważne jest
wszystko

więc chodź ze mną na Wajdeloty po jajka i siemię lniane do
własnego opakowania

chleb z piekarni na rogu i warzywa z targu
zrobmy z tego wszystkiego ostatnią wieczną i pożegnajmy się
w pokoju jak przystało

a potem wszystko od początku

tylko hasła trzeba zmieniać

Dzień 21-latk

wibracje telefonu więc „drzemka”
o kurwa, już spóźniona
prysznic, zęby, suchy szampon, tusz do rzęs Maybelline
rekord na 100 m w sprincie na autobus
uśmiech tego chłopaka, który zawsze czyta książkę na czwórkę

przyjaciółka i jej bobas, bobas ssie marchewkę
myślę: kurwa, muszę iść po tabletki
i głaszczę przy tym małą główkę, delikatny puszek kurczęcia
pa pa przyjaciółka zostaje ze smoczkiem i skroluje Instagram

biegiem na tramwaj nie ma drobnych
szczęście że można kupić mobilnie
na żarcie wege do nowej knajpki na Wrzeszczu
miała być tylko Pola są też chłopaki

dopiero 13 ale mimoza za dychę
Darek opowiada jak się nufurli w klubie i kumpel rozwalili łeb o
beton

Darek płacze ze śmiechu, my też
Darek jest uzależniony, Darka wyrzucili z Monaru

chinkali trochę słone zapijamy Aperolem
skąd na to pieniądze nie wiemy
pet mentolowy na dachu, Pola mnie przytula
„tęskniłam” mówi
daje mi muszelkę z Nowej Zelandii drżą jej rzęsy
rzucam wrednym żartem bo zrobiło się za bardzo

a potem
samotny powrót SKMką jako manifestacja czegoś
(czegokolwiek)

ludzie pijani nikt nie widzi słonej wody na twarzy
wchodzę do mieszkania on śpi na kanapie budzi go światło
i robi co robi co on mi robi
myślę „kocham” przez sen i rozbudza mnie to
płaty skóry zamknęły jego oczy w ciemności, a oddech-zegar

uciekam przed jego niewinnością do ciemnego salonu
w słowniku szukam słowa „związek”, a potem „odpowiedzialność”
„sens” na końcu: „miłość”
palę i będą śmiedzieć zasłony
uczę się odmian, wkuwam na pamięć

zasypiam na kanapie
jutro znów obudzę się spóźniona

Wszystkiego najlepszego w nowym roku

cekinowa sukienka jak kula dyskotekowa oślepia i chce się do
niej tańczyć

szampan musując gryzie w język
a twoje dwa palce są na moich plecach
moje plecy chcą być dotykane przez twoje dwa palce

pióra boa na parkiecie, dusisz mnie swoim spojrzeniem
żyjemy do mojej ulubionej piosenki, bo dzisiaj nie ma żadnego
roku i żadnego dnia,
zniknęliśmy z kalendarza, ktoś stał nas z mapy, budynek się pali
wisimy w czarnej dziurze, a wokół eksplodują supemowe

wszystko za mocno wszyscy zbyt blisko strzelamy spojrzeniami,
a oczy-cekiny

zamykam się w szafie i wdycham naftalinę
kręci mi się w głowie, czyjeś futro na mojej szyi, dusi szalik z
wielbłądziej wełny

rozbierają mnie skórzane rękawiczki

kończy się wszystko, tracę ostatni oddech
wełna w gardle mokra od śliny
może jutro ktoś znudzony znajdzie ciało w szafie
znów było Cię we mnie za dużo

Damian Dawid Nowak**po północy**

Nie ma jej już trzeci miesiąc. Zmieniają mi się zaimki,
w apostrofie była nadzieja, że odbiorca czyta, lub
śpi gdzieś w pobliżu. Uroilem sobie, że mam na cokolwiek
wpływ, że odpowiednia kombinacja słów odczaruje świat.
Zakochany bywa głupcem, zakochany poeta nim
na pewno jest.

jak zwykle nie pamiętam
czy to był listopad

każda historia jest na sprzedaż
dlatego Mikołaj świętym jest tylko
z imienia
a choinki wyrastają już w listopadzie
piąty raz piszę o tym jak Cię pierwszy

raz zobaczyłem
ale wciąż nie potrafię określić Twojego
koloru włosów
może kiedyś do niego wrócisz a ja
w końcu sprzedam naszą historię

Małgorzata Hrycaj**apollo 1**

nie jesteś złotowłosym chłopcem
z amerykańskiego snu o potęgde
otwartą księgą z posłannictwem
zapisania w dziejach śladów
niewiele znaczą dla ludzkości
nasze kroki do siebie między stacjami
kosmicznymi księżyc - ziemia
błogo sławię czas turbulencji
lewitowania wśród niedorzeczności
miłości której świat nie dawał szans
międzygwieźdznego pyłu
który nam się s-pelnił
noce zdają się bezdennie samotne
kiedy widzisz ciemną stronę

exodus

dotknij mnie
popatrz wymownie
przejdź przez ogień
zamiast kwiatów przynieś
skalpy wrogów opatrz rany
popiołami bitew wygranych
zabierz do wigwamu
nadaj imię pędem koni
wiatrem preni tańcem włosów
dostrzeż we mnie zew losu
zmieszaj krew wytrop ślady
łyknij whisky ostatni bastion
wyjścia z rezerwatu

minęło z wiatrem

pamiętam wielką osiedlową ław
całowanie w bramie wieżowca
/to jakby utknąć w ceremonii
przenoszenia przez próg/
purytański tłum z lewa i z prawa
nie szanował chwili trwała wietrznie

pomimo łajañ przeciwników
wąskiego gardła /trędowata/
wkrótce potem umarła na
ochłodzenie głów pozostała
opryszczka i rów mariański
w miłości lepiej unikać przeciągów
słuchać matki

Emilia Marniok

gorące pozdrowienia znad słonecznego bałtyku

fotografia
nieumiejętnie przycięta
ostrze zostawiło po sobie
zazębione brzegi
przesypały się
dwa tygodnie piasku
pod stopami wczasowiczów
grzebiąc każdy sekret
krótko ściętej głowy
słowa w końcu
przestały stawać w gardle
jak ości
przeplęły
trzy tygodnie słonych jak morze
łez wczasowiczki
wyciągnięta dłoń
zamknęła się niespodziewanie
na uchwycie
nożyczek kuchennych

pablo picasso, płacząca kobieta

robi, co tylko może
żeby bławatek przy rondzie kapelusza
nie zwiądl
nie stracił płotka
odpowiadając na niewygodne pytanie
kocha - nie kocha?
podlewa go codziennie
budząc ciekawskie spojrzenia
ludzi w autobusie
z grymasem
nienależącym do niej
staje się jego
naturalnym nawozem
- nie kochał

„jackowi zawsze ta sama
danusia”
mruczy pod nosem
spoglądając na fotografię
nieznośnie załęgła się w szafie
razem z molami
wśród starych futer
czasem miło wtulić się w wyciągnięte ramiona wspomnień
spod przymkniętych powiek przywołać obrazy
którymi nawet z księdzem na spowiedzi
nie wypada się dzielić
ryglując za wnukami drzwi
przypomina sobie
to ten niefortunny dzień;
mąż oddycha za głośno
obiad się przypala
a w telewizji mówią
jeszcze bardziej od rzeczy
wtedy było inaczej
zatelefonował
będzie nowym autem koło dwunastej
ukradła szminkę mamie
spódnice za dużą
po siostrze
spieła szpilkami
i nawet rajstopy wiedziały
żeby się nie dziurawić
puszczał kierownicę
kiedy z piskiem zasłaniała oczy
nazywając go wariatem
skrupulatnie przejrzała wywołane klisze
spod zmarszczonych brwi zapadł werdykt
„jackowi
danusia”
pisała trzęsącą się dłonią
„zawsze ta sama”
mruczała pod nosem
gdy do ołtarza
prowadził inną

Wyróżnienie - kategoria młodzież

Aleksandra Majówka

nastrój na odchodzenie od żywiołów

poza razem gdy byłam chora z miłości
i tylko starożytni stawiali diagnozę
jeden kochanek wyleczy drugiego mówili
każąc mi wypływać motylki z brzucha
i potem robili z nich okłady na klatkę gdzie
zamknięto smukłą ważkę szalała
gdy słychać było sygnał nowej wiadomości
a oni zaciskali nad łokciem pas (cyferki wracały na tarczy)
powtarzali bezsercowny przypadek
stałe szklane kule dwa akwaria teraz zalane winem
usycha krzak porzeczek (bo ona nie róża a też kolce
a też czerwona i teraz sinieje na czarno)

poza tym razem prawie umiem zachować twarz prawie umiem
zachować cnotę

po zarazem odkryciu że rozmysły napędzają nie ten strumień
a ja sama nie potrafię stanąć po jednej stronie mostka jak
i po stopniowym roztopieniu się przez ognisko w lesie
zauważam że gęsty oleisty lepki mazisty czarny dym klei się do
mnie

odkąd mam samie oczy szkła w ciepłym odcieniu sepii dlatego
odganiam go
machając chusteczką

a oni szepczą że to niewyleczalne
że została mi poza kiedy byliśmy razem

godzina ósma rano piątek nadal szukam cię w szepcie

na początku był chaos
i z chaosu wyłoniła się układanka splecionych ciał i skołtunione
rzęsy

więc ciekawe czy nasze prywatne atomy węgla
cząsteczki wodoru ulamki tlenu i szczypty azotu
muszą do siebie pasować tak jak

na początku dobrano żebra i spodnie
i skarpetki i miseczki stanika i rękawy w pary
rozdzielono wstążki włosów pasy na krawacie bawelniane nitki
w figach
aby potem puszczać to z parą (lepimy się z gliny zalanej łzami

i zostawiamy na za długo w piecu
szlifujemy grafit z ołówka i próbujemy wierzyć że to diament w
pierścionku)

jeszcze dziś będzie padał deszcz tak że zmyje sól z powiek
nasze dzieci będą ślepe
(ja jestem krótkowidzem a ty bez wyobraźni)
jeszcze dziś potop zatopi wieżę babel także umyjmy od tego
pamięć

nasze dzieci będą nieme
(nasze języki dobrały się w pary)
jeszcze dziś będziemy chodzić po wodzie tak że ześlą na nas
plagi

nasze dzieci będą czuć
z dymem z papierosów wchłoną naszą nostalgię

choć przez chwilę wędrujemy cygańskim taborem

czasami narzekasz że życie tak naprawdę nie ma konkretnej
fabuły

inaczej niż te książki i filmy i seriale które zaprzeczają naszej
przejażdżce z punktu alfa do omega bez pi bez fi bez bety
bez składu obietnic pamiętek bez składu rąk do modlitwy
bez przymiarek

mówisz że kiedyś będziemy mieszkać na ulicy mojego imienia
(jeśli nie oni to ty przybijesz tabliczkę) ale teraz nie potrafię
nawet przyznać się jak naprawdę powinienes mnie nazywać
bo chciałabym złożyć moje życie w mapę /taki plot twist/
rozrzucić na niej wczorajsze okrucy (to wszystko na dnie
schowka pomiędzy

skórzanymi rękawiczkami a przeterminowaną migawką)
wsiaść do samochodu i chociaż nie mam prawa jazdy
usiaść na fotelu kierowcy
i zaznajomić się na nowo z siłą ciężenia

jeśli nie roztraskamy się na żrenicy jutra
to możesz zacząć sprawdzać czy ten fragment nada się na
punkt kulminacyjny nie za dobrej powieści
której boję się napisać

bo czasami wolę zamknąć historie w skrzyni łóżka
gdy ją odkurzam (a rzadko zdarzy się jej zarosnąć chwastem)
pachnie prześcieradłem i letnią nutą jakby nigdy nie szczerstwiała

Joanna Wyrzykowska

Sweter

Boję się pisać o starej kobiecie
Z naprzeciwnika
Widziana z okna co dzień
Robi i robi na drutach.
Piosenka alternatywnie
Zagra grą słów.
Drutem staruchy
Nie ukuła się żadna
Nieogarnięta księżniczka.
A ona jest stara
i robi na drutach sweter
Dla niego,
Który nie jest jej mężem.

Nic na siłę

Kobiety
Nie musimy mężnieć
I twardnieć
I prężnieć
I szorstnieć

Co poczniesz ze sobą
Woda w wazonie

Po co komu
Skamieniałe kwiaty.

Nie opłaca się kochać

Nie opłaca się kochać
Za wysoką cenę
Moja droga
Wyznawać miłość

Nie opłaca się kochać
Bez taniego zapewnienia
Głupiej gwarancji losu
Że zostaniesz

Nie opłaca się kochać
Za dużo kosztuje
Uciszący ciszę
Dźwięk
Dwóch żywych serc.

Kamieńska zawsze w temacie

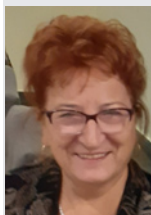
Miłośnicy literatury polskiej na próżno spodziewali się, że przypadająca tego roku setna rocznica urodzin poetki będzie dostateczną okazją do ogłoszenia przez parlament ogólnopolskiego Roku Anny Kamieńskiej. Rocznicę uhonorował za to (kto wie, czy nie skuteczniej i odświętniej) temat maturalny z języka polskiego brzmiący: *Zinterpretuj podany utwór - Anna Kamieńska „Daremne”*. Maturzysta miał dokonać interpretacji z użyciem co najmniej 250 wyrazów, czyli mniej więcej połowy strony „Nestora”. Wiersz publikowany był w tomiku „W oku ptaka” wydanym w 1960 roku. (adm)

Anna Kamieńska

Daremne

Noszę od dzieciństwa cały ten багаż:
Skrzypce ojca w czarnym futerale,
Drewniany talerz z napisem:
„Do soli i chleba gości nam potrzeba”,
Jedną dróżkę głęboką,
Po której przesuwają się cień konia i wozu,
Ścianę pleśni,
Rozkładane łóżeczko,
Wazon z gołąbkami,
Przedmioty
Trwalsze nad życie,
Wypchanego głuszca
Na spróchniałym kredensie,
Ach - i jeszcze tę całą
Piramidę schodów i drzwi.
To nielekko
Dźwigać tyle rupieci.
A wiem, że do końca
Nie pozbędę się ani jednego.
Aż przyjdzie mądra moja matka
Przyjdzie znikąd donikąd,
I powie:
- Złóż to wszystko, córuchno.
To nie ma sensu.





Wanda Węgrzyn-Bodnar - ur. w 1947 r. w Przeworsku. Córka przesiedleńców ze Lwowa. Jej ojciec - Antoni Węgrzyn, jako drukarz był zaangażowany w czasie wojny w działalność konspiracyjną. Studiowała fizykę na WSP

w Rzeszowie. Do przejścia na emeryturę uczyła tego przedmiotu w I LO w Sanoku, gdzie mieszka. Długo aktywna w ruchu harcerskim, posiada stopień harcmistrza. Pisze od dawna, ale dotychczas nie publikowała. Pasje: literatura, turystyka, góry.

Wanda Węgrzyn-Bodnar

Z cyklu Tatry

Na grani

Zawisnąć między niebem a ziemią
poczuć drżenie rąk i nóg
umęczonych do granic wytrzymałości

Chwycić powietrze przesyczone słońcem
w spieczone wargi

Jeszcze jedno ostatnie podźwignięcie rozedrganego ciała
i oto grań objęta ramionami
w dziękczynnym uścisku

Zjednoczona teraz z ciałem
zda się dziwić istocie tak marnej
w obliczu własnego majestatu

Chwila rozciągnięta w nieskończoność
zespoleciem skały i człowieka
dziwnym misterium zderzenia
dwóch światów
przenikających nawzajem
swoje tajemnice

A jednak pulsowanie w skroniach
odmierza czas
który się nie zatrzymał

W jaskini

Wnikam w ciebie ziemię
jak krople wody
sączonej się nieprzerwanie
po chłodnych ścianach

W ciemnej głębi
dalekiej od światła
dotykam dłońmi skał

Muskam lekko delikatnie
chropawość bloków
chloneń pierśią ich zapach

Poznaję bez oczu
kształty i tajemnice
twojego wnętrza

Maluję w pamięci
obraz przedwiecznych dokonań
który jest
i który będzie
poza moim istnieniem

Ile cudów drzemie
w tobie Ziemio
kiedy jawisz się
coraz innym
moim oczom

spokojna i uległa stopom
naruszającym twoją dziewiczość

cierpliwa dłoniom
raniącym skałę
ostrzem haków

przyzwalająca sięgać szczytów
gdzie mieszkanie bogów

dostępna wnętrzem
gdzie nawet światła
nie uda się dotrzeć

Ile w tobie jeszcze tajemnic
chowanych zazdrośnie
przed moją niecierpliwością

Zapewnienie

ukochaj wiatr wczarowany
w plamy kosówek
na stokach

będę

oprzyj dłonie rozedrgane
na granitowych
występach

uspokoję

wsącz się w głębiny parowów
pospołu z deszczem
jesiennym

przyjmę

i nazwij cudem tę chwilę
przenikającą
przez palce

powtórzę

Czekanie

Ręce chwytaly się pośpiesznie granitów,
aż stanęłam jasna i czysta
między niebem a ziemią.
W oczekiwaniu południa.

Wieczorem moczyłam nogi
w strumieniach piekących
wpatrywałam nocy przy stawie
z diamentami na dnie nieba.

Świty witałam na początku drogi.
A jednak - nasze ścieżki
rozmijały się w Tatrach.

Zapamiętanie

Wkładam ręce w kosodrzewinę
po ramiona -
nie czułam ukłuć.
Boso po piargach chodziłam -
stóp nie raniły
kamienie.
Dziwiłam się wiatrom, że silne
i nieubłagane
a łzom, że nie znajdują
miejsca pod powieką.

bańki mydlane

wydumałam dni wielobarwne
malowałam nadzieję w oczach
strzegłam słów powiedzianych
jak tajemnego amuletu
wpięłam kwiaty we włosy
i czekałam u drzwi

a jednak czterolistną koniczynę
nie mnie darowałeś.

W rocznicę spotkania

Niedopałki w popielniczce
niedopita kawa -
wyszedłeś tylko
po papierosy,
prawda?...

Zdjęcie

przykucnęłam w rogu
twojej wyobraźni
jak mysz spłoszona
nadmiarem wydarzeń
i trwam z paciorkami oczu
znieruchomiałych od światła
czy tak miało być
czy tylko czas pokazał
w krzywym lustrze
twarz z fotografii

Pierwszy śnieg

Śniegu, śniegu białe pola,
nieprzejrzana dal.
Gdzie złocista, purpurowa,
co dzień inna, co dzień nowa
ściana lasu?

Żal!

Zatopiło się w niebycie
malowane tło -
cichcem dokądś uleciało,
z ową nocą się zabrało,
czy mu kazał

kto?

A ja przecież jeszcze chciałam
poutykać weń
swe nadzieje i marzenia,
tęsknoty i zamyślenia
na zimowy

sen.

Anna Krystyna Miśkiewicz

Miejsca zwykłe i niezwykłe w życiu Bolesława Leśmiana



Kijów z tych pamiętnych czasów tętnił życiem umysłowym. Skupiał sporo inteligencji polskiej. Nie brakowało salonów literackich. Leśmian wszędzie był...

(Maria Ludwika Mazurowa)¹

Warszawianin Bolesław Leśmian spędził dzieciństwo i lata szkolne w Kijowie. Ukończył tu II gimnazjum klasyczne przy Bibikowskim Bulwarze (dziś ulica Tarasa Szewczenki), a następnie pod presją ojca Wydział Prawa Uniwersytetu św. Włodzimierza. Ze wspomnień Henryka Hertzbarwińskiego, szkolnego kolegi Leśmiana, wyłania się wizerunek nieprzeciętnie uzdolnionego, obdarzonego niezwykle pamięcią młodzieńca o drobnej budowie ciała i nieśmiałym, poważnym usposobieniu. Niewątpliwie nie jest to obraz pełny. W czasach studenckich początkujący poeta chętnie uczestniczył w salonach literackich i spotkaniach o charakterze artystycznym. Deklamował poezję klasyków polskiej literatury, improwizował. Około 1893 roku miał miejsce epizod, który przyczynił się do uwięzienia Leśmiana przez carską policję. Recytował on patriotyczne utwory podczas uroczystości ku czci Adama Mickiewicza, gdy w pomieszczeniu pojawili się rosyjscy funkcjonariusze. Leśmian trafił do więzienia politycznego, z którego po półrocznej odsiadce wykupił go ojciec.

W czasach kijowskich Leśmian zaprzyjaźnił się ze śpiewakiem Myszugą, poetką Zofią Wojnarowską, poetą Xawerym Glinką, aktorem Henrykiem Barwińskim, tłumaczką Izabelą Rogożową i z małżeństwem Wandą i Cezarym Popławskimi. Te serdeczne relacje podtrzymywał do końca życia. Leśmian korespondował też stale z Zenonem Przesmyckim. Listy nadsyłane na warszawski

adres „Miriama” dotyczyły między innymi czasopisma „Chimera” oraz trudności z opublikowaniem debiutanckich wierszy. Poeta dzielił się też wątpliwościami dotyczącymi samooceny swego talentu i prosił o recenzję swych utworów.

Z Kijowem wiąże się również wspomnienie niełatwych relacji rodzinnych. Ojciec poety, Józef Lesman, podjął decyzję o przeprowadzce z Warszawy do Kijowa ze względów zawodowych. Objął tam stanowisko kierownicze w Kolei Południowo-Zachodniej. Panią w kijowskim mieszkaniu była jego druga żona, Helena z Dobrowolskich. Bolesław pamiętał niewątpliwie swą matkę, zmarłą na gruźlicę Emmę Sunderland. Mimo tego, że macocha starała się troskliwie i czule opiekować sierotami, przyszedł poeta przez długie lata nie mógł się do niej przekonać. W Kijowie zmarł też młodszy, czteroletni braciszek Bolesława. W rodzinie pielęgnowane było wspomnienie utalentowanego poetycko chłopca, który mówił wierszem.

Ta niepojętość zieloności to Ukraina, gdzie się wychowałem. Humanistyczna i Białocerkiewszczyzna, Zofiówka i Szamrajówka. Były tam lasy Branickich, ach, drogi panie, co za lasy.

(Bolesław Leśmian)

Bolesław Leśmian chętnie i często wyjeżdżał poza miasto. Bywał między innymi w Monastyrzyczach u stryja Aleksandra Lesmana, w Szamrajówce u leśniczego Aleksandra Sferyczewskiego oraz w wiejskiej posiadłości Dobrowolskich, krewnych macochy. „Niepojętość zieloności” lasów Ukrainy miała znaczący wpływ na jego postrzeganie świata przyrody. Maria Ludwika Mazurowa, córka poety, podkreślała we wspomnieniach, że ojciec „kochał zwierzęta i kochał naturę”. Las „niespodziany”, płatanina drzew i krzewów, czarująca i tajemnicza zarazem mieszanina odurzających woni kwiatów i omszałego runa, niepokojących szelestów i ptasich treli pojawia się już w debiutanckim tomiku poetyckim „Sad rozstajny” z 1912 roku. Cieniste gąszcze i ostępy zaludniają „dziwy leśne” - niewidzialna dziewczyna, topielec zieleni, upiór dębowy czy ponętna zmora piła. Ta jedyna w swoim rodzaju sceneria będzie zawsze obecna w twórczości Leśmiana.

¹ Cytaty Marii Ludwiki Mazurowej - córki Leśmiana - pochodzą z jej wspomnień *Podróże i praca twórcza Bolesława Leśmiana* [w:] „Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie”, pod. red. Z. Jastrzębskiego, Lublin 1966, ss. 42-43.

A mieszkał wtedy na Quartier Latin, w starym dziwacznym pensjonacie prowadzonym przez dwie stare Francuzki. [...] Nie sypiał po nocach. Opuścił się. Guzików brakowało przy marynarce.

(Maria Ludwika Mazurowa)

W 1903 roku Leśmian rozpoczął podróż artystyczną po Europie. Odwiedził Monachium i zauroczył się miastem. Jednak ostatecznie osiadł na dłużej w stolicy Francji. Pensjonat Maison Roger w Dzielnicy Łacińskiej był miejscem szczególnym. W zabytkowym budynku, oprócz właścicielek i Bolesława Leśmiana mieszkał pisarz Wacław Berent. I to właśnie on oraz Józef Leśmian ratowali poetę przed ostatecznym upadkiem finansowym. Z listów, które pisał do Zenona Przesmyckiego oraz wspomnień bliskich wyłania się niewesoły obraz. Bolesław ustawicznie uskarżał się na brak pieniędzy na podstawowe potrzeby życiowe, prosił o stypendium lub zapomogę. Paryż to woń papierosów, które poeta nałogowo palił do końca życia, i optymistycznego wiosennego odrodzenia. Paryż to sympatia do początkującej malarki Zofii Chylińskiej, z którą ostatecznie stanął na ślubnym kobiercu w 1905 roku.

Głęb zieloności położona była wysoko na góskim zboczu. Tuż nad przepaścią. W dali błękitniało morze. Lasek eukaliptusowy, rozfalowane zagony margaryt, pola różane. Było bardzo pięknie.

(Maria Ludwika Mazurowa)

Niemal dekadę później państwo Leśmianowie z córką Marią Ludwiką i kuzynką Bolesława Celiną Sunderland wybrali się na kilkumiesięczny objazd po Francuskiej Riwierze. Wyjazd był możliwy dzięki zaliczce wypłaconej przez Mortkowicza na poczet zamówionego tomu klechd polskich. Podróżnicy pomieszkują na przedmieściach Cannes. Błękit morza, chłodna zieleń eukaliptusów i różane klomby zauroczyły Leśmiana. W rajskej scenerii La Bocca pracował nad klechdami i poprawiał dramat „Skrzypek opętany”. On - opętany urodą Łazurowego Wybrzeża, poszukiwaniem niebiańsko pięknego dźwięku.

Lato 1917 roku zaważyło szczególnie na całym jego życiu, gdyż do Ilży zjechała również kuzynka Celina ze swoją przyjaciółką doktor Dorą Lebenthal.

(Jan Brzechwa)

Na początku XX stulecia Ilża była prowincjonalnym polsko-żydowskim miasteczkiem z Górą Zamkową i średniowiecznymi ruinami, zabytkowym kościołem i parterowymi drewnianymi budynkami mieszkalnymi z niewielkimi ogródkami. Dla Leśmiana Ilża ma szczególne znaczenie. Odwiedzał tu krewnych ze strony matki. Do Sunderlandów należała fabryka fajansów i dom wrośnięty w zbocze Góry Zamkowej. Bolesław tu bywał, spacerował po pobliskim, starym ogrodzie, spoglądał na płynącą w cieniu wierzb Ilżankę. Podczas wakacji 1917 roku Ilżę odwiedziła Celina Sunderland w towarzystwie przyjaciółki Teodory Lebenthal. Dora ukończyła medycynę na Sorbonie i pracowała jako asystentka prof. Bernhardta w Szpitalu św. Łazarza w Warszawie. Ze wspomnień Jana Brzechwy i Heleny Wiewiórskiej wyłania się obraz kobiety o atrakcyjnej powierzchowności i ujmującym sposobie bycia. Ilża, a być może maliniak znajdujący się w przydomowym ogrodzie Sunderlandów, połączyły Dorę i Leśmiana. Romans trwał do końca życia poetę. Rozgrzany letnim słońcem i namiętnością kochanków gąszcz malin pojawił się w wydany w 1920 roku tomiku „Łąka”.

Hrubieszów pozostał mi w pamięci jakiś niebieski i drewniany. Pełen płotów i sadów. Z boku, przy głównej ulicy wijącej się serpentyną przez miasteczko, stał nasz dom. A za nim, w dzikim, zarośniętym sadzie płynęła rzeka. Nasz dom był nadzwyczaj dziwny.

(Maria Ludwika Mazurowa)

W 1918 roku, dzięki protekcji wiceministra sprawiedliwości Śmiarowskiego Bolesław Leśmian otrzymał intratną finansowo posadę notariusza w Hrubieszowie. Jesienią przeprowadził się wraz z rodziną na Lubelszczyznę. Kancelaria i mieszkanie mieściły się w starej, dawno nieremontowanej kamienicy. Ówczesny Hrubieszów to przylegające do budynków sady i kwieciste łąki tuż za centrum miejscowości. Mimo tej bliskości natury, Leśmian źle się czuł w miasteczku. Tęsknił za kawiarniami Warszawy, za spotkaniami artystycznymi i za

ukochaną Dorą. Początkowo sporadycznie, potem coraz częściej brał urlop i wyjeżdżał do stolicy. Obowiązki zawodowe coraz częściej wykonywał za niego prawnik Zygmunt Krauze.

Obcuję z papierami w kancelarii rejentalnej, która odrywa mnie nieustannie od pracy literackiej, tak iż tylko czasem udaje mi się ukraść trochę czasu dla siebie. Pobyt w środowisku prowincjonalnym jest po prostu męką dla mnie. Ratunkiem jest cudowny ogród zoologiczny, gdzie często przesiaduję.

(Bolesław Leśmian)

Wiosną 1922 roku Leśmian otrzymał nominację na stanowisko notariusza, a następnie rejenta hipotecznego w Zamościu. Rodzina przeprowadziła się do dużego, komfortowego mieszkania w Domu Centralnym. Mimo wzrostu dochodów i poprawy warunków lokalowych, poeta nie był zadowolony. Praca zawodowa męczyła go i nie pozwalała mu spokojnie tworzyć wierszy do planowanego tomiku „Napój cienisty”. Leśmian coraz rzadziej bywał w kancelarii. Przesiadywał nagminnie w ogrodzie zoologicznym i chętnie prowadził dysputy z Adamem Szczerbowskim, dyrektorem miejscowego gimnazjum męskiego. To jedyne miejsce w „prowincjonalnym”, jak zwykł mówić, Zamościu, gdzie czuł się dobrze. Urlopy brane na podratowanie zdrowia i z powodów osobistych oraz ciągłe wyjazdy i nierzetelnie prowadzona księgowość przyczyniły się niewątpliwie do epizodu, który zrujnował finansowo Leśmiana. Pod koniec sierpnia 1929 roku poeta odkrył w kasie brak pieniędzy skarbowych. Domniemany rabunek dokonany przez jego zastępcę Adamowicza czy też kradzież powiązana z wcześniejszą niefrasobliwością Leśmiana obciążyły rejenta. Został on zobligowany do zwrotu całej sumy. Mimo pomocy bliskich osób, poeta już do końca życia borykał się z trudnościami finansowymi.

W roku 1933 zostaje wybrany do Akademii Literatury. Jest tym faktem głęboko uradowany.

(Zygfryd Krauze)

W październiku 1933 roku Leśmian został wybrany do utworzonej przez rząd Polskiej Akademii Literatury. Wreszcie nadarzyła się okazja, by po latach wrócić na stałe do stolicy. Warszawa to

miasto, za którym zawsze tęsknił i z którym związane były wspomnienia ożywionej pracy literackiej i równie intensywnego życia kawiarniano-towarzystwskiego. Jesienią 1935 roku Leśmianowie przeprowadzili się do mieszkania w kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 17. Dom tętnił życiem. Leśmiana odwiedzali między innymi Karol Irzykowski, Wincenty Korab-Brzozowski i Zofia Nałkowska. Poeta brał udział w posiedzeniach PAL i intensywnie pracował - dokonywał ostatecznej korekty wierszy, które weszły w skład tomiku „Napój cienisty” oraz tworzył teksty, które zostały wydane pośmiertnie w zbiorze „Dzieńba leśna”. Cieniem na warszawskim życiu kładły się niewybredne antysemickie ataki prasowe ośmieszające jego utwory i jego osobę. 4 listopada 1937 roku Bolesław Leśmian odwiedził „Ziemiańską”, by napić się kawy, a 5 listopada wieczorem umarł we własnym mieszkaniu na zawał serca. Poeta spoczął na Starych Powązkach w grobie swej siostry Aleksandry.

*Leżę na wznak na łące. Jakiś duch po burzy
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali,
Zaniósł mię tu i złożył...*

(Bolesław Leśmian)

Bezkrzesna łąka - bujna trawa, kwieciste koblance, wonne zioła, nikomu niepotrzebne chwasty - to przestrzeń zarazem zwyczajna i magiczna. Zamieszkują ją owady i ptaki, zaludniają ją dziewczęca mgła i zabłąkane dusze. Zatracając się w zieleni łąki człowiek, ma jedyną i niepowtarzalną szansę, by odbudować przymierze z naturą, odkupić grzech pierworodny cywilizacji.

*Anna Krystyna Miśkiewicz
(Drohobycz)*

Anna Krystyna Miśkiewicz - magister filologii polskiej i historii oraz metodyk w Ogólnoukraińskim Koordynacyjno-Metodycznym Centrum Nauczania Języka i Kultury Polskiej w Drohobyczu.

Wojciech Bieluń (Targosz)

wiersze z Bończy

otaczała mnie cudza śmierć
naznaczona czymś w rodzaju
pieczęci
niespodziewana Dolegliwość
szkicowała niepewnie przyszłość
w której tkwiłem od początku
zaskakiwała zależnością
porannych newsów
od układu planet

traciłem kontrolę
nad własnym życiem
ta przypadłość
mnie upośledzała
przesuwała granice bezsilności

Wiersz ukazał się w czasopiśmie „Wytrych”, Wolna Inicjatywa Artystyczna, wydanie specjalne, numer 7 (23) maj 2020. Wydanie specjalne powstało w odpowiedzi na zaproszenie do wzięcia udziału w projekcie pn. „Wierszem w czas pandemii”. W projekcie wzięło udział 131 poetów i 15 plastyków.

Poniżej wiersze w wersji polskiej i angielskiej:

marzenia

odwrócone czekają
na swój czas
czy wyschną w słońcu
rozpłyną się w deszczu
czy przygną aż przyklekną

widzę na skraju jutra
przyszłość
rozpostartą pomiędzy szeptem a krzykiem
taki rodzaj fantazji

dreams

turned over are waiting
for their time
will they dry in the sun
dissolve in the rain
or crush me so that I kneel

I can see on the brink of tomorrow
the future
spread between
whisper and scream
such fantasy

samotność

lekceważone uczucie
dążenia i mijania
ujawnia wnętrze
tego co rodzi się w umyśle
własną filozofię
niezłączonych ze sobą elementów
a nicość wysyła sygnały
z głębin królewsko czerwonego nieba
obiecując nowe przemyślenia

loneliness

a disdained feeling
of pursuit and elapsing
reveals the inside
of what is born in mind
its own philosophy
of separate
elements
and nothingness is sending signals
from the depths
of the royal red sky
promising
new thoughts

przetrawianie

filozofia prepperów mówi
bądź gotów
ten świat to jedyna opcja
wspólny mianownik doborów
kodeks bez przypadkowych zdarzeń
i niczyjej woli

jestem posiadaczem
kilku podstawowych przedmiotów
oraz pewnej wiedzy
wystarczy żeby przetrwać

survival

a philosophy of preppers says
be ready
this world is the only option
a common denominator
of choices
a code without coincidental
incidents
and nobody's will

I'm the owner
of a few basic
items
and some knowledge
enough to survive

Wojciech Bieluń (Targosz) - rocznik 1947, znak zodiaku Skorpion. Dzieciństwo spędził w małej miejscowości Kołbacz pod Szczecinem. W 1954 przyjechał z rodzicami do Łodzi. Szkoła podstawowa, liceum, potem przerwane studia na uniwersytecie zakończyły edukację. W „ogólniaku” oddaje się sportowi, gdzie spotyka swojego przyszłego mentora Jacka Bierzina i powstają pierwsze wiersze do szuflady. Skomplikowana sytuacja polityczna wymusza decyzję o wyjeździe z Łodzi na prowincję. Zostaje technologiem gorzelnictwa rolniczego i w tym zawodzie pracuje do chwili obecnej. Obecnie mieszka w Bończy, w gminie Kraśniczyn.

Pierwsza publikacja wierszy, a wcześniej wspomnień, ukazuje się w kwartalniku „w Uniejowie”. Swoje utwory zamieszcza na stronach grup poetyckich takich jak: „Okno na Poezję”, „Uwolnić Poezję” czy „Poezja na Kazimierzu”, „Poeci Sochaczewscy”, ale też w serwisie „Poezja Polska”. Uczestnik wielu spotkań poetyckich: „Port poetycki” w Chorzowie, „Wierszotorówka” w Sochaczewie czy „Jurajska Jesień Poetycka” w Złotym Potoku. Reprezentował swoją gminę w Bibliotece Powiatowej w Krasnymstawie na spotkaniu „Ludzie z pasją gminy Kraśniczyn”. Publikuje swoje wiersze w Miesięczniku literackim „Akcent”, Magazynie literackim Wolnej Inicjatywy Artystycznej „Wytrych”. Wydaje też tomiki poetyckie: w 2018 - „Okręty moje”, w 2019 - „Świat jaki jest”. Tomik „Generacja 47” jest trzecim w dorobku poetyckim autora.



Wojciech Bieluń (Targosz) „Generacja 47”,
Wydawnictwo ASTRUM, Wrocław 2020, ss. 114.



Do tomiku dołączona jest również wersja elektroniczna zawierająca 11 wierszy.

Wiesław Krajewski

Zoopoliglotyzm



Słyszałem o psie, który pochodzi z polskiej hodowli i jako szczeniak zamieszkał w Niemczech. Jego właścicielem jest Polak (mówi do niego po polsku), a jego żoną - Niemka, która mówi do psa oczywiście po niemiecku. I tak czworonóg w gruncie rzeczy rozumie dwa języki. Hm, może to nie jest znowu aż takie bardzo dziwne. Ktoś powie, że psy mogą po prostu rozpoznawać intonację głosu. Kiedy na przykład przytulamy się do niego i szepczemy mu do ucha jak bardzo go lubimy, to niezależnie czy jest to po polsku, czesku, angielsku, czy niemiecku, nasz głos będzie brzmiał jednakowo czule. Kiedy zaś go ganimy, z reguły mówimy to podniesionym głosem, w nerwach, krzycząc nawet i tylko głupi pies by nie zrozumiał, o co nam chodzi. A psy są przecież mądrymi zwierzętami. Z kolei niektórzy twierdzą, że w zasadzie obojętne jest w jakim języku do psa mówimy, gdyż one reagują tylko na jakieś konkretne słowa, których ich nauczyliśmy w trakcie tresury. Zwykle „siad!”, „leżeć!” czy „podaj łapę!” - nie ma problemu, ale już kiedy mówimy „aport!” wysławiamy się po niemiecku (*apport!* - przynieś), a to z kolei pochodzi od francuskiego *apporter* - przynosić. Psu jest ganc egal. Kotu pewnie też, bo do naszego Mruczka możemy równie dobrze zawołać po polsku „kici, kici”, jak i po niemiecku „miez, miez”. Efekt będzie ten sam. Inni twierdzą - ale nigdy nie udało mi się tego sprawdzić - że zwierzęta (w tym na pewno psy i koty) w Wigilię mówią ludzkim językiem. W takim razie ten pies małżeństwa polsko-niemieckiego mówi do swych państwa po jakiemu? Sądzę, że tego rodzaju lingwistyczne rewelacje możemy włożyć między bajki. W świętego Mikołaja wierzę, ale to to już chyba przesada.

Psy mają swój język. I nie jest to zwyczajne „hau, hau”. Inaczej jakiś Reksio szczeka, gdy się cieszy, inaczej, gdy się boi, jego głos zmienia się, kiedy chce wyjść i kiedy domaga się powrotu do domu, kiedy wita swojego pana i kiedy widzi nieznanego. Mało tego, naukowcy udowodnili, że prawie wszystkie psy rozumieją szczekanie innych

psów. I to niezależnie od pochodzenia i miejsca, w którym dorastały. Ale ciekawi mnie jeszcze inny problem - czy psy szczekają w różnych językach? Czy ten pies z podanego wcześniej przykładu szczeka do swego pana po polsku, a do swej pani po niemiecku? Tym, którzy w tej chwili znacząco pukają się w czoło wyjaśnię, że nie - nie mam chwilowo większych problemów.

Chodzi mi o to, jak my odbieramy szczekanie psa. Jak go rozumiemy i jak mówilibyśmy do niego, gdybyśmy zechcieli posłużyć się jego językiem. My, ludzie, nazywając coś, opieramy się często na tzw. onomatopei. Językoznawcy powiedzą, że jest to wyraz dźwiękonaśladowczy. Jeżeli słyszymy, że coś piszczy w trawie, to naśladując ten wydobywający się z trawy dźwięk, powiemy, że to pisk. Powiemy też, że coś szumi, szeleści, grzmi, wybucha, stuk, puka. Te wszystkie wyrazy naśladują konkretne dźwięki. W słynnej „Lokomotywie” Tuwima aż roi się od onomatopei. Ale co z tym szczekaniem psa? Każdy brzdąc powie, że pies robi „hau, hau”. I tu doszliśmy do sedna - wcale nie każdy!

Każdy brzdąc polski, ale już jakieś angielskie *baby* stwierdzi, że to może być różnie: *ruff, ruff, arf, arf, bow, wow*, małe angielskie psinki robią *yap, yap*, z kolei bardzo małe psiaczki - *yip, yip*. Rosyjskie *sobaki* mówią *guf, guf, hav, hav*, a *so-baczki tyav, tyav*. Francuski piesek szczeka *ouaf, ouaf*, natomiast szwedzki *vov, vov*, po hiszpańsku psy mówią *guau, guau*, ale dla odmiany te katalońskie z Barcelony - *bau, bau* bądź *bup, bup*, a w Kraju Basków różnie: *au, au* albo *txau, txau* (małe), *zaunk, zaunk* (duże), *jau-jau* (stare). Po niemiecku psy mówią *wuff, wuff* albo *vow, vow*, holenderskie *blaf, blaf* lub *woef, woef*, a malutkie psiaki *kef, kef*. Mało tego, psy mówią również w esperanto - *boj, boj*, a w amerykańskim języku migowym (ASL) jest nawet określenie dla ...głuchoniemych psów - obie pięści zamknięte, palce skierowane do siebie, aby migać szczekanie należy szybko otworzyć pięści i odsłonić palce dwukrotnie.

Sprawa ma jednak znacznie szerszy zasięg. Dotyczy ogółu zwierząt, oprócz ryb, bo te przecież głosu nie mają. W moim ostatnim artykule „Polacy i gęsi” („Nestor” 4(50) 2019) wspominałem o gęsiach kapitolinśkich, które pewnie gęgały po łacinie. Zupełnie nie wiem, jak mówią te ptaki po łacinie ani także po włosku, ale jest z tym ten sam

problem. Gęsi angielskie mówią *gaggle* lub *honk* (dzikie). Natomiast kaczki - *qwack, qwack*. Polskie zwykle *kwa, kwa*, no, może *kwa, kwa, kwa*, rosyjskie kaczki tłumaczą na krja, krja. W innych językach jest to jeszcze bardziej zróżnicowane: po albańsku *mak, mak*, po islandzku *bra, bra*, a po duńsku *rap, rap*. Ciekawe, prawda?

Swojskie *kukuryku* (po francusku *cocorico*, hiszpańskie *kikiriki*, niemieckie *kikeriki*), po angielsku brzmi już nieco bardziej skomplikowanie *cock-a-doodle-doo*. Natomiast Japończycy słyszą *kok-e-kok-ko*.

Naukowcy zbadali dokładnie dźwięki wydawane przez morskie ssaki, np. walenie, i doszli do wniosku, że zwierzęta te potrafią się porozumiewać między sobą. To znaczy, że one przekazują sobie konkretne informacje, znają je i rozumieją. To dalej znaczy, że potrafią ze sobą rozmawiać. Poznano już kilkadziesiąt takich sygnałów - słów. Dotyczy to jednak tylko osobników tego samego gatunku. Niemożliwy jest natomiast poliglotyzm międzygatunkowy. Kaczka, która chciałaby pokonwersować z wróblem nie zacznie ćwierkać.

O zdolnościach lingwistycznych i inteligencji zwierząt świadczy też przykład szimpansicy Washoe, która w swoim życiu opanowała blisko 250 znaków ludzkiego języka migowego i układała z nich proste zdania. Języka migowego, bo przecież zwierzęta, nawet szimpansy, nie będą mówiły „po ludzku”. Takie rewelacje jak znający język angielski koń (z serialu lat 60. XX w. „Koń, który mówi” - „Mister Ed”), kot Salem (z serialu „Sabrina, nastoletnia czarownica”), nasz - polsko-egipski kot Rademenes (z serialu „Siedem życzeń”), czy gadające bez umiaru zwierzęta wszelkiego rodzaju i gatunku - „Babe - świnka z klasą”, „Zebra z klasą” i inne, zdarzają się tylko w filmach.

Cóż, podejrzewam, że długo jeszcze nie będziemy mogli porozumiewać się z psami i innymi czworonogami ich własnym językiem, skoro trudno nam nawet określić jak ten język należałoby wymawiać. I nic tu nie zmienia fakt, że zaczynamy już rozpoznawać znaczenie dźwięków wydawanych przez wspomniane delfiny czy wieloryby. Nawet gdybyśmy chcieli im coś zakomunikować, to czy one nas rozumieją? Może jednak lepiej poczekać do Wigilii?

Wiesław Krajewski

Słowo redaktora



Jubileuszowe, 50. wydanie „Nestora” przyjęte zostało z szacunkiem przez redakcje literackich i artystycznych periodyków nie tylko Lubelszczyzny. Napotkaliśmy przychylną zarówno ludzi kultury, jak i regionalistów, a szczególnie tych, którzy bezinteresownie oddają się swojej pasji. Powodem do dumy jest również obecność kilkuset autorów, którzy od dawna publikują na naszych łamach. Wśród nich znajdują się głównie osoby sercem związane z ziemią krasnostawską. Pomimo nieustannych trudności z pozyskiwaniem pieniędzy na druk, przez długi czas udawało się przekonywać kolejnych sponsorów. Tego roku jednak starostwo cofnęło dotację, odsyłając nas po brakujące środki do indywidualnych darczyńców. Stanęło przed nami niełatwe zadanie, ponieważ od kilkunastu lat i tak korzystamy ze wsparcia nielicznych miejscowych firm i instytucji, które w niewielkiej społeczności są już znudzone naszymi prośbami. Podjęliśmy długo odkładaną decyzję, aby tym razem zwrócić się z prośbą o pomoc do naszych autorów i czytelników. Apel przekonał grupę sympatyków i współredaktorów, którzy w ciągu kilku tygodni zgromadzili ponad 3 500 złotych. Suma ta pozwoliła nam na opłacenie zaległości w drukarni oraz na zadatkowanie bieżącego wydania „Nestora”.

W grupie darczyńców, którzy nie dopuścili do zawieszenia wydawania „Nestora” znajdują się: Józef Dąbek (Lublin), Lech Dziedzic (Wierzbichów), Tomasz Fornalski (Krasnystaw), Leszek Janecek (Krasnystaw), Jacenty Jarocki (Lublin), Alicja i Jan Karaudowie (Krasnystaw), Jacek Kiszczak (Stężyca), Andrzej Kmicic (Krasnystaw), Elżbieta Kmiec (Izbica), Krystyna Krzyżanowska (Świdnik), Ewa Magdziarz (Krasnystaw), Wojciech Mięzał (USA), Monika Nagowska (Krasnystaw), Jacek Panas (Bytom), Henryk Radej (Chełm), Barbara Rusinek-Zdun (Ciechanów), Waldemar Seroka (Ostrzyca), Kazimierz Stolecki (Puławy), Beata Studzińska (Włocławek), Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa), Janusz Wanot (Niemcy). Państwa wpłaty wyniosły od 100 do 500 zł i to dzięki nim „Nestor” oparł się przeciwnościom losu.

Składam Państwu serdeczne podziękowania w imieniu czytelników oraz zespołu redakcyjnego. Z szacunkiem -

Andrzej David Misiura



Andrzej David Misiura - animator kultury o specjalności teatralnej, literat, malarz, dziennikarz. Założyciel lub współzałożyciel czasopism: „Ziarno”, „Posłowie”, „Elipsa”, „Gazeta Krasnostawska”, „Nestor” oraz Grupy Literackiej „Słowo”, Kapeli Obejściowej „Czarny Salceson” i in. Autor kilku książek, w tym tomików poetyckich, opracowań redakcyjnych i scenariuszy teatralnych. Radny miasta Krasnystaw trzech kadencji. Zaangażowany w działalność amatorskiego Teatru Pokoleń, Grupy Plastycznej „Osiemnastka” oraz wydawnictwa Biblioteka „Ziarno” w Siennicy Różanej. Redaktor naczelny Czasopisma artystycznego „Nestor” oraz Czasopisma społeczno-kulturalnego „Ziarno”. Od wielu lat kieruje Centrum Kultury w Siennicy Różanej.





mal. Andrzej David Misiura